

POEZJA
PROZA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

Nr 7

lipiec 1978

przygotowali:

Jerzy ANDRZEJEWSKI
Stanisław BARAŃCZAK
Jacek BOCHENSKI
Kazimierz BRANDYS
Tomasz BUREK
Jakub KARPIŃSKI
Adam MICHNIK
Kazimierz ORŁOŚ
Barbara TORUŃCZYK
Wiktor WOROSZYLSKI
Adam ZAGAJEWSKI



NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA

Z A P I S nr 7

Poezja - proza - eseje - kronika

ZAPIS nr 7 przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Tomasz Buczek, Janusz Korpiński, Adam Michnik, Kazimierz Orzech, Barbara Tosińczyk, Wiktor Woroszyński, i Adam Zagajewski.

lipiec 1978

S P I S T R E S C I

3. Czesław Miłosz: Nowe wiersze
 6. Andrzej Braun: O stanie Związku Literatów i stanie kultury polskiej
 11. Kerner Filipowicz: Co zrobiono w Krakowie dla kultury
 13. Leszek Elektorowicz: Instrumentalne ujmowanie kultury
 15. Wiesław Paweł Szymeński: Wyjaśnienie w sprawie niewydanej książki
 17. Jerzy Ficowski: Przeciw dyskryminowaniu prawdy
 19. Witold Dąbrowski: Są granice, których przekroczyć nie wolno
 21. Tomasz Burak: Refleksje po XX Zjeździe /Literatów/
 28. Antoni Pawlak: Wiersze
 32. Witold Wirpsza: Sama niewinność //fragmenty książki/
 52. Jan Polakowski: Wiersze
 55. Jak było na Zachodzie /wywiad z Haliną Miłotańską/
 63. Gustaw Herling-Grudziński: Sten. i niepodległość
 66. Marie Brodecka: Homo institutionalis
 74. Lech Dymarski: Listy i wiersze
 78. Jan Patočka: O kongresach filozoficznych w ogóle i o kongresie w Warnie w szczególności
 83. Władysław Bieńkowski: Filozofia dziejów a teoria społeczna /3/
 91. Andrzej Drelwicz i Jerzy Markuszewski: Co nam zostało z STS-ów
 108. Stanisław Barańczak: Drzewo wygnania
 111. Leszek Szaruga: "Prawdę nasz utrwalił"
 116. Jan Józef Lipiński: Fajeczyna drzewnej mowy - i świat prawdziwy
 120. Grzegorz Marjański: Literatura. Powieść
 126. Stanisław Barańczak: Bratny raz jeszcze
 129. Adam Boniecki: Dwa felietony: 1/ Patriotyczny kryminał komputerowy, 2/ Z notatki
 131. St. E.: Figurka uspakajająca do użytku wewnątrzpartyjnego
 133. List Marianny Brandysa do redakcji
 136. List Anieli Steinbergowej do redakcji "Opinia"
 138. KRONIKA: Zebrania Oddziału Warszawskiego Związku Literatów +++
 Nowo stworzył "Artura 61" +++ Zamach na siedzibie
 pracy +++ IV Tydzień Kultury Chrześcijańskiej +++
 Budzielskiolate "Wigilii": +++ Tydzień kultury żydowskiej +++
 Przejście do anigmatycznego felietonu +++
 "Sprawiedliwi" nie bez paszportu +++ Kongres PEN-
 Clubu w Sztokholmie +++ Na zakończenie roku akademickiego w "tępiącym uniwersytecie" +++ Gaiuzo przesładowania członków i współpracowników TRN +++ List Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej +++ Fawryt Wierzyńskiego +++
 Cenzura wojuje z umartym +++ U Walendowskich: Spotkanie z profesorem Branka +++ ... i z Hiroczakach. Chojnickim +++ INNE IMPREZY: Socjologowie o problemach oświaty +++ O Stanisławie Gąsiewskim i jego myśli +++
 Maria Barańczakowi od edytorów +++ Znowu dobro "Spotkanie" +++ Co nowego w "kulturowie" +++ A co w "Anekdota" +++
 Płacz w Gdańsku sam wydał niedopuszczony przez cenzurę tekst.

153. Noty o autorach

Czesław Miłosz

NOWE W I E R S Z E

C H A G R I N

Stońce wschodzi

Jeszcze raz.

Naj nam dzień jeden bez winy.

Kiedy klękne do słońca użal się nade mną.

W kerytarzach czasu

Nierównym chórem

Dzieci śpiewają:

Wielu snem śmierci upadli

Co się wczera spał pokładli

My się jeszcze obudzili

Byśmy Ci, Boże, chwaili.

Jakoż ja chwale. Choć i na popiele

Złudzeń serdecznych.

Pelegując w dalekich górach

Z moimi księgami i starym kluczem

Do oznaczania roślin dzika rosnących

W pobliżu Laboratorium Promieniowań,

Które stoi w powietrzu kiedy mgła spada,

Zajęcia mając w budynku Pauk o życiu,

Gdzie gastrula, neurula i ludzki niedorodek

Pochylił słowe medrca, łapki podkurczył w stoju,

A miesiąc mojego życia jest Chagrin.

F I L I N A

Widnawe laboratorium na górach dymią.

Mgła po stopniach jasności w błękit wstępowała.

Jadąc długą ulicą o tobie myślałam, Filino.

Która ukazujesz się z dobrodziejstwem szumiących spódnic,

Ze śnieżną twoją piosenką:

 *am trzewiczki

 Z mrostej płaszki

 Takie same

 Bekawiczki.

I przed lustrem spacerujesz tuż tuż
Zanim zblegniesz
Na dół do powozu.

Ręce konie nas niosą topolową drogą.
Rybacy nad rzekami zasiedli na święto.
Białe obrus rozścielamy pod jabłonią w gaju.
W srebrny kubek nalewamy ciemne wino.
- Ale gdzież jest taka śliczna okelica?
- W dawnych księstwach za morzem, Filino.

A nawet gdyby tweje wstążki były tanie
I twoja bielizna nie zanadto czysta,
Ten dzień i bieg obteków na zawsze zostanie
Żeby ziemia nam pomogła, rzeczywista.

Ty jesteś powierzona wiecznej opiece,
Która ślad motyla w powietrzu chroni
I ziemię na nowo stwarza tak jak zechce
Tam gdzie nie ma bólu ani ironii.
Filino, spódnice szumiące,
Lustra przepadające.
Tuż tuż.

I D E A

Dmac w regli, prowadząc psy na smyczy, kto konna, kto pieszo,
Przybyliśmy na te zbocza skąd widać jest knieja Idei.
Starczano żółta, jak osinowe lasy późną jesienią
/Jeżeli nie myli mnie pamięć ubległego żywota/
Choć nie był to las, tylko gęstwa kształtów nieorganicznych,
Z chlorowym wyziewem, i rzeźbą, i tęczowaniem kryształów.
Spojrzałem po naszej kompanii. Łuki, rusznice,
Pięciostozłoty sztucer, gdzieś niedźwie preca.
A stroje! Ostatnia moda roku tysiącnece,
To znów cylindry jakie nosił na spacerach
Kaznodzięja Kierkegaard.
Niezbyt dobrana grono. Choć i tak idea
Dla takich jak my niestrasza, nawet w jej łogowisku.
Pasterzy ubogich napadać, rolników, smolarzy,
To tak, odkąd zmieniła swoje obyczaje.
A nade wszystkie młodzianków. Udreczając ich snami
O wyspie stońca, sprawiedliwości na ziemi.

W E S T C H N I E N I E

Niech spłynie błęgosławieństwo
na życie pełnane
żeby została radość
tam gdzie nie ma powodu
Pięknością przejęty żywą
wieczną wiosną w zenicie
wlatuje nad siebie
zrozpaczonego

Jaka to cierpka siła
ile dźwięków czyniania
za to że otrzymane
wtedy kiedy stracone

Czesław Miłosz

Andrzej Braun

O STANIE ZWIĄZKU LITERATÓW I STANIE KULTURY POLSKIEJ x/

Szanowni Państwo,

Ponieważ zebraliśmy się tutaj nie tylko no to, aby - według pięknego języka naszej prasy - "powtórnie wybrać nowy zarząd", czuje się upoważniony przez życiowych mi, jak sądzię, trzystu kolegów, którzy mnie tu wystali, po trzydziestu latach przynależności do tego Związku/a liczyć on niewiele więcej członków kiedy mnie doń przyjmowano/, czuje się więc upoważniony do poruszenia kilku spraw zasadniczych, do zastanowienia się nad sensem jak i celem istnienia tej organizacji. Zmusza mnie do tego nie tylko wielce niepokojąca sytuacja środowiska pisarzy, ale i warunki w jakich pracujemy.

Według dotychczasowych wieloletnich doświadczeń można by sądzić, iż owym sensem oraz celem istnienia naszego Związku jest jakaś funkcja pedagogiczna i kontrolna równocześnie, pojmowane i podejmowane niejako z zewnątrz, z pozycji nieświadomych samotnych wartości literatury narodowej, a podejmujących wobec środowiska pisarzy. Owa zabawa w szkółkę i okresowe rekolekcje, gdzie zawsze pewna grupa osób, z czasem, niestety, przeważnie ta sama, uzurpowała sobie prawa wliczających nauczycieli wyklinających, piętnujących i pouczających innych, nieraz największych pisarzy - od dawna już z reguły pod nieobecność owych "oskarżonych", nie dając im prawa odpowiedzi i ze świadomością, iż zamknięte są dla nich wszelkie ślasy dla udzielenia wyjaśnień, bądź riposty. Nie w tym istota choroby - każdy ma prawo w wspólnym Związku wywoławania własnych opinii - na tych samych podstawach, skoro wszyscy jesteśmy owini. Demokracja jest zasada w naszych stosunkach jako kolegów - członków Związku, ale nonsensem jest demokracja w literaturze, w stosunkach między pisarzami jako twórcami dzieł. Równi być mogą i muszą, członkowie ZLP - ale autor jednej książki autorowi innej książki nie jest równy. Szczeniowym paradoksem stało się więc quasi-demokratyczne zrównywanie dzieł i wymienność autorów-twórców w publicznym życiu literackim, przy coraz większej hierarchiczności w stosunkach między ludźmi-kolegami. Wstydem napawa pamięć o tym, kto tu już kogo gromił i pouczał jak tworzyć na obszar polski i jak się jako obywatel zachowywać. Osobliwa to była pedagogika, demoralizująca młodych, świeżo w środowisko pisarskie przybyłych. Bywało, że i goście z zaprzyjaźnionych krajów pouczali polskich pisarzy, jak być pisarzem polskim.

Przypomnę zatem należy, że to nasze stowarzyszenie ma jednak jakiś swój własny charakter i posiada określone tradycje. Jest to prawda doświadczona w granicach życia tu obecnych. Nie było Związku, a pisarze wiedzieli, co robić i co pisać. Więcej, nie było państwa - a pisarze polscy tworzyli i działali tak, że zasłużyli na sławę wiekopomną. Pisarstwo wychowuje otaczająca go rzeczywistość, chronowskieżem jest mu wiedza o kulturze - a nie samozwańczy mentorzy dwylli. Porzuśmy więc ową fatalną pedagogikę przymusów i pomyślimy o statutowych celach Związku.

Drodzy Państwo,

Kiedy wspomina się o celach i sensie istnienia tego Związku, natychmiast jest mowa o walce. Walce z wrogimi postawami, walce z błędnymi ideologiami. Walce z rasizmem w Potudniowej Afryce, walce z terrorem Junty w Patagonii, walce z "Berufsverboten" w Zachodnich Niemczech. Walce o Pokój czy Postęp, o Socjalizm czy Sprawiedliwość Społeczną gdzieś tam. Jest to typowe dla biurokratyzacji myślenia spychanie problemów w kierunku frazesu. Nie dlatego, iżby hasła owe nie były piękne i szlachetne, ale dlatego, że praktycznie Związek, jako Związek, nic w tym zakresie nie może zrobić. Walczy o coś każdy pisarz samotnie, nad karką papieru, Związek zaś - o czym mniej się mówi - ma, zgodnie ze swym statutem, prze-

x/ Przemówienie wygłoszone 7 kwietnia 1978 na Zjeździe Literatów w Katowicach. Tytuł pochodził od redakcji.

de wszystkim bronić.

Bronić po pierwsze: sprawy kultury i literatury polskiej w naszym kraju, oraz bronić moralnych i materialnych praw swoich członków-pisarzy. W tym celu i przez tych członków został powołany.

Szanowne Koleżanki i Koledzy,

Sądze, że warto teraz zastanowić się z całą powagą nad celami i sensem ZLP, jeśli ma on być czymś więcej, niż tylko biurem do załatwiania zwykłych spraw materialno-bytowych części obywateli - w rodzaju Komitetu blokowego, gdzie odbiera się kartki na cukier.

A więc, po pierwsze - jak wygląda podstawowe sprawy owej obrony kultury i twórczości w naszym kraju?

Kultura i literatura ojczysta uważamy za wartość nadrzędną i samodzielną. Kultura każdego narodu, a polska w szczególności - wiemy o tym z naszego dziejowego doświadczenia - posiada swoje podstawowe, bezcenne źródła, z których wyrasta i którymi się żywi. Pierwszą z tych wartości składających się na kulturę polską jest historia ojczysta. Truizmem będzie powtarzanie, iż narody nieświadome historii własnej skazane są na duchową zagładę. A jak jest obecnie z nauką historii naszej oraz trwałym upowszechnieniem jej w świadomości, również za pomocą literatury? "Dzieje Polaków i Polski, zwłaszcza te nowsze, są oceniane i funkcjonują tylko selektywnie, wiedza o nich w całym dojrzałym już pokoleniu powojennym jest przerażająco skąpa i wycinkowa. Nie chciałby tu slegać do wieków minionych. Chodzi szczególnie o dzieje lat, które nas bezpośrednio ukształtowały, które są częścią naszej genealogii i biografii. Jak można pisać o swojej tożsamości, kiedy większość historii współczesnej, a przede wszystkim jej węzłowe momenty, momenty dzielące naród i jednoczące go w bolesnym doświadczeniu, formujące jego mentalność i urazy - kiedy to najdramatyczniejsze przeżycia stanowią szczerne tabu, wstydlive sfery milczenia, wstydlive dla kogoś dla Polaków? Co dziś wie trzydziestoparoletni, dorosły człowiek o nas o powstaniu Polski z trzech zabórów, o Piłsudskim, o POW, które to literki nawet w nekrologach są wykreślano. A przecież to ludzie stamtąd wychowali konspiratorów Kedywu, kierowali powstaniami Piłczowskimi i Warszawskimi, zamachami na Kutsherę i Żofierkami Starduki. Jak można przedzielić i przedzielić w dziele artystycznym młodocianego obrońcę Warszawy we wrześniu 39r. czy w sierpniu 44 r., jeśli nie zna się tego samego obrońcy stolicy, zastąpiającego swą pierśią jej mury w sierpniu 1920 roku. Przecież to byli ojcowie i synowie, los ojca decydował o postawie syna, na doświadczeniach, tragediach, błędach - stał i na możliwym powtarzaniu postaw czy zachowań - polega waga duchowa, tożsamość społeczeństwa. Jak długo jeszcze dąty i nieścisłe mężeskie historii ojców wymazywane będą z biografii rodzinnych? Tragiczna historia września 1939 r. dotyczy tylko połowy Polski. Dzieje Polaków i społeczeństwa polskiego w Białymstoku, Lwowie czy Włocławku w latach 39-41 nie należą do historii Polski. Dziesiątki tysięcy Polaków w Wehrmachcie, rodziny polskie o tysiące wiorst od miejsca urodzenia - to nie są nasze dzieje, to białe plamy. Historie żołnierza polskiego zaczynają się w Buzutuku i nad Oką, w trzecim roku wojny, razem z polskim mundurem - jakby go orzędem nie noszono. Szok kadyński i "proces Ił-cu", główne źródła rozbitcia opinii polskiej, nieznanne są współczesnym pokoleniom czytelników. A jak wygląda powojenna, współczesna już historia naszego kraju, która stanowi całość życia większości naszych obywateli? Jaką wiedzę i obraz o trzydziestu paru latach Polski Ludowej przekazuje historia, esesistyka, powieść czy dramaturgia współczesna? Stalinowski okres "błędów i wypszczeń", Poznań i Poździernik 56 r., Marzec 68 r., Grudzień 70., Czerwiec 76 r., podstawowe przełomy w świadomości społecznej, dramatyczne węzły i momenty prawdomocności w myśleniu - to wszystko są wstydlive tabu, wzmiarkowane co najwyżej aluzyjnie, pomijane w kalendarzu historii, wobec których obowiązują jedne, ustalone - urzędowo oceną, i nawet opis jest wykluczony. Czymże jest historia własna podstawowe źródło ojczystej kultury? Czyżby Związkowi pisarzy, starającemu się - bardzo chwalebnie - o podwyższenie stawek za arkusz, obojętna była troska o to, żeby tworzenie literatury narodowej było w ogóle możliwe?

Drugą z podstawowych wartości składających się na kulturę polską stanowi język ojczysty. Język, który był najcenniejszym skarbem i spółwem narodu, pozwalając mu przetrwać stulecie eksterminacji, i który był jedyną formą istnienia Polaków. Dla nas, pisarzy, język jest wszystkim. Jego rozwój świadczył o naszym cywilizacyjnym szczeblu, o stadium naszego kulturalnego awansu. Nikt nie twierdził, że polszczyzna nie przekształca się i nie ewoluuje, istnieje jednak coś, co nazywamy czystością i poprawnością języka. A jak wygląda dziś mowa polska w praktyce? Spoleczeństwo nasze gada orzerażliwym żargonem okólników, gazet i kurso-konferencji produkcyjnych. Mówić własnymi słowami - to określenie niepojęte. Mówić nieskazitelnie, indywidualnie, a jednocześnie wzorowo - to pojęcie anachroniczne. W szkolnictwie, gdzie nauka mówienia i pisania zdawałaby się rzeczą elementarną, ten "przedmiot" spychany jest na coraz pośledniejsze miejsce. Doptero Telewizja - i to jest jej szczególna "zastępa" - uprzytomnia nam, jak mówią współcześni Polacy. Grozą wleje na obu kanałach. Nlestety, jej rola nie jest rolę bierna. Telewizja - to olbrzymi, tylny deprawator narodu, od lat zabijający zdolność do samodzielnego myślenia i wyrażania tych myśli w poprawnej polszczyźnie. Jaki jest język inteligencji naszej? Jeśli inżynier specjalista nie potrafi opowiedzieć normalnym, własnym, powszechnie zrozumiałym językiem o swojej pracy - znaczy to, iż w rzeczywistości nie wie, co robi, i mało go to interesuje. Prymitywizm języka odzwierciedla prymitywizm myślenia, albowiem te dwa zjawiska w istocie są nierozdzielne. Mówi się, że Związek Literatów nic tu nie może zrobić - poza dobrym przykładem języka pisarzy w ich książkach. Jeśli jednak radio przez 50 lat było i pozostało do dzisiaj instrumentem krzewienia kultury języka i skarbów mowy polskiej, a TV w tak krótkim czasie tyle złego zdążyła zrobić w zakresie "zabezpieczenia" "wiodącego" "kompleksowego", "urokliwego" bełkotu - oznacza to, że tak czy owak wszystko zależy od ludzi oraz instytucji. Trzeba było dopiero drastycznych eskperymentów z rugowaniem arcydzieł literatury polskiej z programów szkolnych, aby Związek zareagował - za co należy mu się uznanie. Jest podstawowym obowiązkiem ZLP wpłynąć na ukrócenie deprawacyjnej roli TV w stosunku do mowy ojczystej.

Trzeźwim źródłem samoistności i walorów kultury polskiej - choć historii oraz mowy ojczystej - jest wspaniała tradycja tudzież dorobek naszej własnej literatury. Związek Pisarzy ma ten dorobek upowszechniać, ma go strzec i bronić. Pamiętamy o pożatowaniu godnej historii i "działami" na scenie Teatru Narodowego. Ale tradycja i dorobek literatury naszej nie kończą się na Mickiewicz i Wyspiański. Do jej skarbców należą wszystkie dowładzenia pisarzy współczesnych, gdziekolwiek i kiedykolwiek powstały w języku ojczystym. Jakże na wiec wygląda kultywowanie i przywojanie - krytyczne, rzecz jasna - owej tradycji, jeśli nie mamy do tej pory pełnego wydania pism Żoromskiego, Dąbrowskiej, Brontewskiego, Słonimskiego, jeśli pisarze sześćdziesiątce i siedemdziesiątce, o takim dorobku i w takim stopniu decydujący o obliczu literatury współczesnej jak Andrzejewski, Rudnicki, K. Brandys, Strykowski, Dygat, Pueralement, Żukrowski, Kuncewiczowa, czy wielu innych, nie mogą marzyć za życia o wydaniu zbiorowym ich pism we własnym kraju, jeśli odrębna jest z wielkiego pnia polskiej literatury twórczość Miłosza i Międzyńskiego, powieści Gombrowicza i Wittlina, a także każde z naszych współczesnych, kto przekroczy granice kraju. Szybkośmy nie pamiętali, że na emigracjach powstała magna pars arcydzieł naszego piśmiennictwa! Jak na wyglądają owe obrona dorobku, jeśli Związek Pisarzy przygląda się w milczeniu procesowi wytrącania z kręgołęgu naszej literatury dziesiątek i setek twórczych kolegów, przemilczanych, nie wydawanych, nie wznowionych - objętych złowrogimi "zapisami", wliczonymi biletami?

Dalszym konstytutywnym walorem i najcenniejszą cechą naszej kultury była i jest jej otwartość na kontakty z Europą i światem, na wszelkie żywe wpływy oraz swobodna wymiana myśli - jej asymilujące współżycie z prądami i sporami każdej epoki. Kultura polska zenerała w każdej samodzielnosci, myśmy nie wznosili murów ani chińskich, ani żadnych innych, murów lęku czy samodustwa. Nie znana owa kultura zasady ortodoksji i wys-

teniu, pryncypium "quibus eius religio", nie przodowała w łowieniu czarownic i paleniu na stosach kacerzy; tolerancja i publiczne ścieranie się argumentów były jej tradycją i dumą. Wstyd mi po prostu mówić o tych oczywistościach w tym gronie. A jednak muszę to mówić.

Jedno za drugim z podstawowych źródeł odwiecznych kultury polskiej bądź ulegają erozji, bądź są rozmyślnie ze świadomości rugowane. Etyczne i filozoficzne wpływy chrześcijaństwa, cały świat mitów i pojęć cywilizacji śródziemnomorskiej, język i kategorię grecko-rzymskiego antyku, inspirowana ową kulturą od Kochanowskiego do Wyspiańskiego - z naszej wspólnoty duchowej szybko znikają. Czy procesy owe nie powinny budzić naszego niepokoję? Jeśli będziemy akcentować w milczeniu nieustający postęp kurczenia się i zanikania, deformowania i eliminowania podstawowych składników czy też zasobów duchowych naszej oryginalnej kultury - jak właśnie świadomość historii i ojczyzny, język, dorobek własnego mniemiennictwa i kontakt ze światem - czeka nas, twórców, perspektywa, że staniami się co najwyżej pseudo-folklorystycznym zespołem pieśni i tańca z peryferyjnej krainy nad Wisłą.

A wreszcie - schodząc już na grunt praktyki - czyż Związek nie powinien bronić przestrzegania normalnego mechanizmu życia kulturalnego? Operacja "Literatura" /tygodnik "Literatura"/, gdzie w odpowiedzi na niby-bilkowany tam bilans opinii kilku krytyków na temat najciekawszych książek roku - bilans uznany za jednostronny i niesprawiedliwy - zamiast przeciwstawić mu opinie innych krytyków /chodź przecież o wartościowanie literackie/, rozpedzono redakcją i obsadzone funkcjonariuszami administracji kulturalnej - stanowić może groźny przykład choroby, choroby, którą przecież znamy, i znamy jej skutki - zastępowanie zdrowego mechanizmu ścierania się opinii eliminacją adwersarzy, ingerencją i dyktatem administracyjnym.

A jak wygląda ów drugi statutowy cel, czy też powinność Związku - obrona samych pisarzy-członków ZLP, ich praw moralnych i materialnych?

W tym szczególnym "zawodzie" prawa moralne i materialne pisarzy są bardzo trudne do rozdzielenia. Do tych ostatnich z pewnością można by zaliczyć dwie sprawy: stawki honoraryjne, czyli zarobki, wznowienia, wpływy dewizowe - i w tym zakresie Związek dużo zrobił - trzeba to pokwitować z uznaniem. Ale jest także prawo do uprawiania zawodu - już na styku praw materialnych i moralnych.

Obrona praw moralnych pisarzy przez Związek - to temat bolesny, i myślę, że nie będzie tu, na tym forum, przemilczany, toteż poruszę go krótko i na tyle, ile musi być powiedziane.

Należy jeszcze raz stwierdzić, że w organizacji związkowej, takiej jak nasza, wszyscy członkowie ZLP reprezentują wszystkich członków; nie ma kolegów lepszych i gorszych, sojuszników i przeciwników - wszyscy są równi w prawach moralnych. Putrament czy Wasilewski w zarządzie reprezentują również Woroszyńskiego czy Andrzejewskiego, a Woroszyński Putramenta czy Wasilewskiego. Można mieć i wypowiadać w sprawach poszczególnych odmienny pogląd, nie można jednak - w ramach zarządu - osądzać jedni drugich. Na to bowiem zarząd nie otrzymuje mandatu.

Podstawowym gwałtem, zadaniem prawom moralnym pisarza, jest teraz - niejako funkcjonowanie cenzury. Bezprawie to osiągnęło swoje apogeum i z ramienia Polskiego PEN-Clubu przesłał mi protest w tej sprawie do Prezesa Rady Ministrów. Arbitralność i samowola Głównego Urzędu na Myślę dawno już przekroczyły swoje własne założenia i cele; ingerencja jej nie mają nic wspólnego z ochroną tajemnicy państwowej i podstawowych interesów Państwa; cenzura decyduje, kto ma być pisarzem w Polsce, rozstrzyga o problematyce dzieła literackiego, o jego ostatecznym kształcie, o terminie i zasięgu jego rozpowszechniania, a również o jego recepcji, oddźwięku i rzekomej opinii czytelniczej - innymi słowy reżyseruje od początku do końca pozory autentycznego życia kulturalnego, zastępując je urzędową fikcją, do czego pisarze i ich książki w ogóle nie są potrzebni.

Bo praw moralnych pisarza należy swobodny wybór wydawcy. Niestety, przy istnieniu i rozrastaniu się Naczelnego Zarządu Wydawnictw, to prawo

staje się fikcją. Autor pod różnymi szyldami ma do czynienia właściwie z jednym edytorem. Wszystkie decyzje zbiegają się na jednym stole. Książka, czy wznowienie, wstrzymane w jednym wydawnictwie, praktycznie nie ma szans pojawienia się w konkurencji. Sprawę tę przedkładałem w oddzielnym wniosku do Zjazdu, gdzie referuję ją szczegółowo.

Pisarz, jeśli głos jego ma cokolwiek znaczyć, i jeśli ma być kimś więcej niż szeregowym urzędnikiem "w kulturze" - musi zachować obywatelskie prawo do sumienia, osądu i oceny bieżących zjawisk życia społecznego. Jest to bowiem istotą jego powołania i zawodu, sensem jego społecznego statusu. Musi mieć prawo do krytyki literackiej innych dzieł i pisarzy. Jeśli widzi w nich coś niepokojącego, społecznie czy moralnie, nie mogą istnieć teksty i autorzy chronieni. Krytyka w sensie osobistych sądów, nie dyspozycyjna i instrumentalna, z ramienia "ciała nadrzędnych", w prasie naszej już prawie nie istnieje.

Czy Związek, jako Związek, nie wie o tym, że istnieją urzędowe "zapisy" w wydawnictwach, w Radiu i TV - listy osób odsuniętych od prawa druku, skazanych na całkowite, wieloletnie milczenie, wyzbytych prawa do pełnienia zawodu? Że jest to cenzura nie tekstów, ale ludzi, że to "Berufsverbot" w najczystszej postaci, u nas, nie nad Renem. Że powieści, poezje, dramaty, esaje, nieraz o wielkiej piękności, skazywane są arbitralnie na nieistnienie, ponieważ ich autorzy "praktykują" w życiu, jako ludzie, tę samą obywatelską i pisarską troskę, wrażliwość na krzywdę i naruszenie sprawiedliwości, jakie wyrażają w swych utworach literackich.

Jak wygląda autorytet i status moralny pisarza, członka ZLP - świadczyć może stopień bezprawia w szykanowaniu poszczególnych ludzi, w nieustających rewizjach i konfiskatach papierów czy książek w prywatnych mieszkaniach, w zakazach "kontaktów", co znaczy rozmawiania ludzi z ludźmi, w samowolnych aresztach i zatrzymaniach wielogodzinnych, kiedy to - po wylegitymowaniu znanych osób - trzyma się je bez wyjaśnienia, a na pytania o przyczynę - powiada się, że są podobni do złodziei którzy okradli automat. Traktowanie jako "złodziei" przez służby porządkowe - oto moralny status pisarza polskiego i jego związkowej legitymacji. Opowiadanie, prywatnie, przez ludzi starszych o faktach z najnowszej historii, o wielkich powojennych dyskusjach intelektualnych, o doktrynie socrealizmu, o tak zwanej "odwilży", o debatach Października - o czym się nie dowiedzą na uniwersytecie - jest dziś karalne. Drodzy Koledzy,

W sprawozdaniu Zarządu Głównego nie oszczędzono nam zdania o "nie-
rozważnej postawie politycznej niektórych członków Związku", jak również o tym, że "przed skutkami ich działań broniliśmy ich samych i ich twórczości". Szkoda, iż broniono ich tylko przed nimi samymi, a nie przed cymkolwiek i kimkolwiek innym.

CO ZROBIONO W KRAKOWIE DLA KULTURY x/

W Krakowie i województwie krakowskim, w ciągu minionych 30 lat, uczyniono bardzo wiele, aby setkom tysięcy robotników zapewnić pracę. Zbudowano potężny kombinat hutniczy i kilkadziesiąt mniejszych i większych zakładów przemysłowych. Zrobiono też bardzo dużo, aby ci, którzy za kilka lat wejdą do produkcji, znaleźli przygotowane dla siebie stanowiska pracy. Ręka na nich czekały maszyny, narzędzia i surowce. Środki, jakie państwo wydatkowało na bieżące inwestycje przemysłowe i przeznaczało na to, aby przyszły robotnik, zaczynający dopiero naukę w szkole zawodowej i młody inżynier rozpoczynający studia na politechnice, znaleźli miejsce przy warsztacie, przy desce krefiarskiej, za biurkiem - otóż środki na te cele wydatkowane były ogromne.

Co zrobiono w ciągu tych 30 lat dla kultury Krakowa i tzw. regionu krakowskiego? Trzeba stwierdzić, że bardzo niewiele - jak na potrzeby środowiska, jego range i aspiracje. Środowiska drugiego co do wielkości po Warszawie, szczytującego się liczną i twórczą grupą pisarzy i wybitnych tłumaczy, zasilałego co roku przez absolwentów krakowskich uczelni. Co zrobiono, aby pisarze krakowscy, ci, którzy tego pragną lub potrzebują, znaleźli pracę w radlu, w redakcjach i teatrach krakowskich? Nic, lub bardzo niewiele.

Młodzi pisarze czekają latami na wydanie almanachu, w którym mogliby zaprezentować swoje, być może, dalekie jeszcze od doskonałości, a nawet poprawności utwory. Któż z nas od początku był doskonały? W jednym czasopiśmie literackim Krakowa i dwu codziennych gazetach - nie ma dla nich miejsca. Przed wojną, w latach kiedy studiowałem w Krakowie, 250-tysięcznym wtedy, wychodziły prawie jednocześnie:

Linia
Gazeta Literacka
Tygodnik Artystów
Gazeta Artystów
Głos Plastyków
Nasz Wyraz

Poza tym ukazywały się co tygodnia sobotnie i niedzielne, bardzo obszerne dodatki poświęcone literaturze, plastyce i teatrowi w dziennikach:

Ilustrowany Kurier Codzienny
Czas
Naprzód
Głos Narodu

Młodzi poeci i prozaicy muszą z drukować swoje utwory w czasopiśmie, możliwie często i na długo przed tym, zanim ukażą się ich debiutanckie książki. Powinni widzieć samych siebie w druku i być czytani przez innych. Ich nazwiska i teksty muszą się "przetrzeć", zanim staną się przedmiotem zainteresowania wydawcy. Poza tym - młodzi pisarze powinni zarabiać, to znaczy dostawać honoraria za swoją pracę. Pomoc stypendialna stosowana w ZLP, konieczna w wielu wypadkach - ogólnie rzecz biorąc - będzie nas, niepopularnie co powiem, ale takie jest moje zdanie - otóż powiem, że pomoc ta zamienia się w system prowadzący do demoralizacji młodych ludzi. Niech młodzi czekają raczej na Godota, a nie na Listonosza. Listonosz na pewno przyjdzie.

Nie lepiej dzieje się w środowisku młodych humanistów krakowskich. Ich los bardzo nas, pisarzy, obchodzi, gdyż są to nasi sprzymierzeńcy, a być może przyszli koledzy. Wiele z nich chce pisać, uprawiać krytykę, tłumaczyć z obcych języków. Jakże mają szansę publikowania swoich prac? Znikome. Można mówić już o zjawisku, które trudno nazwać inaczej jak bezrobociem. A co będzie za parę lat?

Z myślą o tych problemach, w trosce o zaspokojenie rosnących po-

x/ Przemówienie na XX Zjeździe Literatów Polskich w dniu 7.IV.1978 r.
Tytuł pochodzi od redakcji.

trzeb naszego środowiska literackiego, naukowego i czytelniczego, sześć lat temu grupa pisarzy krakowskich wystąpiła z inicjatywą założenia w Krakowie miesięcznika, który choć częściowo wypełniłby lukę istniejącą w życiu kulturalnym Krakowa. Sądzę, że Walny Zjazd ZLP, który dwukrotnie już udzielił poparcia naszej inicjatywie uchwalając odpowiedni wniosek, ma prawo, a nawet obowiązek wiedzieć, jakie były dalsze losy naszych zabiegów o to pismo. Oczekuję zapewnień koleżanów, że redakcja pisma funkcjonowała bardzo sprawnie. Redakcja bez funduszów, bez biur, maszynistek, telefonów - wysyłała listy do władz, zapraszała autorów do współpracy, otrzymywała od zaproszonych materiały i obietnice, projektowała treść i układ numerów, korespondencja z władzami była, niestety, przeważnie jednokierunkowa. Byli i tacy, którzy zachęcali nas do wytrwałości i inni - a może byli to ci sami? - którzy nas zniechęcali. Główną przeszkodą, podobno, miał być brak papieru, ale, orosze koleżanów, ponieważ bardzo lubię powieści kryminalne, więc kiedyś, niedawno, przeczytałem - średniej zupełnie jakości - powieść tego typu, a skończywszy spojrzałem na metryczkę: książka ukazała się w nakładzie 120.323 egzemplarzy i miała ponad 15 arkuszy wydawniczych. Łatwo obliczyć, że gdyby powieść ta wyszła tylko w 20.323 egzemplarzach - egzystencja naszego pisma, jeśli o papier chodzi, byłaby zapewniona co najmniej na rok.

Tę mi się w oku kręci, kiedy wspominam, jak w roku 1936, a więc w koszmarnych czasach sanacji - legalizacja pisma literacko-artystycznego, bynajmniej nie prorządowego, pisma, którego miałem młodzieńczy zaszczyt być współredaktorem, trwała a ż trzy dni tylko dlatego, że jakoś tak wypadło, że nasze starania o pozwolenie przegrodziła tzw. angielska sobota i niedziela. Pozwolenie dostaliśmy więc nie w sobotę, jak tego oczekiwaliśmy, ale dopiero w poniedziałek.

INSTRUMENTALNE UJMOWANIE KULTURY x/

Poruszona przez kolegę Filipowicza sprawa miesięcznika literackiego ma duże znaczenie nie tylko dla Krakowa, ale dla całego środowiska literackiego, któremu miałby on służyć. Początek sprawy sięga Walnego Zjazdu w to dzia, w 1972 roku, kiedy to przy pełnej zresztą aprobacie Zarządu Głównego i poparciu ówczesnego kierownika Wydziału Kultury KC po raz pierwszy został zgłoszony i uchwalony przez Walny Zjazd wniosek Krakowskiej delegacji o powołanie miesięcznika. Jego redaktorem naczelnym miał być prof. Kazimierz Wyka, po jego zaś śmierci - kol. Tadeusz Nowak. Ponadto współredagować pismo mieli m.in. kol. kol. Korneł Filipowicz, Jerzy Kwiatkowski, Ewa Lipska, Jan Prekep, Jan Zych; gotowość stałej współpracy zgłosił m.in. koleśki Stanisław Lem i Władysław Szymborska, profesorowie Mieczysław Porębski, Jan Szczepański i wielu innych autorów. Przygotowaliśmy materiały do kilku kolejnych numerów, w całości. Mime przypomnieć, ponaglań zarówno ze strony Oddziału Krakowskiego jak i Zarządu Głównego, łącznie z pismem Prezesa Jarosława Iwaszkiewicza do wicepremiera Józefa Tejchmy, wniosek nie doczekał się realizacji, wobec czego na następnym Walnym Zjeździe w 1975 roku został zgłoszony przez delegację krakowską i ponownie przez Zjazd uchwalony. Niestety, po dziś dzień - bez skutku. Na kolejne pisma nie otrzymywaliśmy odpowiedzi, zaś na ustne interpelacje odpowiadano nam wymijająco.

Sprawa ta jest, niestety, symptomatyczna. Nie pierwszy to i nie ostatni raz postulaty środowiska literackiego są albo nie uwzględniane, albo zbywane milczeniem. Dotyczy to też niektórych spraw egolnych, jak znane potocznie braki papieru dla literatury pięknej. Na każdym Walnym Zjeździe ponawiamy dezyderaty w tych sprawach, niestety, ze znikomym skutkiem. Świadczą o tym naradowej i rzutuje na całą sytuację panującą w naszym życiu kulturalnym. Kiedy przeglądamy na przykład nasze czasopisma społeczno-kulturalne, kiedy spoglądamy na repertuar naszych teatrów, na większość programów telewizyjny, a także / w mniejszym stopniu / radia, narzuca się wręcz niedopasowanie wrażenie marazmu i braku autentyczności naszego życia intelektualnego. Ten brak autentyczności polega m.in. na nieobecności problematyki społecznej, a także szerszych, prawdziwych dyskusji literackich. Brak spontaniczności cechuje całe nasze życie kulturalne. Wszystkie jest kontrolowane, od maszynopisu w redakcji po wystawę "Domu Książki", od projektu planu repertuarowego po realizację na scenie, a nawet - recepcję widzów. Może nie od rzeczy będzie, jeżeli postuję się przykładem z własnego pięcioletniego doświadczenia. Jako kierownik literacki jednego z teatrów krakowskich, starałem się wraz z dyrekcją iansować współczesny polski repertuar sięgający w miarę możliwości do poważnej problematyki społecznej, nie pominąć współczesność tematu zawsze łącząc się z pewną dozą krytycyzmu, rychno ten właśnie repertuar stał się przedmiotem coraz częstszych ataków ze strony miejscowych władz, w rezultacie czego ja straciłem pracę, a teatr przeszedł głównie na repertuar rozrywkowy.

Wszystkie te negatywne zjawiska w naszym życiu kulturalnym wynikają często z niewłaściwych praktyk polityki kulturalnej. Jedną z nich jest instrumentalne ujmowanie spraw kultury. Jest bowiem kultura, w rozumieniu niektórych jej menadżerów, nie wartością samą w sobie, lecz przekazywaną postaw politycznych, sprowadzanych do trzech: tych, które służą i pomagają w budowie socjalizmu, które są obojętne i które - rzekome - przeszkadzają. Jakież zubożenie różnorodnej, bogatej problematyki naszej literatury! Ponadto, sprawy kultury ujmują się w kategoriach głównie ilościowych, a nie jakościowych, a przecież dla rozwoju kultury ważne jest nie tylko ile milionów ludzi będzie umiało czytać, ile nauczy się chodzić do teatru czy kina, ale też, a może głównie o to, co będą czytać, co oglądać. Smutna prawda

x/ Przemówienie wygłoszone na Zjeździe Literatów 7 kwietnia 1978 r.
Tytuł pochodzi od redakcji.

jest taka, że instytucja, która nie chce nazywać siebie cenzurą, dba raczej o to, czego n i e będzie się czytać czy oglądać. Inną smutną prawdą jest to, że zarówno pisarze, jak i cenzorzy przemieniają pozostaną dzieła dające świadectwo bogactwa albo ubóstwa duchowego naszej epoki, poziomu jej świadomości społecznej, narodowej, artystycznej. Za to, jakim będzie to świadectwo, odpowiedzialni są nie tylko twórcy, ale i menadżerowie kultury i jej kontrolerzy różnego rodzaju i stopnia. Tu trzeba sobie zdać sprawę z faktu odpowiedzialności i z tego, że wszelkie praktyki hamujące powstawanie wartościowych dzieł są działaniem na szkodę kultury polskiej, za które przyszłe pokolenie i historia zażądają rachunku.

Wytworzona w ostatnich latach sytuacja domaga się radykalnej poprawy. Droga ku niej prowadzi poprzez zapewnienie literaturze większej swobody twórczej i większego udziału pisarzy w kształtowaniu życia kulturalnego kraju. Prezesa kolegów, wydaje mi się, że wyrazem takiej poprawy mogłoby być, między innymi sprawami, tyle lat już odkładane powołanie miesięcznika literackiego w Krakowie. Dlatego zwracamy się do przyszłego Zarządu Głównego z apelem o wzmoczenie starań o realizację tego wniosku. zaś do kolegów zebranych tu na sali o potwierdzenie uchwały w tej sprawie podjętej na dwu kolejnych Walnych Zjazdach - przez ponowne uchwalenie wniosku.

WYJASNIENIE W SPRAWIE NIEWYDANEJ KSIĄŻKI x/

W dniu 7 kwietnia, po zakończeniu obrad, na schodach, w obecności kilku osób, podszedł do mnie dyrektor Wydawnictwa Literackiego, Andrzej Kurza, i podniesionym głosem powiedział mi: jeśli nie złożę wyjaśnienia w związku z oświadczeniem Jana Józefa Szczepańskiego, nie będzie ze mną więcej rozmawiał i nie mam czego więcej w Wydawnictwie szukać. Zaskoczony formą wypowiedzi, zdołałem już odchodzącemu dyrektorowi powiedzieć, że nie rozumiem, o co mu chodzi. To oczywista, że w takich momentach zaskoczenia odpowiedź przychodził po jakimś czasie.

Oto moja spóźniona odpowiedź-wyjaśnienie. Zanim ją jednak sformułuję, oświadczam, wyraźnie i bez niedomówień, że to ja nie będę rozmawiał z dyrektorem Wydawnictwa Literackiego, dopóki mnie on za swoje wczorajsze wystąpienie, tu, z tego miejsca, albo listownie, jeśli jest już niemożliwe, nie przeprosi. Więcej: dodam, że mimo to będę rozmawiał z Wydawnictwem Literackim, gdzie mam kilka złożonych propozycji, wychodzące ze słusznego założenia, że Wydawnictwo Literackie nie jest prywatną firmą wydawniczą Andrzeja Kurza, lecz mimo wszystko wydawnictwem państwowym.

A teraz moje wyjaśnienie. Jan Józef Szczepański takim poprzedził komentarzem długą listę książek, którą przedtawiał z tego miejsca. Oświadczył, że znajdują się na niej nie tylko książki zatrzymane przez cenzurę, ale także książki, które z takich czy innych względów nie mogły czy nie mogą się ukazać. W drugiej części tego sformułowania nieścisła była historia mojej książki.

Podaję możliwie zwięzły wyciąg z tej historii. Na początku roku 1977 złożyłem maszynopis, na który została podpisana umowa - rzecz dotyczyła tu powojennego życia literackiego w Polsce, ściślej, była to książka składająca się z dwu szkiców: o tygodniku "Odrodzenie" w fazie lubelskiej i krakowskiej i o "Twórczości" pod redakcją Kazimierza Wyki. Po mniej więcej pięciu miesiącach otrzymałem list i dwie recenzje: bardzo pozytywną recenzję Jana Skórnickiego, recenzję Jerzego Skórnickiego i sformułowaną w liście trzecią, anonimową recenzję w imieniu Wydawnictwa. Idąc za ich wskazaniem, po częściowym ustosunkowaniu się do sugestii, uzupełniłem tekst o 50 stron maszynopisu. Po następnym trzech miesiącach otrzymałem przesytkę, w której znajdował się maszynopis mojej pracy, recenzja Andrzeja Lama i list od Wydawnictwa, w którym Wydawnictwo rozwiązywało ze mną umowę, zaliczając przedpłatę w sumie około 6 tys. zł na moją korzyść. Chęć wyraźnie zaznaczyć, że ani w recenzji Jerzego Skórnickiego, ani w recenzji Andrzeja Lama nie było sugestii, że książki nie należy wydawać. Przeciwnie, obie podkreślały, że książka jest dobrze napisana, wysuwając oczywiście szereg, przynajmniej kilku i poważnych zastrzeżeń, których Wydawnictwo mi jednak do uwzględnienia nie zapropenowało. Decyzją dla Wydawnictwa była więc niemal od początku anonimowa recenzja.

To są fakty. A teraz do nich mój komentarz. W pewnym sensie nie dziwiła mnie decyzja Wydawnictwa. Choć mimo wszystko fuździłem się, że jako nie marketista mam prawo do spojrzenia i interpretacji literatury pierwszego pięciolecia zgodnie z moimi poglądami estetycznymi - nie chodziło w końcu o rzecz aż tak ważną: była to po prostu polemika z ówczesnym stanowiskiem, że w literaturze polskiej tamtego okresu powinien obowiązywać jedynie realizm - tak czy inaczej rozumiany. By nie przedłużać sprawy: posiadam kopię recenzji i listów Wydawnictwa.

Powtarzam, nie widziałem i nie widzę żadnych powodów, aby historię mojej książki, mimo że legalnie zakończoną ze strony Wydawnictwa, ukrywać czy maskować. Przeciwnie, w sytuacji, jaka się zarysowała na obradach, jest ona małym przyczynkiem do niewąskiego obrazu ogólnego.

Przykry dla mnie wczorajszy incydent, i chyba dla każdego, kto by się znalazł w podobnej sytuacji, ma jednak, w sposób nieoczekiwany, i aspekt dodatni. Daje mi okazję do wypowiedzenia tutaj własnego sądu: od paru lat jestem coraz bardziej przygnębiony, przygnębienie to graniczy nieraz z psychicznym załamaniem, gdyż zdaję sobie wyraźnie sprawę, że sytuacja litera-

x/ Przemówienie na Zjeździe Literatów w Katowicach 8 kwietnia 1978.
Tytuł pochodzi od redakcji.

tury czy życia literackiego jest z miesiąca na miesiąc coraz gorsza: nie ma znaczących czy wielkich powieści, nie ma wielkiej poezji, krytyki literackiej, esolistyki, nie ma życia literackiego, nie ma całych pokoleń literackich. Niemal w całości zgadzam się z tymi, którzy o tym wczoraj mówili.

Chciałbym wierzyć, że to istotnie finał kolejnego okresu minionego. A jeśli to tylko nasze złudzenia? Jeśli się nic nie zmieni, lecz przeciwnie - jeśli stan taki będzie trwał jeszcze lata czy dziesiątki lat? Wówczas, kiedyś, proszę wybaczyć ten sentymentalizm, moje córki nie będą mi mogły zrobić jakże gorzkiej wymówki, nie będą mi mogły powiedzieć: byłeś tam i nic nie powiedziałeś. Bo niezależnie od konsekwencji, niezależnie od wszystkiego, co człowiek może spotkać, trzeba w jakimś momencie, kiedy się uzna za stosowny, powiedzieć nie.

Nie jest ta wypowiedź skierowana do rzeczywistości, w której żyje i pracuję, będąc od lat siedemnastu członkiem Związku Literatów Polskich, a od kilku lat członkiem Polskiego Klubu Literackiego PEN i docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wypowiedź ta, owo n i e, jest jedynie skierowana do tych, którzy w ciągu krótkiego okresu - trzech, czterech lat, doprowadzili literaturę polską do zarysowanej tutaj sytuacji.

Jerzy Ficowski

PRZECIW DYSKRIMINOWANIU PRAWDY x/

Wystąpiłem sprawozdań. Podkreśliły one spór osiągnięć ustępującego zarządu. Zabrakło w nich jednak - z wyjątkiem sprawozdania przewodniczącego Klubu Poetów, kolegi Jerzego Zagórskiego - paru "drobiazgów", których za drobiazgi nie uważam. Przypomina mi się komunikat lekarski ze starej anegdoty, w którym konsyliarze zawiadamiają o krzyskiej zniżce temperatury pacjenta, zapominając o poinformowaniu o amputacji ręki.

Dzisiejsze zebranie wyborcze obraduje w odmiennych okolicznościach niż zebranie poprzednie, na którym wybraliśmy nasze warszawskie władze Związku Literatów Polskich, władze, które dziś ustąpią miejsca swoim wybranym przez nas następcom.

Trzeba więc głośno powiedzieć sobie, na czym polega n o v u m, odróżniające lata poprzedniej kadencji Zarządu Warszawskiego ZLP od ostatniego, dziś dobiegającego końca okresu. Polega ono na wyjątkowo bezwzględny, wyjątkowo długotrwającym i wyjątkowo masowym dyskryminowaniu ludzi pióra, naszych kolegów, przez pozazwiązkowe władze administracyjne. To okres Czarnych List, spychających wielu z nas do katakumb literatury. Jestem jednym z zechniętych, ale nie występuję p r o d o m o m e a, lecz - p r o d o m o n o s t r a, bo nasza to wspólna sprawa, a krzywdy zadawane są nie tylko Łosowi czy Igrakowi, ale polskiej kulturze narodowej: a to jest nasz wspólny dom, w nim zarysowują się mury i krusza fundamenty.

Literatura żyje prawda - a mówiąc ściślej - prawem do prawdy, do jej poszukiwań, do jej obrony. Żyje nim każda twórczość bez cudzoziemstwa... Literaturoznawcy ukuli przed laty termin określający owien gatunek narracji literackiej: "Mowa pozornie zależna". Dziś - rzecz by można - żyjemy w epoce postulowanej literaturze mowy p o z o r n i e n i e z a l e ż n e j, interpretator_ki i apologetki narzucanych półprawd, bez prawa do intelektualnego, moralnego i artystycznego samostanowienia, mowy ubieżwłasnowolności. Nie o przywileje nam chodzi, lecz o prawa elementarne, o c o n d i t i o s i n e q u a n o n żywej kultury.

Nie skarżę się na własny los i los wielu kolegów, aczkolwiek zachowywanie milczenia na ten temat byłoby jeszcze dodatkowym gwoździem do tej trumny. Nie skarżę się na ponad dwa ostatnie lata, w ciągu których nie wolno nam było zarabiać piórem, a niektórym - i mnie w tej liczbie - również i w żaden inny godziwy sposób. Zatrzaszczyły się już o to znane - nie tylko z Morwida - "policeja - tajne, widne i dwu-płciowe"... Nie w zarobkowaniu tkwi sens pisarstwa, ale i chlebem człowiek żyje... Nie skarżę się na znana zresztą Związkowi świetnie dyskryminację, która - formułując łagodnie - "dotknęła" mnie i kolegów. Ten nielegalny proceder uważam za godny potępienia, a nie skarg.

Skarżę się na dyskryminację prawdy - prawdy, bez której kultura musi się znaleźć w stanie śmiertelniegroźnego zagrożenia.

Związek Literatów Polskich jako stowarzyszenie zespola nas organizacyjnie, działa z naszego upoważnienia i w naszym imieniu. My stanowimy treść istotną jego działania, my - w oparciu o nasz statut - określamy zasięg jego i granice. Do nas, do każdego z nas, należy obowiązek sprzyjania rozwojowi literatury ojczystej - a to oznacza nic innego, jak przeciwdziałanie zagrożeniom kultury, nic innego - jak obronę prawdy.

Że obrona taka, jak się raz po raz przekonujemy, obrona zgodna nie tylko z własnym rozważaniem, z własną miarą moralną, ale i z Prawem - nie anulowanym przecież - pociągą za sobą inflacyjnie wysokie koszty istotne. Ale jedyna cena, jakiej tu zantaczić nie wolno, to cena upadku polskiej kultury narodowej, włączyć mimo wszystko żywej. Pisarstwo, życie literackie i intelektualne nie jest zamkniętym rezerwatem, jest wszystkimi fibrami zrośnięte z życiem narodu, z życiorysem naszego kraju, z jego dołg i niedołą,

x/ Przemówienie na Walnym Zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich 3 maja 1978. Tytuł pochodzi od redakcji.

sukcesami i klęskami. Tylko literaturze dworskiej nie wolno, a i nie uchodzi, wykraczać poza obręb Dworu i przeciw ceremoniałowi Dworu - pod groźbą ciemnicy.

A tymczasem co się dzieje? Nie chcę wnikać w to, czy jest to stosowana wobec twórców kultury swoista "metoda wychowawcza" licząca na balsam oportunistów, tresura postuszeństwa? Jeśli takie lub podobne hybrydy jej intencje - to rezultaty mogą być i są tylko odwrotne, diametralnie różne od zamiarów i celów anonimowych pedagogów. Naprawdę chyba nikomu na takim zastrzaniu klimatu nie zależy.

Wielki obszar kultury zajęła sobie na paszę święta krowa cenzury. Co Związek nasz zrobił, aby się jej sprzeciwić, aby zakwestionować jej uzurpację? To tylko pytanie - nie retoryczne - jako że należało się nam odpowiedzieć. Nie otrzymaliśmy jej dotychczas; uchwała Walnego Zjazdu to jednak zbyt mało.

Polski PEN-Club, w którego Zarządzie mam zaszczyt zasiadać, wystosował list interwencyjny w tej sprawie do Prezesa Rady Ministrów. Nie chcę przez to powiedzieć, że wierzę w nieuchronną skuteczność listów kierowanych do władz... Chcę powiedzieć jedynie, że nie wierzę w skuteczność milczenia i za gorszącą uważam sytuację, w której - w najlepszym razie: - pozostaje pisarzowi ucieczka na dozwoloną działkę przysługową, aby na jej bezpiecznej grzędce uprawiać niebieskie migdały.

Mogę zrozumieć smutną bezsilność Związku w wielu wymienionych zasadniczych sprawach. Nie mógłbym zrozumieć bezczynności. A już żadną miarą i pod żadnym pozorem nie wolno nam rozgrzeszać współudziału władz związkowych, akceptującego współudziału, w niestawnych akcjach dyskryminacyjnych wymierzonych przeciwko kolegom, przeciwko pełnoprawnym członkom Związku Literatów Polskich.

Trzeba to wyraźnie i dobitnie powiedzieć. Dotychczasowy prezes oddziału warszawskiego, Lesław Bartelski, dokonał takiego aktu akcentacji bezprawia w paru kolejnych warszawskich Jesieniach Poezji, skrajając własnym długopisem i na własną odpowiedzialność szereg poetów z listy tych, którym dane jest prawo w imprezach owej Jesieni uczestniczyć.

Podkreślam: były to jedynie - o ile mi wiadomo - tak jasne fakty włączenia się funkcjonariusza władz związkowych do akcji dyskryminacyjnej. Niem, że Zarząd Główny wyraził prezesowi Oddziału Warszawskiego swoją dezaprobatę. I jestem przekonany, że i my powinniśmy dziś uczynić to samo. - z tą różnicą, że owa forma "nagan" ze strony Zarządu Głównego chciała i nie mogła pociągnąć za sobą żadnych praktycznych konsekwencji. Dziś jest inaczej. Osobiście uważam, że postępek dotychczasowego prezesa OW rzucił cień na działalność zarządu oddziału i dlatego - mimo wszelkich zastrzegów zarządu - kiedy padnie wniosek o udzielenie absolutorium ustępującemu zarządowi, moim obowiązkiem jest głosować przeciw.

A w naszych wyborach głosować mamy na kolegów, którzy by przez najbliższą kadencję działali jako zarząd oddziału, kolegów, których darzymy zaufaniem największym - aby godnie ubolewania fakty nie mogły się powtórzyć, aby jako pełnomocnicy nas wszystkich działali dla dobra nas wszystkich. I aby mając na względzie elementarną, a nie zawsze dotychczas przestrzeganą zasadę - primum non nocere - starali się czynić wszystko, co będzie w ich mocy, aby literatura nasza mogła się rozwijać bez nieprzemysłanej ingerencji w jej naturalne i niezbywalne prawa.

Katastrofalnego niedoboru papieru nie zlikwiduje się przez redukcję liczby pisarzy. Nie zaradzi się temu przez odbieranie prawa publikacji ich utworów, - choć byłaby w tym przynajmniej jakaś idea, absurdatna - ale idea. Można jednak tą drogą zlikwidować coś więcej: impendabilia, bez których rozwój jest niemożliwy, regres zaś pewny. Warto pamiętać o tych truizmach. Nie trzeba nikogo na tej sali przekonywać, że obrona praw pisarzy jest naszym zadaniem i obowiązkiem Związku Literatów Polskich, nieraz ciężkim, ale bezwzględny obowiązek. Ale może warto by jeszcze raz przypomnieć, że to nie tylko wzniosłe hasło, że znaczy coś naprawdę i że obliguje.

Witold Dąbrowski

SA GRANICE, KTÓRYCH PRZEKROCZYĆ NIE WOLNO x/

Droży Koledzy!

Będąc od lat dwudziestu szczęśliwym członkiem tego Związku po raz pierwszy dopiero stałem wobec trudnej niemożności głosowania z udziałem absolutorium ustępującemu Zarządowi Oddziału. Jest to dla mnie istotny problem i dlatego muszę się z Kolegami podzielić moimi, nazwijmy je tak, wątpliwościami.

Na ostatnim Zjeździe katowickim parokrotnie powoływano się na Stefana Żeromskiego jako ojca duchowego naszej pisarskiej organizacji. W jego "Projekcie Akademii Literatury Polskiej" czytam: "Sadzę, że wszyscy ludzie pracujący twórczo lub umiejętnie na polu literatury pięknej powinni zrzeszyć się w organizację wszechobejmującą, dla obrony wszystkich od nacisku niedoli zewnętrznej". To te słowa Żeromskiego patronowały przed laty narodzinom naszego stowarzyszenia.

"Do obrony wszystkich od nacisku niedoli wewnętrznej".

Związek Literatów Polskich tym słowem pana Stefana wierności zawsze dochowywał. Grupując pisarzy najrozmaitszych przekonań i orientacji zawsze byłśmy tu po koleżeńsku solidarni. Nawet w latach, kiedy funkcjonowała Bereza Kartuska, nigdy żaden Zarząd Związku nie włączył się do żadnej akcji represyjnej przeciwko jakiegokolwiek grupie kolegów. Dlatego też uważam, że trudno jest przecenić wagę, którego może skądinąd incydentu z niefortunną, ale i złowrogą Jesienią Poetycką 76 roku, incydentu omówionego już w sprawozdaniu Klubu Poetów, choć całkowicie pominiętego w sprawozdaniu Zarządu, który z tych Jesieni Poetów tak bardzo jest dumny. Urzędnik skrzywił nos i Prezes Zarządu Oddziału skreślił z listy uczestników trzynastu źle akurat przez kogoś widzianych kolegów-poetów. Władza naszego Związku podjęła się wykonywania administracyjnych represji wobec naszych związkowych kolegów; stała się rzecz bez precedensu - po raz pierwszy w dziejach ZLP nacisk niedoli zewnętrznej odczuliśmy aż tak bardzo wewnętrznie, bo nacisnęła nas nasza własna, koleżeńska, pochodząca z wyboru instancja. Zlekceważyła ona zarazem Statut, który mówi w paragrafie siódmym, że Związek dba o swobody twórcze pisarzy, troszczy się o ich moralne interesy, broni ich praw zawodowych. Statut ten nigdzie nie mówi, że Związek ma dzielić pisarzy na dobrane i źle widzianych.

Nie znalazłem się wtedy między owymi represjonowanymi przez Zarząd Oddziału kolegami. Ale jak wielu innych, musiałem w tej sytuacji i ja zrezygnować z udziału w miłych imprezach Jesieni. I wcale nie odczuwam Schopenhauera z tego powodu, że w rezultacie całej afery na następnej, obiegłorocznej Jesieni Poetów wśród rekordowej liczby 170 uczestników było już tylko kilka naprawdę liczących się nazwisk poetyckich. Wielka, niepowetowana szkoda.

Trudno mi odpowiedzialnością za tamten represyjny incydent obciążyć cały ustępujący Zarząd, bo wiem, jak nikły bywa czasami udział poszczególnych kolegów w działaniach Zarządu. Ale nie usłyszełszy ani wtedy, ani potem ani słowa protestu czy dezaprobaty wobec decyzji prezesa z ust urzędujących wiceprezesów, kolegów Aleksandra Minkowskiego, Wacława Sądковского... Dla siebie czerpię stąd ostrzeżenie, by nie oddawać więcej głosu na żadnego z tych kolegów w wyborach do żadnych władz naszego zrzeszenia. Nie jestem młodzieniaszkiem i wiem, jak wiele trzeba nieraz zrobić pod naciskiem twardej konieczności, wiem też jednak, że są granice, których przekroczyć nie wolno, jeśli Związek nasz ma zachować jakiś elementarny sens. Nie może się Związek zajmować represjonowaniem niektórych swoich członków. Nie taki był nacisk zewnętrzny niedoli przed dziesięcioma laty a przecież nie usuneliśmy wtedy ze Związku Bawła Jasienicy, Januarego Grzędzińskiego ani Stefana Kisielewskiego i słusznie jesteśmy z tego dumni, ocalono wtedy bowiem coś więcej niż te-

x/ Przemówienie na Walnym Zjeździe Oddziału Warszawskiego ZLP 3 maja 1978. Tytuł pochodzi od redakcji.

gitymacje zetelpowskie owych trzech kolegów.

A przecież sprawa tych dwóch ostatnich Jesieni Poetyckich nie jest jedyną. Nie muszę przypominać skandalu z wcześniejszym udostępnieniem list kandydatów na delegatów na Zjazd katowicki pewnej tylko grupie kolegów, bo to przecież ledwie dwa miesiące temu i z tej okazji padały z trybuny naszego poprzedniego zebrania słowa tak ostre, jakich się na naszych zgromadzeniach literackich raczej nie słyszy. Powiem tylko, że nie zdziwiłem się skardze prezesa Bartelskiego, który w wywiadzie dla katowickich "Poglądów" z 1 marca powiedział: "Coraz mniej chętnych widzimy do współdziałania". Chętnych do współdziałania w takich działaniach nie bawem, obawiam się, w ogóle się pan, kolego Bartelski, nie dopatrzy.

Tyle uzasadnienia, dla jakich to przyczyn nie będę się mógł opowiedzieć za udzieleniem Zarządowi absolutorium.

REFLEKSJE PO XX ZJEŹDZIE /LITERATÓW/

Myśle, iż momentem wypowiedzenia się prawdy jest każdy, w którym ktoś ją chce wypowiedzieć, że wprawdzie niewątpliwie prawda czekać może, ale nie zawsze czekanie to na dobre samemu człowiekowi wychodzi. Nic łatwiejszego, jak stracić prawy i szczerzy stosunek do własnej myśli. Zdarza się to niekiedy całym epokom...

Stanisław Brzozowski, "Kultura i życie"

Pozwolicie koleczy, x/ iż jako jeden z wybranych przez Was delegatów na XX Zjazd ZLP, który przed niespełna miesiącem odbył swe obrady w Katowicach, podzielię się na samym wstępie kilkoma pozjazdowymi refleksjami. Refleksjami - niepokojami. Dotyczyć one zwłaszcza będą sposobu poinformowania opinii publicznej o przebiegu i wynikach Zjazdu.

Nietrudno nam było skonstatować, nam delegatom, a i zapewne Wam, pozostającym członkom związkowej społeczności literackiej, że katowickie forum pisarzy i dyskutowana na nim problematyka - spotkały się z objawami wyjątkowo żywego zainteresowania społecznego. Dlaczego? Albowiem istotnie było to forum, czyli/że posłuże się definicją zawartą w Słowniku wyrazów obcych Władysława Kopalińskiego/"miejsce, na którym przedstawia się ważne sprawy publiczne do rozważenia, osądzenia, załatwienia", w głównym, wolnym od haraczu uzgodnionego odgórnie pustostawia, rzeczywistocie myślenia i krytyki, a przez to samo i niejednorodnym nurcie pisarskiej dyskusji - w nurcie wyznaczonym głosami Jarosława Iwaszkiewicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Marka Nowakowskiego, Jerzego S. Sity, Andrzeja Brauna, Wandy Żółkiewskiej, Korneła Filipowicza, Leszka Elektorowicza, Zbigniewa Zakiewicza, Janusza Maciejewskiego, Kazimierza Koźniewskiego, Jacka Woźniakowskiego, Wiesława Pawła Szymańskiego, Kazimierza Działanowskiego, Przemysława Bystrzyckiego, Artura Sandauera, Anny Trzeciakowskiej, Seweryna Pollaka, Jerzego Zagórskiego, Stefana Bratkowskiego, Urszuli Kozioł - podejmowano wiele spraw o znaczeniu zasadniczym dla teraźniejszości i przyszłości literatury i kultury w Polsce. Od nabełatej/i spychanej ze zjazdu na zjazd sprawy papieru i katastrofalnej sytuacji książki polskiej, po sprawę, już obecnie widoczną, groźnych konsekwencji wynikających ze skrócenia czasu studiów, a także z zachwiania prorocji między przedmiotami kierunkowymi a uzupelniającymi/ na niekorzyść tych pierwszych/ na polonistycę i innych wydziałach filologicznych. Od sprawy białych plam i luk, jakich niepało w podręcznikach i naukowych opracowaniach historii ojczystej, po sprawę - jak to z piękną zwięzłością ujął Marek Nowakowski - "złamane go skrzydła literatury traktującej o współczesności".

Mówiono o dyskryminacji wybitnych częstokroć twórców i przemilczaniu ich osiągnięć, o nieobecności nazwisk i dzieł, o edytorskich trudnościach z tytułami, na które skądinąd czytelnicy niecierpliwie czekają. /Przykłady pierwsze z brzegu: książka wierszy Czesława Miłosza i tom esejów Stanisława Vincenza - gotowe do druku i leżące już od paru lat w jednym z wydawnictw/. Wielokrotnie w toku dyskusji powracano do raubriterskich poczynań cenzury - i chyba nie tylko cenzury. Sygnalizowano rozmaite przejawy awanturniczego niszczytelstwa, nie liczącego się z kulturą polską jako do b r a m w s p ó l n y m i niepodzielnym, wskazywano na szereg doraźnych i niepójetych decyzji, z reguły półanonimowych, nie wiadomo do końca czyich - administracji? kulturalnej polityki? Ktoś bodaj Artur Sandauer, zaprotestował na przykład przeciwko niewytumaczalnemu w kategoriach logiki i racjonalnej pedagogiki społecznej, nader arbitralnemu i bezapelacyjnemu sfamszeniu w zarodku dyskusji nad "Człowiekiem z marmuru": dziełem filmowym, które, jak żadne inne ostatnio, poruszyło emocjami społecznymi i wybraźniła milionowej widowni. W tym stanie rzeczy nikogo nie mógł zbulwersować zwrot o gwałcie na kulturze".

Słowem, postawiono z trybuny zjazdowej szereg zarzutów i pytań istotnych, nieraz dramatycznie sformułowanych i donagających się generalnego rozstrzygnięcia. Obok tego podnoszono troski i bolączki jakby mniejszej wagi, wszakże ze świadomością, którą wyraził Jacek Woźniakowski, iż "w matych sprawach odbijają się wielkie problemy".

Trudno w niewielu zdaniach dać pojęcie o bogactwie treści i różnorodności postaw, stylów, a wreszcie i "form podawczych", jakie złożyły się na katowicką dyskusję.

Co natomiast z tego tak bardzo cennego, wielowątkowego i krzepiącego dla i o g u p i s a r z y dotarło do władomości publicznej? Żenująco mało. Nic prawie. Jakież strzępy i fragmenty, i to przeważnie mniej ciekawe, mniej charakterystyczne dla głównego nurtu zjazdowej dyskusji przyniosło "Życie Literackie".

Jak się zdaje, w pełnym brzmieniu i wymiarze ogłoszono w prasie zarówno codziennej /katowicka "Trybuna Robotnicza", nakł. i.213.998 egzemplarzy.../, jak i w tygodnikach społeczno-kulturalnych, wyjątknie przemówienia znaczących rangą działaczy politycznych - przedstawicieli kierownictwa partyjnego i państwowego. Tak jakby w cieniu szeroko, esentencjalnie rozpartych skrzydeł przemówień dygnitarzy miała się ukryć ciasno zbita gromadka nazwisk mówców-literatów, wymienionych na semym końcu, niemal z łaski...

Taki oto obraz XX Zjazdu Związku Literatów Polskich "zaserwował" społeczeństwu - mówiąc ich językiem - sprawozdawcy Polskiej Agencji Prasowej przez innych środków masowego przekazu. Nil novi sub sole.

II

Zapewne, nic nowego. Zdążyliśmy się przyzwyczaić do chronicznie nianormalnej sytuacji. Wszelako to horrendalna wykrzywienie proporcji i celowa zniekształcenie prawdziwego obrazu rzeczy w mocno drastyczny sposób obnażyło tym razem ogólniejsze niedomogi naszego życia publicznego. Skupiło w sobie, niczym w soczewce, jego podstawowe i niemożliwe już jednak do zniesienia a n o m a l i e. Trzeba więc i warto nad nimi się zatrzymać.

Odż, po pierwsze, typ owej nierzetelnej informacji, pod jednym kątem wyselekcjonowanej i poszatkowanej, z rozmysłu niepełnej i mało konkretnej, nieuchronnie ześlizgującej się w uniki i pozorzy, jest oczywiście [w wypadku katowickiego zjazdu pisarzy jednym z przejawów pogłębiającego się stale procesu reglamentowania i zatajania przed ogółem nerodu wiedzy o nim samym. Wprawdzie pogrudniowe kierownictwo polityczne zdawało się być w pełni świadoma faktu, że "dobre poinformowanie społeczeństwa" stanowi niezbędny warunek współczesności obywateli w "realizacji wysuwanych programów", ale niestety, dość szybko zrezygnowało z tej godnej i mądrej zasady rządzenia. Toteż od lat wszyscy jesteśmy ofiarami wzrastającego n i e d o ż y w i e n i a i n f o r m a c y j n e g o. Wyraźne "chudnięcie" gazet i poważnej prasy, kryzys dotychczasowej funkcji tygodników literackich, zamieranie publicystyki przeznaczonej dla czytelników dorosłych i samodzielnie myślących, udział wielu gatunków twórczości dziennikarskiej, en gros wypliranej przez dręcznotę i prymitywizm "nowomowy", ostra ewitaminoza myśli krytycznej w publikacjach periodycznych i wydawnictwach - to tylko niektóre czynniki wpływające na obniżenie poziomu społecznego spożycia informacji w naszym kraju. Jasne jest, że dalsze zaniżanie poziomu społecznego poinformowania musi w swolch następstwach bezpośrednich doprowadzić - jeśli w istocie zjawisko to już nie nastąpiło - do l i p u t y z a c y j s a m o w i e d z y społecznej i odebrania szerokim masom szansy aktywnego uczestniczenia zarówno we władzy, jak i w kulturze. Widmo "odbiorcy ubezwłasnowolnionego" nie jest wymyśleniem malkontentów. Podobnie jak i nie są przedwczesne łeki i alarmy ostrzegające przed całkiem możliwą groźbą upośledzenia narodu jako efektu systematycznego zatajania informacji i reglamentowania aktualnej wiedzy społeczno-politycznej.

A po wtóre, w sprawozdaniach prasowych z katowickiego zjazdu mie-

Ilisny do czynienia z klasycznym przejawem tak zwanych "rozwartych no-
życ", czyli z rozejściem się w przeciwną stronę p r a w d y o f i -
c j e l n e j i realnej. Ta druga ulega w naszych warunkach tylu zabiegom
demonstującym, zostaje zawsze tak przekomponowana, tak spreparowana
i podporządkowana racjom pierwszej, że doprawdy nikt spośród naocznych
świadców i uczestników rzeczywistych wydarzeń już nie potrafi rozpoznać
się w nowej, okrojonej lch wersji. Zamiast opisu rzeczywistości, z jej
kolorytem, z jej ludzkimi odcieniami, z mnożstwem konkretnych, które się
na nią składają, z całą jej żywą i ciekawą historią, społeczeństwo otr-
zymuje w efekcie wydrążoną strupę.

Kolejnym aspektem w istocie tego samego wciąż problemu jest przede-
ujawniający się przy każdej okazji f u n d a m e n t a l n y r o z -
s i e w między kulturą na pokaz a kulturą na co dzień. Kultura pokazo-
wa to kultura nieodłączna od r y t u a l i z a c j i c a ł o ś c i
ż y c i a p u b l i c z n e g o, kultura grzeczna, bezkrywa i anemicz-
na, centralnie "zredagowana", na każdym kroku kontrolowana i korygowana
przez "główne urzędy". Kultura codzienna to kultura dramatyczna, różno-
rodna, bujna i bogata, czerpiąca swoje żywotne soki, swoją siłę, tworzy-
wo i natchnienie ze złożoności i dynamizmu społecznego życia, to kultur-
a polemiczna/zgodnie z herakliitejską zasadą: "walka jest ojcem wszech-
rzeczy"/, to kultura i n w e n c j i i a u t e n t y z m u przeżyć i
poszukiwań.

Gdy więc pierwsza jest kultura wymuszonego postuszeństwa, druga
jest kulturą spontanicznej niezależności. Ramą ideologiczną pierwszej
jest totalizm, kanonem drugiej - pluralizm. Los narodowy, tradycja, in-
stynkt i wybór, wszystko sprzęga nas, Polaków, ze wzorem kultury niez-
ależnej, antyautorytarnej.

Tymczasem czynnik odpowiedzialny za politykę kulturalną i oświato-
wą postępują niejednokrotnie w taki sposób, jak gdyby fakt istnienia au-
tentycznej kultury pragnęły - ze wstydu? z obawy? ale przed kim? - ukryć
i zamaskować, jakby starały się za wszelką cenę dokonać, mówiąc psycho-
analitycznym językiem, jej "stłumienia" i "wyparcia", udając, że jej nie
było i nie ma. Służą temu celowi rozmaite brzydkie zabiegi, między innymi
w y m a z y w a n i e, eliminowanie wartości, nieustannie negatywna selek-
cja dzieł i nazwisk, rewizorskie ingerowanie w pamięć zbiorową. Czy cho-
dzi o to, żebyśmy się przestali orientować we własnym dorobku duchowym?

III

"Mamy rzadką i wspaniałą literaturę" - mówi z trybuny zjazdowej
w Katowicach Jarosław Iwaszkiewicz. Zgoda. Ale czy literaturę tę dosta-
tecznie znamy? Czy kultuujemy, chronimy i w kompletnym zestawie upow-
szeczniamy różnorodne i rzeczywiście cenne jej wartości? Czy z wszyst-
kimi owoi wybitnie wartościowymi utworami jest w stanie w sposób swo-
bodny obcować nasza ucząca się i studiująca młodzież? Wtemy doskonale,
że tak nie jest.

Oto bowiem część polskiej literatury współczesnej nadal nosi piętno
emigracyjności i - nie posiadając debitu - nie znajduje tym samym nor-
malnej drogi do krajowego odbiorcy. Owszem, nowe księgi pielgrzymstwa
polskiego, szamuglowane przez kordony tak samo jak niedawno, są w kraju za-
czytywane, przepisywane, krążą z rąk do rąk, ale mimo wszystko lch obieg
pozostaje niewspółmiernie wąski, ograniczony, elitarny. Kiedyż zbladzą
istotnie do nieprzełiczonych polskich bibliotek domowych - "Rodzima Euro-
pa" i "Prywatne obowiązki", "Eseje dla Kasandry" i "Dziennik pisany nocą"
"Inny świat" i "Zasypie wszystko, zawleje...". "Nó j wiek" i "Piękni dwu-
dziesięcioletni"? Za sto lat może...

Ile przy tym szkód z punktu widzenia wiedzy o literaturze powojennej
i o faktycznych hierarchiach wartości, wyrządza notorycznie eliminowanie
choćby jednego tyko "Ocalenia", książki naprawdę rzadkiej i wspaniałej -
opublikowanej przecież jeszcze w kraju, rok 1945 - z przystępującego jej
wysokiego miejsca w podręcznikach szkolnych i innych tego typu opracowa-
niach: uniwersyteckich, naukowopopularnych itd.

Dobrze, zostawmy literaturę oficjalnie "zakazaną" na boku. Ale wszak w podobnym stanie półjawności, na pograniczu ni to bytu, ni to konspiracji, w postaci raczej fantomicznej niż społecznej rzeczywistości, egzystuje znaczna ilość utworów, które zakazem rozpowszechniania w dostojnym tego słowa znaczeniu objęte nie zostały.

I tak "Ciepto, zimno", Adama Zagajewskiego, bezsprzecznie najciekawszy i najdojrzawszy debiut powieściowy kilku sezonów ostatnich, miał swoją edycję w PIV-ie w roku 1975 i nawet zyskał krótkotrwały rozgłos, po czym wokół książki zapadła głucha cisza. Dyskusje raptownie się urwały, fakt istnienia powieści uleciał jakby z pamięci recenzentów, przestało się na nią powoływać, przestano ją uwzględniać we wszelkiego rodzaju omówieniach i bilansach krytycznoliterackich.

Odmienny był casus "Miazgi". O powieści Jerzego Andrzejewskiego spotkał się bowiem mówiono, m.in. z racji ogłoszenia dużego fragmentu w "Twórczości" /1966 nr 10/, tylko znikomy jednak procent czytelników "wajemniczo" miał szansę poznać cały utwór. "Miazga" obrastała legendą, ale nie stawała się faktem edytorskim. Pojawiała się okresowo w zapowiedziach wydawniczych i ponownie spadała z planów. Od dziesięciolecia z górą znajduje się w stadium osobliwego zawieszenia między półogzestacją a nie-bytem, nie istniejąc istniejąc w leśmianowskim "niedowolieniu". I choćby nawet powieść ta okazała się kiedyś arcydziełem, "uomnym, ależ wielce rzeczywistym" pamiętnikiem ironicznie powikłanych losów zbiorowych lub co najmniej kluczowym dokumentem artystycznym epoki przedmarcowej w Polsce, nie zmienił to w niczym sedna jej dramatu. Dramatu, który się już dokonał. Powieść to dzieło napisane dla współczesnych i o współczesnych, niosące w sobie troskę dnia, kabatę aktualnej historii, jakąś specyficzną konfigurację problemową i wyraźnie zaadresowane przesłanie - nie może, bez uszczerbku dla siebie, czekać na publikację w nieskończoność i liczyć jedynie na względy potomności. "Przedwiośnie" opublikowane dwadzieścia lat później, w zmienionym czasie i w oczach innego pokolenia czytelników, nie byłoby już tym samym, poruszającym sumienia, p a m i e t n y m "Przedwiośniem", jakim mogło być tylko raz, w t e d y, na przełomie 1924 i 1925 roku. Nie byłoby przestrogą obywatelską, owym dziwnie wzburzonym gęsem wzywającym naród do opamiętania. Nie byłoby przeżyciem zbiorowym. Nigdy się nie dowlemy, czym w zmąconym moralnie życiu współczesnego pokolenia oraz jakiego rodzaju wstrząsem mogła być stać się "Miazga", ani jak wpłynęłaby na przebieg procesów artystycznych, na formę i na samą ideę literatury, gdyby się była ukazała we właściwym czasie. A zatem... Kto się boi "Wesela" naszych dni? Nietrudno odpowiedzieć, że ten sam, kto się wstydził "Człowieka z marmuru".

Przyznaje chętnie, że ostracyzm w stosunku do "określonych" trendów i odmian współczesnej twórczości przybiera dziś bardziej wyrafinowane formy niż w stalinowskim okresie, staje się gładki i różnicowany, mieni się jak skóra węża. Zdolny jest przede wszystkim do taktycznych ustępstw. Otóż i pojawiają się na rynku księgarskim atrakcyjne edycje, serie i kolekcje o "liberalnym" profilu, reprezentatywne wybory dzieł, albo "prawie" dzieła zebrane takich znakomitych twórców starszego pokolenia jak Nałkowska, Dąbrowska, Parandowski, Iwaszkiewicz, Breza. Wznawiani są i Buczkowski, i Kuśniewcz, i Lem, i Truchanowski, i Parnicki. Ten szeroki wachlarz cleszy. Jakoś jednak ciągle nie mogą znaleźć się w księgarskich ze swoimi dziełami zebranymi /czy choćby zbliżonymi do zebranych/ inni członkowie twórcy polskiej literatury dwudziestowiecznej, często jej współcześni klasycy: Andrzejewski, A. Rudnicki, Zawlejski, Strykowski, Malewska, J. J. Szczepański, K. Brandys, Konwicki /nie wspominając o Miłoszu i Gombrowcu/.

Od dawna nie były wznowiane takie ważne i charakterystyczne tytuły literatury powojennego trzydziestolecia, jak "Sprzysiężenie" /1947/ Stefana Kisielewskiego, jak pierwsze tomy "Niebieskich kartek", a szczególnie "Przeświły" Adolfa Rudnickiego, jak "Matka Królów" Kazimierza Braudysa, jak "Czarna róża" Juliana Strykowskiego, jak "Okrutna gwiazda" i "Sny pod niegłem" Wiktora Woroszyńskiego, jak zbiory wierszy i eseje składające się na polityczny nurt literacki polskiego Października. Nie

na tych pozycji w konsekwencji Istot współczesnego Pięta wykształconego. Wiele z nich stało się dostojnymi rezydentami anachronizmu.

Ala literatura to nie tylko książki, to również dyskusje, sesje-plawy, ruch myślowy, jak i sposób myślenia. Brakuje nam środków-waż, pełnej i starogodnej dokonywania życia literackiego w całym okresie powojennym, brakuje nam tekturowych wypracowań, kronik, przeglądów sferycznych (tekturowych) literackich, monografii, zeszyców, wyborów pu-blicystyki i esejystyki, apokryficznych i parafrazowanych zestawów Idei. Co najmniej cztery wielkie antyki literackie stały w nas miejsce po wojnie. Była to antyka Krakowska "Współczesność" w sprawie stosunku in-telktualistów i pisarzy do literatury dwudziestolecia międzywojennego. Była to antyka "Nowej Kultury" z lat 1954-1955: "Pisarze wobec Działal-ności". Była to następna /rok 1956/ antyka "Przeglądu Kulturalnego" "Jak widzę współczesną polską sztukę nowotwórczą" i była to, w latach sześćdziesiątych, antyka "Tygodnika Kulturalnego" na temat tradycji. Narzy mi się seria antologii zbierających i przypominających temata wy-powiedzi. Wyobrażam sobie, iż tego rodzaju antologia byłaby nieocenio-nym przewodnikiem i pomocą dla wszystkich chcących patrzeć na współczes-ną literaturę głębiej i szerszej, chcących ją rozumieć w kontaktach kul-tury i historii, humanistyki i ideologii, w naturalnych powiązaniach z sytuacjami społecznymi.

Wszędzie na świecie literatura nowoczesna stoi na krytyce i esea-tyce literackiej. I w nasz dorobek tych ewangelizujących w XX wieku dziesiątków pisarskich nie jest wciągnięta. Ale zamieszkuje się dżigiel na gwałtownie ewidentnie, nie pamięta się o ich własnych i najbliższych nawet tra-dycjach, bezbrakowo marnotrawi się nagromadzone dobro intelektualne - bo-gactwo sądów, analiz, przemyśleń, odkrywczych interpretacji - zamiast je utrzymywać w stałym obrotu i umieszczenia mobilizować dla potrzeb szko-ły i uniwersytetu; chociażby w postaci kilku dziesiętnych serii na wzór wydawnictw francuskich. Odrzucenie. Poza jednym czy drugim wyjątkiem, po-wojenne książki krytyczne nie są wznowione. Nie umieszczają się ich tycy-tów w Biblioteczce Literatury XX-lecia. Nie buduje się z nich sensownych ciągów myślowych. Nie ceni się bowiem autorstwa i oryginalności, umy-słowej poezji i światopoglądowego ryzyka. Jednym słowem, nie dopuszczają się do otwartego dialogu stanożek i uniemożliwiają swobodny wybór i kon-frontację wartości. Stąd t a k d t u g e n i e o b e c n e f c w i e l u krytyków, brak radycałi "Książców o Szekspirze" Jana Kotte, "Zmiany warty" Jana Bronieckiego, "Pięknie i Orfeusz" Zbigniewa Bieńkowskiego i nade wszystko tak rozsławionej esejystyki Andrzeja Kljowskiego. Ale przecież, jak powiedziano, nieodzowna jest nawet tradycja kryty-ki lewicowej nieobca w świadomości przeciętnego konsumenta kultury są jej dwudziestowieczne warty radykalno-demokratyczne, socjologiczne, marksistowskie; nie ma na rynku kolegażskim takiej "biblioteki", która prezentowałaby, w sposób możliwie sprawiedliwy i wielostronny, "wszystko o kulturze i literaturze" Wacława Natkowskiego, Juliana Bruna-Bronowicza, Andrzeja Stawera, Ignacego Pika, Stefana Żółkiewskiego.

Na całym zapłakim obszarze żywej współczesnej tradycji widoczne są nożytki Wielkiego Cenzora. Nie było od dziesięcioleci i nadal nie ma plam zebranych Henrycego Mechackiego. Nie ma półnego Brzozowskiego/ "Ida", "Czasy wśród nocny", "Pamiętnik", "Książka o starej kobiecie"/. Wacława Beranza cyki "Opowieści biograficznych" /"Nure" - "Urogenes w koteczu" - "Zmierzch wódzów"/, cyki stanowiący jeden z kanonicznych dzieł nowoczesnej naszej świadomości narodowej, nigdy nie ukazał się w całości. Szczęśliwie rozpoczęto edycję "Pisan" Iryżkowskiego, a raczej nieszczęśliwie, bo od razu z paszusił wstydliwie wykonanymi: w "Be-niaminku", w "Staniu wśród porcelany". Strach pomyśleć, co się będzie działo dalej, gdy przyjdzie przedrukować "Czyn i słowo" albo publicy-zyka "pana Karola" z lat trzydziestych. Czyżbyśmy nie byli społeczeń-stwem dorosłym? Gdyby zaprojektować z t u s z k a f e k e j e polz-kiej przy XX-wieku - kolekcję "arcydzieł nieznanych", może osobliwych, lecz zarazem wytrzymujących współczesność z awangardą intelektualno-literacką Zachodu - i szukać odpowiednich tytułów, to okazał się znowu, że szeregu książek nie będzie można obecnie wydać: myślę o dwu najwaz-

niejszych powieściach Stanisława Ignacego Witkiewicza, "Pożegnaniu Jesieni" i "Nienasyceńcu", o "Weselu bratniego Orgaza" Romana Jaworskiego, o "Sołt ziem" Józefa Wittlina, i o innych jeszcze.

W końcu powstaje podejrzenie, że polityka oświatowa i kulturalna, polityka wydawnicza, nie chce albo nie umie sprostać dzisiaj oczekiwaniom i potrzebom, które wczoraj sama rozbudziła.

IV

W rezultacie społeczeństwo zmuszone zostało do podwójnego życia. Także na płaszczyźnie kulturalnej. To znaczy do znajdowania innych niż oficjalne formy uczestniczenia w kulturze - form informowania się, kształcenia, twórczości i rozpowszechniania wartości. Stąd rozkwit niezależnych wydawnictw, pojawienie się czasopism i książek nie zdanych już na łaskę i niełaskę cenzury. Stąd studenckie inicjatywy samokształceniowe, pragnące chociaż w części zaradzić niedostatkom i znanym powszechnie ograniczeniom państwowego systemu nauczania, zwłaszcza w zakresie nauk społecznych i humanistycznych.

Inicjatywy te znalazły oparcie w Towarzystwie Kursów Naukowych, powołanym do życia w styczniu bieżącego roku. TKN, odwołując się świadomie do tradycji tak zastużonych, postępowych towarzystw naukowych, jak warszawski "uniwersytet latający" na przełomie wieków, czy Wojska Wszecchnica Polska okresu międzywojennego, skupił wielu wybitnych uczonych / w tym sześciu członków rzeczywistych PAN/, profesorów wyższych uczelni, pracowników instytucji naukowych, znanych pisarzy i przedstawicieli młodej inteligencji. Sygnatariusze Deklaracji Towarzystwa Kursów Naukowych to ludzie o niepodobnych biografjach i nader odmiennych przekonaniach, reprezentujący różne gałęzie wiedzy i umiejętności, i należący do bardzo różnych pokoleń. Zjednoczeni zaś potrzebą i programem działania na rzecz wolności nauki i demokratycznej odwilży w Polsce. Działania poprzez wspomaganie przede wszystkim ówch samorzutnie powstałych grup samokształceniowych młodzieży, poprzez organizowanie dalszych prelekcji i wykładów, a także poprzez inspirowanie pogłębionych badań nad wybranymi problemami współczesności.

Z żalem jednak należy stwierdzić, że zarówno cenne inicjatywy samokształceniowe młodzieży akademickiej, jak i działalność wykładowa Towarzystwa, nie spotkały się ze zrozumieniem i tolerancją władz. W okresie ostatnich szczególnie tygodni wzmożła się nekająca działalność represyjna organów porządkowych, wymierzona tym razem nie przeciw poszczególnym prelegentom, jak bywało dotychczas, ale generalnie przeciwko gospodarzom mieszkań dostępnianych na cele wykładowe. Szereg osób zamieszkałych w Warszawie wezwano przed kolegia do spraw wykroczeń i ukarano wysokimi grzywnami. Znamiennie jest, że w ani jednym wypadku oskarżyciel nie podjął się choćby próby udowodnienia szkodliwości merytorycznej zajęć odbywanych z młodzieżą. Podstawą do wymiarzenia kary było za każdym razem formalne uchybienie w stosunku do przepisów porządkowych.

Kol. Sokorski w swoim poniekąd głośnym już wystąpieniu w Klubie MPiK na Bagateli 3 marca br. zapewniał, że partia rządząca nie będzie się uciekała do środków administracyjnych w konfrontacji z opozycyjną działalnością ideologiczną i polityczną. Chyba że opozycjonista "podkłada bombę albo chce wysadzić coś w powietrze". /Cytuję za "Biuletynem informacyjnym" nr 18, s. 42/.

Towarzystwo Kursów Naukowych nie jest opozycją polityczną. Ani nie zamierza niczego wysadzać w powietrze. "Sens istnienia Towarzystwa - głos referat Komisji Programowej - polega nie tylko na udziału w ochronie i merytorycznej pomocy samokształceniowej, ale również na tworzeniu demokratycznych form działania społecznego tak niezbędnego dziś w kraju". A mimo to próbuje się drastycznie zahamować działalność Towarzystwa. Zastanawiam się Kolego Sokorski, czy Waszym zdaniem, przestuchania na MO, kolegia do spraw wykroczeń i grzywny należą jeszcze do repertuaru środków administracyjnych, czy też mamy tu już do czynienia z obwieszczaniem przez Was jakoś ciwło wyższym stopniem konfrontacji politycznej? Jeśli tak

ma wyglądać w rzeczywistości "konfrontacja polityczna", to trzeba przyznać, że nie zyskaliśmy wiele. Trochę więcej nie spełnionych obietnic.

x/ Jest to szersza nieco wersja przedwzięcia wygłoszonego na Walnym Zebraniu Sprawozdawczo-Wyborczym Oddziału Warszawskiego ZLP w dniu 3 maja 1978 r.

Antoni Pawlak

W I E R S Z E

MÓDLITWA POLSKA

nasz chleb powszedni miłozenta
 popiół pokory strząsany z włosów
 szarość twarzy whaftowanych
 w poranny tłum
 bunt, który nigdy nie wypłynie
 z cichej przystani ciał
 miłość rozświetlającą chwilami
 martwa oczy
 nadzieję rozbitą
 o twardej korpus świtu
 niemoc dnia i jałowość nocy
 tobie Panie składamy w darze

x x x

A.Z.

od salwy wieczornych wiadomości lub
 pod duszącymi płatami porannych gazet
 ślicho umierają poeci
 skrzynki na listy zwracają znięte maszynopisy
 z książek wypadają nazwiska
 pustoszeją kawiarnie
 spotykasz ich tylko czasem
 w ostatnim schronieniu lasu
 lub wieczorem gdy z zagipsowanymi ustami
 wychpają na ulice i próbują
 porozumieć się z tobą
 mimochodem tworząc konkretną
 poezję gestów

x x x

"Nie znaleźliśmy nigdy ciszy i przystani, żydzi
 śpiewający, żydzi obłąkani..."

/Julian Tuwim/

jasne sklepy kuszą tym wszystkim czego ty
 nie możesz mi dać z bram wywołują mnie
 pokątni handlarze o wystraszonych twarzach
 oferując samozaspokojenie po przystępnych cenach
 gdzieś w drodze przypętał się nagle chudy żyd
 z dużym znamieniem na lewym policzku

wiedziałem o nim tylko tyle że sprzedawał
biało-czerwone goździki na wszystkich grobach
nieznanego żołnierza w tym mieście
to nie jest Inię z krainy czarów - powiedział
gdy pokazałem mu twoje zdjęcie /ono jest po to
abym coś wiedział o Twojej twarzy gdy ją zobną
moje ręce/ pamiętam że piiliśmy wtedy kawę
z poobgryzanych filiżanek w jakimś barze
i rozmawialiśmy o tądzi Gdańsku i jeszcze paru
miastach do których nie można wrócić po latach
ale nie o to chodzi bo kiedy znów zostałem sam
i rozłożyłem ręce jakbym chciał wznosić nową modlitwę
do nielśniąjącego boga stałem się tylko
czwartym krzyżem na Placu Trzech Krzyży

PRZEJŚCIE WZBRONIŁONE

Leszkowi Szarudze

1.
kilka lat temu w Berlinie Wschodnim
oglądałem zachodnoniemiecką telewizję
- w tym mieście dachy przebito podwójnym
szpalarem anten a dzienniki telewizyjne obu
państw niemieckich nadawane są
bezpośrednio po sobie -
tego dnia pokazywano dokumentalny film
na którym ludzie poruszający się jak automaty
wznosili mur który rozorywał miasto
mężczyźni o krzepkich dłońach i surowych twarzach
płaczący między każdą kłodzioną cegłą

2.
Aksel B. pokazuje przez okno
swojego mieszkania bliźnię muru
mam trzydzieści lat - mówi - żonę i psa
wkrótce będę miał także dziecko
moi rodzice nie żyją
moi rodzice mieszkają z tądzej strony prawdy
której nie przeskoczę
w tym kraju a przecież
za granicą
nie widziałem ich od kilku lat i wiem
że już nigdy nie zobaczę
kiedyś śniłem że jestem wielkim srebrnym
bombowcem nadlatującym cicho nad cienką

wstążkę biegnącą w poprzek miasta

ostatnio już nawet sny
nie przychodzi do mnie

3.

ta granica mogła równie dobrze przechodzić wzdłuż
mojego ciała przeorać twarz i plasił pozbawić
jednej z części życiodajnego wpływu
pracy serca chociaż serce także można
podzielić a krew do prawej połowy ciała
przerzucać drogą powietrzną lub
przez zieloną granicę Jellit a może wstawilibym
sobie serce zastępcze równie dobre choć
bijące zbyt rytmicznie aby prawdziwie
przez chwilę zastanawiam się czy moje
rozdwojone serce także przegrodzonoby murem
iła tkanek zwalczając strach
spróbuje udać się na emigrację uciec
z jednego mnie do drugiego ale to tylko spekulacje
nie jest jeszcze tak źle rozglądając się
po zatłoczonych stolikach obcojęzycznej kawiarni
ostrożnie dotykam miejsc przez które
może przebiegać ścigana historyczną koniecznością
granica ale nic się jeszcze nie rysuje
po kolei sprawdzam działanie narządów wewnętrznych
wszystko funkcjonuje normalnie serce
jest tylko sercem a nie pękniętą
stolicą Jellita nie są

przemysłową ścieżką krwi wątroba jest tylko
wątrobą a więc
nie jest jeszcze tak źle

4.

niedzielny spacerowicz o prozaicznym nazwisku Braun
/Volker/ przechodzący obok Bramy
Brandenburskiej ostrożnie zerka
na wielką tablicę ustawioną z tamtej strony
nawet stąd może odczytać
ile osób zastrzelono podczas próby
zmiany skóry

być może w tej chwili zdaje sobie sprawę
że wielka tablica powoli staje się tabliczką

mnożenia z której jutro będą przepytywały
dzieci bawiące się dziś na Alexanderplatz

5.

Jeszcze raz z niepokojem dotykam własnego ciała
próbując odważnie spojrzeć w przyszłość
czy będzie bolało gdy wbiją w me pierś!
pierwsze stopy graniczne

sierpień 1976

S A M A N I E W I N N O Ś Ć

/fragmenty powieści/

1. Dziesięć lat temu pracodawca okłamał mnie w dobrej wierze; licząc lata wstecz, jego również okłamałem i już nie dojdę, kiedy zaczęto okłamywać i jakie tam były proporcje dobrej i złej wiary; zdając sobie obecnie sprawę z tego nawarstwiania kłamstw domyśliłem się, że i ja będę musiał kłamać, nie rezezuając się ani w wierze dobrej i złej, ani w miarach kłamstwa, ani w jego rozmiarach. Kłamstwo bowiem ma swoją głębię i można je, jak to wielokroć już czyniono z czasem, przyrównać do studni, której dno ledwie dostrzec się daje w swym ciemnym połysku i nad którą nachylając się człowiek ogląda daleką twarz człowieka.

Wówczas, kiedy mój pracodawca mnie okłamał, nie byłem kobietą dorosłą; dziś natomiast, pod koniec lat sześćdziesiątych tego stulecia jestem kobietą dorosłą i nadaję sobie prawo spisywania i porządkowania na własną modłę tego wszystkiego, co mi podyktował albo i - w inny sposób przekazał, zważając nie tyle na prawdę jego i moją, na prawdę człowieka zmarłego i na prawdę człowieka żywego, co na swoiste tętnienie dalekiego lustera wody w studni kłamstwa, i chyba obojętne jest, czy odbita tam twarz będzie pomniejszona czy przerażona.

Pod koniec więc lat pięćdziesiątych tego stulecia, kiedy zaczęła się rozmokła zima, wśladałem pewnego popołudnia do autobusu i pojechałem w zatłoczeniu do podwarszawskiej miejscowości, gdzie znajdowała się mroczna willa tego socjalistycznego milionera. Tę mroczność spostrzegłem, kiedy ujrzałem jej małe okna i wysoki okalający ją mur. Kto mi otworzył? - nie pamiętam już, kto mi otworzył. On sam przyjął mnie pociągając na wielkim skórzonym tapczanie; witając się ze mną, nie wstał; byłem uprzedzona, że niedomaga. Leżał jakby wkurczony w siebie, miał worki pod niebieskimi oczami, czoło podrysięta, ciało duże, niedgdyś zapewne mocne, teraz ciężkie.

- Proszę usiąść za biurkiem. Ja już za biurkiem nie sieduję. Pani tak będzie wygodnie pracować i ja będę mógł panią widzieć dobrze.

Głos miał jasny, wymowę swobodną i poprawną. Coś się widocznie nie zgadzało: powiadomiono mnie mianowicie niedawno, że mój pracodawca jest człowiekiem prostym, może nie prostakiem, ale kimś niedokształconym. Na pewno był dokształcony. Spojrzała na niego, chcąc doznać wrażenia; mógł mieć około sześćdziesiątki, jeśli go choroba albo określona właściwość twarzy nie postarzała. To wrażenie, jak wiem, było mylne.

Siadłam. On nie poruszył się; powiedział:

- Czy pani się zgłosiła do pracy u mnie z własnej ochoty?

- Nie rozumiem z własnej ochoty? Było ogłoszenie w gazecie, zatem fonowałam.

- Tak, oczywiście. Zatelefonowała pani. Na pewno pani zatelefonowała. Ale chciałbym wiedzieć: czy pani ktoś tego ogłoszenia przedtem nie pokazywał, nie zwrócił na nie uwagi?

- Nie. Czytałam gazetę w tramwaju.

- Bardzo pani potrzebuje pieniędzy? Co pani wie o mnie?

- Adwokat, który działał w pańskim imieniu, powiedział, że jest pan bardzo zamożny.

- Tak, jestem bardzo zamożny. Czogo się pani o mnie domyśla?

- Na razie niczego.

- Chce się pani czegoś o mnie dowiedzieć?

- Nie wiem. Może później.

- Tak, może później. Pani studiuje socjologię?

- Trzeci rok.

- Jak pani na imię?

- Dorota.

- A więc panno Doroto: co pani wie o swojej świętej patronce?

- Niewiele. Jestem raczej -

- Jak większość młodzieży niewierząca. Albo wierząca i niepraktykująca; albo na odwrót, bo i to się zdarza.

Usmiechnęła się: Jaki to był uśmiech? - Już nie pamiętam; może nie pamiętam, bo nie chciałam zapamiętać.

- Święta Dorota, urodzona w Cezarei, została święta w trzecim stuleciu po Chrystusie. No, a gdzie leżała Cezarea?

Zaczęłam się wstydzić:

- Afryka? Azja Mniejsza?

- Biblię trzeba czytać, panno Doroto. Cezarea była stolicą Kapadocji. Patronka pani była męczennicą; i dziewicą na domiar.

- Słyszałam, że pan jest komunistą. - Powiedziawszy to, zawstydzłam się jeszcze bardziej; pamiętam ten mój wstyd, bo zapewne chciałam i chcę go zapamiętać.

- Może to prawda, że byłam komunistką. Czy nim jestem dzisiaj?

I po chwili:

- Czego się pani jeszcze o mnie dowiedziała? Co pani o mnie mówiła? Jakie pani otrzymała instrukcje? - Nie, pani Doroto, nie trzeba na to odpowiadać. Stenografuje pani dobrze?

- Skończyłam kurs.

- No tak, kurs. Proszę podejść do tej szafki, otworzyć ją i wyjąć butelkę wódki i dwa kieliszki. Soku pomarańczowego.

W szafkę była wbudowana lodówka.

Powiedziałam:

- Chyba nie wolno panu pić alkoholu.

- Włóż tego się pani też o mnie dowiedziała. Dwszem, marskość wątroby, od alkoholu właśnie. To już i tak wszystko jedno, angażuję panią jako stenografkę. Będzie pani pisała, bo ja wiem, wspomnienia? Zwierzenia? Rojenia?

Podsunałam stołeczek i kzesło do tapczanu, Wypił dwa kieliszki pod rząd:

- Dzisiaj oczywiście nie będę dyktował.

A gdy wypił nieco więcej, może pół godziny później:

- Dojść nie mogę, gdzie się podziały moje młodzieńcze uczucia metafizyczne. Nazwijmy je tak. Poczucie, że świat jest ogromny i niezmierny, ale że i zarazem jest w naszej pierś, głowie, no, nie wiem gdzie, dość miejsca, żeby ten ogrom i tę niezmierność pomieścić.

Pół godziny później. Lekko już płaczącym się językiem:

- Czy to się da - odzyskać - zrekonstruować? - naprawić?

Nie odpowiadałam, bo może, pomyślałam sobie, niedobrze jest przy tej różnicy wieku na takie powiedzenia odpowiadać. On natomiast, ten młłloner socjalistyczny, monologował, filozofował, wynętrzał się, krążąc wciąż wokół jednego i tego samego tematu:

- Miałem kiedyś ocean w pierś, cóż, chyba nie ocean, ale morze, ja-
ktoś tam Bałtyk albo Morze Czarne. Pontus Euxinus, jak mawiali Rzymianie, a znaczy to Morze Gościnne, i słusznie, bo gościł tam na wygnaniu Owidiusz. Bałtyk nie jest gościnny, panno Doroto, niech się pani strzeże Bałtyku, to groźna woda.

Mówił dalej, czasem bez ładu i składu, lecz chwilami znowu temat główny tego monologu przebiegał uporcie. Po dwóch kieliszkach:

Ta wielkie wody w mojej pierś, Bałtyk, mówiłem, Morze Czarne. Mnie! jeszcze, panno Doroto, mnie! jeszcze. Jezioro być może, mete, ale czyste. Była pani nad Morskim Okiem albo nad Czarnym Stewem?

Tym razem odpowiadałam i odpowiadając poczułam, że mi trochę język zaczął sztywnieć:

- Byłam.

- No to Morskie Oko lub Czarny Staw. To było w mojej pierś, nosiłam te wody w sobie, falowały tam. I co teraz z tymi wodami? - Niech pani wyjmie jeszcze jedną butelkę wódki.

Wyjęłam; powinnam była odmówić, ale był w tym pijackim nastroju przymus; piłam z nim w równym tempie, choć nie trzeba było tego zapewne robić. On namawiał, żartował, leżał bez ustanku na tapczanie nie zmieniając pozy. I:

- Co z tymi wodami? Falowały w mojej pierś, tak, najpierw ocean, potem te morza zemknięte, śródlądowe, potem jeziora, tak, jeziora gór-

kie albo niegórskie, nie jeszcze falowały. Hyclokały ze mnie że wody po-
matu, nawet nie wleździłem jak i kiedy, może potem było już tylko stud-
nia, tak, została tylko studnia i studnia jest.

Wypit!

- Studnia jest. Ale czy w niej coś feliuje? Czy jest tam woda? Choc-
by ślad wilgoci? Niech pani się nachyli!, tak, niech pani się nachyli!,
tak, niech pani popatrzy.

Wypit!

- Nie pani nie zobaczy. Ta studnia wyschła. Na dnie nawet nic nie
rośnie, tak tam sucho.

Popatrzeć przymotniej nieco:

- Ta studnia to wielki śmietnik. Niech pani już idzie do domu. Nie,
niech pani nie idzie, niech pani zadzwoni po taksówkę.

Śięgnął do kieszeni i dał mi pieniądze.

2.

Dwa dni później odbyło się następne spotkanie. Mój pracodawca, znowu
na tapczanie, powiedział mi:

* Paniu Doroto, dostałem godzinę temu zastrzyk. Nie ma więc obawy,
że znowu będzie wódka. Teraz mi naprawdę tego nie wolno. Będę dyktował.
Proszę usiąść.

* Co to właściwie będzie? Co mi pan chce dyktować?

* Nazwijmy to życiorysem. Wspomnieniami. Mówiłem już chyba o tym. I
terez proszę uważać, wypowiem pierwsze zdanie.

Nie był teraz już wkurczony w siebie, jak poprzednim razem; leżał
teraz, swobodnie z głową wspartą na dłoni.

- Życiorys mój jest barwny i pouczający. Myślę, że warto go nakreś-
lić dla potomnych. Zacząć trzeba od informacji, że do niedawna byłem komu-
nistą, w pewnym rozumieniu nawet stalinowcem, przynajmniej czas pewien,
czas dłuższy byłem członkiem partii komunistycznej czy robotniczej, bo
różnie się one nazywały. Ale ta pierwsza informacja nie jest początkiem
mego życiorysu, nie odnosi się do początków mego życia, tylko do tej je-
go części albo warstwy, która wypełniona była polityką.

Na początku były lesy; mój ojciec był leśniczym. Były miarowe nawro-
ty pór roku, rysują się w mojej pamięci prawidłowo jako kolejne rytmy
barw, temperatur, wiatrów, tropów zwierzęcych i ludzkich zajęć; opadanie
śniegów i topnienie śniegów, zieleń liści, czerwień liści i czern liści,
opadłych, zawleje i upały pleców, lód na strumieniu i gruchot polowań,
turkot dwukółki i lipcowe kurze; pokrwawione wyniki zastawiane przez kłus-
owników, nocne szepty ojca z gałowymi, kiedy udawałem, że śpię; matka
nazywana przez ludność okoliczną panią Inżynierową, ponieważ wówczas le-
śniczego tytułowało się inżynierem, nie magistrum jak dziś. A potem
wszystkie te rytmy zamąciły się, gruchot polowań zamienił się w łane,
groźniejsze dudnienie. Pierwsza wojna światowa przewalała się tam i na-
zad wzdłuż południowych potoków Polski.

Pierwszą wojnę światową opisywać nie będę; opisywano ją wielok-
roć i za każdym razem fałszywie, jako że wszystko, co ludzie zapisują i
opisują, jest fałszem. Nie chodziłem jeszcze do szkoły, kiedy się ta
starcówlecka wojna zaczęła; kiedy trwała, uczyłem się początków czytania
i pisania, i rachunków; zajmowała się tym matka. Kłusownicy albo znikli,
albo wzięto ich do wojska, w każdym razie było tak, jakby ich nie było,
może przestano się nimi zajmować, bo były inne kłopoty; do wojska zapew-
ne wzięto kilku gałowych, młodszych. Z tych to widocznie powodów okres
ten w pamięci zachował się wciąż jeszcze jako miarowy, choć o miarowoś-
ci zmaconej, pochód pór roku.

Przerwań na chwilę, aby zapalić papierosa. Wtedy postanowiłam sobie
że będę stenografowała wszystko: nie tylko pod jego dyktando, ale rów-
nież wszystkie przerywniki, dialogi między nami, moje uwagi do tych dia-
logów. Zapytałam:

- Z tego wynika, że urodził się pan w roku?

- 1908. Mam lat pięćdziesiąt. Notuje to pani?

- Tak, notuję.

- Niepotrzebnie, oni i tak wiedzą.

- Kto - on?

- Wszystko jedno. W każdym razie, jeśli nawet pani nie jest od nich, to pani jest im znana. I niech pani uważa: jeśli pani notuje to, co pani sama mówi, nieszczęścia będą przejrzałe. Nie będzie pani nawet o tym wiedziała.

Dyktował dalej:

- Wielka wojna się skończyła, potem zaczęła się mała wojna, lokalna. Ojciec poszedł na tę wojnę i poległ w locie 1920 roku. Miałem wówczas lat dwanaście i jak dzisiaj to odczuwam, minęły dla mnie naturalne rytmy jesieni, zimy, wiosny i lata. A także przypuszczam, że wtedy to właśnie wlekanie wody zaczęły z mojej piersi wyciekać, czy może w nią schnąć. Przenieśliśmy się do miasteczka.

10.

Za następnym razem był trzęsienie, miał w rękę jakiś zapłaski, o wódkę mnie nie poprosił; był wszakże czymś podniecony, może kawą, może narkotykiem, może jednym i drugim. W każdym razie było to podniecenie szczerzone, powiedziałabym: nie z niego wynikające, lecz w niego wprowadzone.

Powiedział:

- Dzisiaj będę dyktował. Nie, nie dam tego pani do przepięcia, to są tylko oderwane zdania, heh, podpory pamięci i wyobraźni. Muszę panią okłamać w sposób przemysłowy.

Kłamstwo powinno mieć dobrą konstrukcję.

- Włóż pan będzie kłamał? Świadomie?

- Nie powiedziałem, że świadomie, powiedziałem, w sposób przemysłowy; to nie jest to samo. Zaczynamy.

I zaczął:

- We wrześniu 1939 roku dostałem się do niewoli niemieckiej. Nie będę opowiadał o tym, gdzie i jak walczyłem, w której miejscowości oddział mój skapitulował, jakie były moje i moich towarzyszy parapytanie zanim dobrnętem do obozu jenieckiego, w którym osiadłem; tak: osiadłem to właściwe słowo; w którym wtedy osiadłem na pięć lat z okładem. Wszystkie te szczegóły nie mają większego znaczenia, losy moje nie różniły się od losów wielu tysięcy polskich żołnierzy. Ale: po kilku tygodniach osiadłem; oflag okazał się stałym miejscem zamieszkania. Więcej jeszcze: miejscem dziwnie bezpiecznym i pewnym. A nadto wspomniéć muszę.

Przerwał, popatrzył na mnie uważnie i rzekł:

- Niewola jest sytuacją dającą poczucie czy złudzenie bezpieczeństwa i pewności; kiedy człowiek się z nią oswoi - a oswaja się osobliwie łatwo, rzekłbym nawet: skwapliwie - wówczas czuje się w niej, w tej sytuacji narzuconej i zarazem wygodnej, jak w schronieniu. I powiem coś jeszcze, co pani może wyda się moralnym wyzwaniem, niech pani to, zapisując, podkreśli, albo zaplaski innym piśmem:

Jestem przekonany, że od kiedy dostałem się do niewoli, czyli od roku 1939, nigdy już z niewoli się nie wydostałem. Wszelka wolność, wewnętrzna i zewnętrzna, fizyczna i duchowa, polityczna i czysto ludzka, i jako tylko jeszcze być może, skończyła się jesienią przed dwudziestu bez mała laty, kiedy to osiadłem w bezpieczeństwie i pewności, i w bezwzględności monotonnego schronienia.

Dużo bym za to dała, żeby móc teraz powiedzieć, jaka była wówczas pogoda. Nie pamiętam, jak do niego jechałam, nie pamiętam, jak wracałam. Autobus był bez wątpliwości przepełniony jak zazwyczaj, szyby miały chyba niedoczyszczone i widok z nich był zapewne zamazany, chciałoby się powiedzieć: nieczysty, splamiony, dotknięty jakby smazą. Ale czy smaza legła na mgłę, na deszczu, czy na rozstępcznieniu, tego nie wiem. Wiem tylko, że było to wczesnym latem.

Mówił dalej:

- I owszem, teraz czuję się także, jakbym był w niewoli, w nieustającej niewoli. Liturgia zna nieustającą adorację; to właśnie to.

Mogła być trzecia albo czwarta po południu. Znakomicie wymyte okna /kto mył okna temu socjalistycznemu milionerowi?/ dawały widok na rzadki las sosnowy; z parteru sposterzegano się małe zieleni, dominowała złocistość kory i głęboki błękit cieni. Ale czy było stonczynie? Pokazywał na

okno powiedziałam:

- Czy to stanowi oprawę pańskiej niewoli?

- A czy pani się czuje w tej oprewie wolna?

Nie pokazał na okno. Ja zaś nie zapisałam, jaka była pogoda. Może przelotne deszcz?

- Owszem, czuję się wolna.

Może było duszno na dworze? Doprawdy nie wiem.

- Jakże to szkoda, że pani notuje i nic pani z tego, co zanotowane, nie rozumie.

Może zanosiło się na burzę? I stąd brata się w rozparzonym powietrzu postocistość kory?

Dyktował dalej:

- Wejście w niewolę, to zrazu wejście w mrowisko. Obóz jeniecki z chwilą, kiedy staje się osładły, mrowi się niepomlennie. Mówię o obozie oficerskim, który mrowi się dlatego, że nie istnieje w nim obowiązek pracy, nikt więc nie ma poczucia obowiązku i każdy uczestniczy w mrowieniu się, nic innego mu nie pozostaje, jak tylko bezcelowy ruch i nieuzasadnione podniecenie. To mrowienie się z mrowczą pracowitością nie ma nic wspólnego. A miatem także relacje ze stalagów, z obozów dla szeregowych. Mrowienia się tam raczej nie było, był przymus pracy, ale ta praca nie wzbudzała w nikim poczucia obowiązku.

Przerwa w dyktowaniu była nikta, ledwo dostrzegalna.

- Wejście w niewolę to także i wejście w ścieśnienie.

Matrętne fizyczna bliskość wszystkich stwarzała konieczność nieustannego ustępowania drugiemu, zawierania co chwilę kompromisów. Odeń widzi pani: przymus kompromisu stanowi nieodłączną cechę stanu zniewolonego; i ten przymus właśnie ciąży na mnie po dziś dzień. Manifestacja woli jest w tych okolicznościach niemożliwa, ani starcie dwóch woli przeciwstawnych. Może i dlatego nazywam to wszystko razem niewolą.

Zapytałam:

- Co - wszystko razem?

- Jak pani chce: cały ten okres czasu, cała ta wypełniona przestrzeń cała ta pustka przy jednoczesnym ścieśnieniu.

- Ale przecież teraz nie żyje pan w ścieśnieniu?

- Owszem, żyję w ścieśnieniu. I pani żyje w ścieśnieniu, choć pani o tym nie wie.

Jaka, u diabła, była wtenczas pogoda? Czy w potokach deszczu kora byłaby tak złocista. Jak ja mam we wspomnieniu? A może krajobraz za oknem pamiętam z innego dnia? Może błękitne cienie widziałam jednego dnia, postocistość kory drugiego, a podówczas był to dzień jakiś inny, trzeci, na który ja nakładam teraz pierwszy i drugi?

Powiedziałam:

- Proszę dyktować dalej.

- Czy ja wiem? - To znaczy: czy ja wtem, o czym mam dalej opowiadać? Zapiski moje się skończyły, powiedziałam to, co najważniejsze o wejściu w niewolę. Potem się właściwie już wiele nie zmieniło. A czy ma sens opisywać te wszystkie zewnętrzności, które po stokrod były już opisywane? Baraki, druty kolczaste, wartownicy, niemieccy oficerowie w wieku zramotałym, dwudziestu chłopca stłoczonych w jednej izbie o piętrowych przyścianach, oczekiwania na pocztę, dzielenie paczek, jednostajność apeli wieczornych i porannych, dokształcanie się. Wła, proszę pani, to było już opisywane i nudził mnie to.

- Słyszałam, że niektórzy w niewoli czuli się bardziej wolni niż przedtem i potem na wolności.

- Ja mówię o innym rozumieniu niewoli i wolności, niż oni. Gdyby moje życie nie potoczyło się później, po wojnie, tak jak się potoczyło, może bym myślał również tak samo, jak ci, co mówią, że czuli się w niewoli wolni. Ale to już inna sprawa. Dyktuje moja wynurzenia i nie mam zamiaru snuć porównawczych wątków.

Dlaczego wydaje mi się dzisiaj, kiedy porządkuję te notatki, tak ważną okolicznością pogody w ów dzień? Co to ma do rzeczy? Czy to sprawa tych notatek, czy może osobiście? - Jego sprawą to już być nie może, ponieważ ten człowiek nie żyje. Włec czyją to jest sprawą? Tego, kto bę-

działo to czytać? - Ależ tego to nie nie obchodził. - A dlaczego mnie to obchodzi? - Nie wiem.

Spytaliśmy:

- Czyli, że nie się ważnego dla pana w obozie jenieckim nie wydarzyło?

- Przeciwnie, wydarzyło się wiele, ale nie na początku. To inny zupełnie problem; to, co się wydarzyło; ja mówiłem o tym, jaki był i jest stan ciągły, niezależny od wydarzeń.

- A czy nie stanowiło mimo wszystko jakiejś cezury w pańskim życiu wyjście z obozu i powrót do Polski?

- Tak i nie. Prawdę mówiąc, nigdy nie zastanawiałem się nad tym. Ale może słusznie zadała pani to pytanie. I teraz myślę, że moja odpowiedź będzie potwierdzała tezę, że stan niewoli, który zaczął się jesienią roku 1939, trwa po dziś dzień. Powiem pani o tym następnym razem, i tak już dosyć na to popołudnie.

Poprawił się na poduszkach i powiedział:

- Do widzenia.

Wracając do Warszawy jeszcze przed zachodem słońca. Szyby autobusu były niedomyte, żadnych wrażeń klimatycznych z tego powrotu nie pamiętam. Nie, ten powrót nie odpowie mi na pytania: jaka była w ów dzień pogoda? Jaka była pogoda /może to sformułowanie okaże się jakoś trafne?/ owego dnia, kiedy dowiedziałam się, że stan niewoli, jaki zaczął się z wybuchem drugiej wojny światowej, może dla kogoś trwać nieustannie; i kiedy tego, o czym się dowiedziałam, nie byłam w możności zrozumieć i nie rozumieć po dzień dzisiejszy?

Nie rozumiem, ale piszę o tym.

12.

Powiedział:

- Wojna zbliżała się widocznie ku końcowi.

Powtórzył:

- Wojna zbliżała się widocznie ku końcowi. Był to początek roku tysięcznego czterdziestego i czwartego.

Raz jeszcze powtórzył zdanie:

- Był to początek roku tysięcznego czterdziestego i czwartego, kiedy to moje bezpieczeństwo i poczucie schronienia zakłóciła zniemka czereda.

Ponownie przerwał, i potem:

- Czereda Malinowskich, Kalinowskich, Sosnowskich, Bukowskich, Jodtowskich, Lipińskich.

- Drzewieckich?

- Oczywiście, Drzewieckich. Ścisłej mówiąc, jeden tylko Drzewiecki, ale on właśnie reprezentował całą ich czeredę. Znałem go sprzed wojny przelotnie, ale nawet nie wiedziałem, że śledzi ze mną w tym samym obozie; coś, nie wszystkich się spotykało pośród tego sześciotysięcznego mrowienia się. A może było inaczej.

- Inaczej - pan poszedł do Drzewieckiego?

- Nie. Może ja go nie znałem przelotnie sprzed wojny, może to tylko on mnie przelotnie sprzed wojny znał i mrowił się wokół mnie, aż się domrowił. Podszedł do mnie po którymś apelu wieczornym, wrok już zapadał i niebawem miała się odezwać trąbka, napędzająca nas z powrotem do baraków; pora dnia to wideć uczyniła, że odniosłem wrażenie, jakby podszedł do mnie cień. Cień Drzewieckiego powiedział: "Ależ was się naszukałem, towarzyszu Malinowski".

- Pan się przecież nie nazywa Malinowski.

- Ale wtedy jeszcze byłem Malinowskim. O, ja bardzo długo byłem Malinowskim.

- Przybrał pan inne nazwisko na czas niewoli?

- Nie. A nawet z chwilą wejścia do niewoli tłumaczyłem sobie, że już nigdy żadnym Drzewieckim nie będę. Kiedy jednak podszedł do mnie ów cień Drzewieckiego, skarżący się, że się mnie naszukał, zorientowałem się natychmiast, że nigdy Malinowskim być nie przestałem; a zorientowałem się po sposobie mówienia owego Drzewieckiego: znałem ten przyimkowy szepc przy-

muszący, to drgnięcia szantażowej antykonserwacji. - Odprowadził mnie do baraku, akurat wtedy rozległa się trąbka, więc już tylko powiedział: "czeka się koniecznie jutro spotkanie, zaraz po apelu". Okradlił, gdzie mamy się spotkać, i dodał jeszcze: "Są ważne sprawy. Musicie koniecznie, towarzyszu Malinowski, rozpocząć działalność organizacyjną; jesteście urodzonym przywódcą politycznym". - I spotkaliśmy się rzeczywiście następnego dnia; włączyliśmy się do mrowienia określonego, czyli do tak zwanej rundki; zwaśń tysięcy ludzi obracano się wzdłuż drutów jak w kłeroście, dla zdrowia; a była tego dnia pogoda brzydka, śnieg z deszczem.

Przerwał. I po chwili:

- Ja panią dziękuję, panno Doroto, upiję w sztok.

Powtórzyłam, notując:

- Upiję w sztok.

- Pani to notuje?

Tak.

I to, że zapytałem: pani to notuje?

- Tak, także, a także i to, że zapytał pan, czy notuję. Iż pan zapytał. A również i tę ostatnią moją odpowiedź.

- Popetrzył na mnie z gniewem, z politowaniem, z podejrzliwością. Niekroć był wzburzony, nieważ lekko chrypkę; odezwał się z tą lekką chrypką:

- Więc pani chce piętrzyć kłamstwo na kłamstwie, zakłamanie na zakłamaniu. A może pani myśli sobie od tygodni: "Ależ ale was naszukiwam, towarzyszu Malinowski".

- Nie mogę tak myśleć. Jestem bezpartyjna.

- To nie ma znaczenia. Wiem, że pani się nie nazywa Sosnowska, ale może nazywa się pani Jodłowska.

Tak musiał mówić do niego ów Drzewiecki w obozie. To był ten przyniły szepot przynudzający z drgnięciem szantażowej antykonserwacji. Coś, czy ktoś we mnie zaczynał się bać i u samego początku owej tętniącej obawy, tego tętnienia czegoś obcego we mnie usłyszałam, jak się odezwał poprzednią odmianną swego głosu, lekko ochrypiętego:

- Wszystkie to razem naprawdę nie ma znaczenia. I ja panią dziękuję panno Doroto, upiję w sztok.

Po chwili:

- Razem upijemy się w sztok.

I jeszcze, tym razem już głośniejszym, bez chryпки, bez gniewu, bez politowania, bez podejrzliwości:

- Upijemy się, ponieważ ja tego chcę i upijemy się, ponieważ pokazuje pani, że umie rozkazywać i wymagać posłuchu.

- Mówił pan, że nie umie pan rozkazywać, że wzdragał się pan zawsze przed wydaniem rozkazu.

- To było w wojsku. W wojsku nie byłem nigdy Malinowskim.

- To znaczy, że jako Malinowski.

- Jako, ogólnie, Drzewiecki.

- Dobrze, więc pan jako Drzewiecki nie odczuwał pan żadnego skrepowania, wydając rozkazy?

- Nie.

- I nie wydało się to panu śmieszne?

- Śmieszne - tak. Ale śmieszność ta nie krepowała.

Czy to w tej właśnie chwili 'obcy lek że mnie ustąpił? Czy rzeczywiście nastąpiło po jego wejściu jego wyjście? Czy też było to tak, jak z wejściem mojego chlebobdawcy do niewoli, po którym wyjście z niewoli się nie dokonało, bo dokonało się jedynie opuszczenie obozu? - Niełatwo mi to dzielić zrekonstruować, zapiski od chwili, kiedy mój chlebobdawca powiedział: "Śmieszność mnie nie krepowała", robiłam nieco chaotycznie, notowałam raczej tylko urwane myśli jako punkty zaczepienia; oto niektóre z nich: "lek tętniący przekształca się w lek dretwy, znieczulony", "nie czuję lęku, ale się chyba we mnie utulił"; "jeśli utajony i znieczulony lek mnie opuścił, to skąd ja o tym wiem?" Nie potrafię jednak powiedzieć, do jakich konkretnie sytuacji odnosiły się poszczególne pomysły i zapisane zdania, sytuacji zaś było wiele i zmieniały się tego dnia często. Może miał rację mój chlebobdawca mówiąc, że nic się z niczym nie łączy; podejrzewam teraz, że zdania były osobno i sytuacje osobno,

i przypuszczalnie, ja osobno wobec zdań i sytuacji.

Powiedział:

- W kieracie wzdłuż drutów, na deszczu ze śniegiem odhytem włęc z Drzewieckim potajemną rozmowę. Okazało się, że Drzewiecki był tylko pośrednikiem w wydawaniu poleceń; ja natomiast, który te polecenia odbierałem, stawiałem się na skutek tych jego poleceń jako zwierzchnikiem; wczuwałem wszelako, że w hierarchii został umieszczony wyżej ode mnie.

Przygotowałem wszystko do picia na stołku przed tapczanem, krzesło postawiłem blisko; należał wódki i soku. Zapytałem jeszcze:

- Co to były za polecenia?

- Organizacyjne. Miałem utworzyć w obozie organizację partyjną, przeprowadzić, jak to się on wyraził, rozpoznanie personalne, werbować członków partii, wystawić w porozumieniu z nim opinie o komunistach przedwojennych, jeśli się tacy by w obozie znaleźli, wystrzegać się wycieczek wroga klasowego.

Wypił.

- Stowem: miałem być sekretarzem, szpiclem, kontrszpiclem, on zaś.

Wypił.

- On zaś był tylko moim szpiclem.

Wypitałem i od tej chwili właśnie zrobił mi się rozgardiasz w zapiskach.

13.

Następnego dnia, niebывале przepita, leżąc w łóżku z bólem głowy i niewzycyjalnie trzeźwej myśli usiłowałam w tych trzeźwych myślach rozoznać kim właściwie dla niego jestem.

Uporządkowałam to sobie i posegregowałam tak:

1. Możliwe, że zatrudnił mnie, aby znaleźć sam przed sobą usprawiedliwienie: z życia, jak je przeżył i z sensu, jaki mu nadał; pewno niedługo umrze. Ale w takim razie potrzebna mu jestem tylko jako narzędzie, powiedzmy: dyktafon.

2. Potrzebuje mojej obecności, ponieważ pragnie styku z kimś innym, aniżeli służba, bo jej to właśnie używa jako narzędzia, powiedzmy: odkurzacza, automatu otwierającego drzwi. Ale dlaczego w takim razie potrzebna mu jest osoba młoda i na domiar ptci żeńskiej?

3. Osoba młoda i na domiar ptci żeńskiej potrzebna mu jest dla zwiększenia własnej wrażliwości na świat, w którym żyje. W takim razie służę mu jako katalizator, tylko: między czym a czym, między kim a kim? Czy czyjaś osobowość, a na pewno rozoznał się, że mimo wszystko jestem osobowością, może być katalizatorem?

Stanowczo zbyt wielka to trzeźwość myśli i zbyt ostry to ból głowy i zbyt dokuczliwe mdłości.

Trzeba spróbować inaczej:

4. Jeśli mu jestem potrzebna jako osobowość, to dlaczego uczestniczę w jego sprężonym z marskością wątroby nałogu alkoholicznym? Dlaczego nie uczestniczę w jakimś innym sensie czy wymiarze? A może to ja go potrzebuję w sensie uczestniczą?

Opita kawą i piwem zwiłkłam się z łóżka; obrzydziła to mieszanka i wstrętna, i w głowie mi z tego kołowało, ale zwiłkłam się z łóżka, aby do niego zatelefonować i usprawiedliwić się, że dziś nie przyjdę. Mówiłam długą, usprawiedliwiałam się, byłam skruszona, błagałam o coś nieokreślonego, byłam pokorna, w głosie moim, mimo przepicia, pobrzmiwały albo miały pobrzmiwać ciężkie tony.

On śmiał się. Ale nie był to ten śmiech, jakim niedawno śmieliśmy się oboje, z którym nie mogliśmy się rozstać i którego było mi żal, którego może i jemu było żal. On śmiał się sam; ja mu nie wtórowałam.

Kiedy skończyłam, a w czasie mego monologu odpowiadał mi samym tylko śmiechem, powiedział:

- No dobrze.

I umówił się ze mną na raz następny, już się nie śmiejąc.

- A jednak zaczynało się podówczas we mnie coś przemieniać, coś jakby poruszać; czułem się, jakbym został przez coś lub przez kogoś szarpnięty wstecz: nie w przestrzeni, lecz w czasie. Kiedy tego szarpnięcia

doznałam, wydało mi się, że zakotysało się coś we mnie, tak jak się kołysze ciecze olejista we walmniku poziomicy przy zmianie położenia. Niech się pani nie da zwieść tym hydraulicznym porównaniem; rzecz nie była natury mechanicznej. Być może wskaza, że poruszyły się wtedy prawie już zapomniane resztki wielkich wód w klatce piersiowej. Nie jezioro już, chyba już i nie staw, możliwe, że studnia jeszcze z resztką wody jeśli nie żywej, to chociaż czystej.

- Wierzyła miła przywilność Drzewieckiego, nuta szentaużu w jego sposobie dobywania głosu, który nie był ani szepcaniem, ani stawał się donofnym; na skali był zawsze gdzieś po środku i przez to nienaturalnie modulowany, a nadto natrętny aż do znudzenia. Ani Drzewiecki się ode mnie nie odczepiał, ani jego głos.

Wypił duszkiem szklanek piwa.

- Wejść miłe jeszcze suszy, a znieść mogę dużo. Od przedwczoraj, i owszem, a właściwie od wczoraj, bo to się u mnie aż do wczoraj przeciągnęło, poza tym był lekarz, zastrzyki, przed zastrzykami bóle i potem także. A dzisiaj otepienie w okolicy wątroby i suchość gardła.

- Na suchość gardła zgoda. Co z Drzewieckim?

Zapisałam szybko przelatną myśl: kiedy będzie odpowiedni moment na prowokację erotyczną? - Jeszcze chyba nie.

- Dlaczego pani więcej notuje, niżeli ja mówię?

- Ja tylko wolniej notuję, niżeli pan mówi.

- Tak sobie myślę, że pani kłamie. Bardzo to niedobry sposób kłamania; żeby kłamać dobrze, trzeba pozostawać możliwie blisko rzeczywistości, nawet zbliżyć się do niej, kłamstwo bowiem musi być w ruchu.

A więc on miła uprzedził, jak gdyby wyczuł czy przeczuł powzięty przeze mnie zamiar zbliżania się przez wzajemno okłamywania się i zakłamywania. - To też zapis. Dzisiaj zadaje sobie pytania, czy dokładnie/wadźug niego: w ruchu, w zbliżaniu się do rzeczywistości/ odtworzyłam to, co mi przemknęło w głowie.

Zapytałam sucho:

- Co z Drzewieckim?

- Dobrze, niech będzie Drzewiecki, To nawet ważne, w sensie kontynuowania moich wynurzeń mianowicie.

Napit się znów piwa. Ciągłe musiałam mu wynosić nowe butelki piwa z lodówki.

- Tak, Drzewiecki. To reszta kolebiącej się we mnie, być może czytaj i ongiś wielkają wody, spowodowała, że powoli zmianał się mój stosunek do niego. Wzbudziłam w sobie, sam nawet teraz nie wiem jak, niejaką naiwność własnej wrażliwości, ta zaś naiwność z kolei wzbudziła ufność: wobec niego, wobec jego zamierzeń, wobec jego poleceń i zaleceń, wobec nadrzędnego ideału, jaki nim, być może, naprawdę powodował, albo sprawiał, że on mógł dobrze udawać, iż nim powodował. Odżyła we mnie zagubiona, zdawało się, młodzieńczość, tak zwana swiałość uczuć: było to, jak dzisiaj widzę, zapewne niedobre, pozwalało mi jednak wtedy na aktywność zewnętrzną, na pracę organizacyjną, na kilka przedsięwzięcia szpiegowskie czy pseudoszpiegowskie nawet, czyli na śliską nieojajność wobec moich współtowarzyszy niedoli jenieckiej, przynajmniej: wobec niektórych.

- Więc taki był właściwy sens pańskiego duchowego odmłodzenia: zbieranie wiadomości dla donosów?

- Zbieranie wiadomości - tak. Ale te wiadomości później ktoś inny dla donosicielstwa wykorzystywał. Jest to zagadnienie fatwolierności: gromadzić wiadomości może tylko ktoś fatwolierny; robić z nich użytek tylko ktoś nieufny.

- Ktoś nieufny wobec fatwoliernego?

- Tak, i nieufność ta może być sprzężona z ufnością wobec dostarczonych wiadomości; ufność ta z kolei może się wzmacniać tak dalece że stwarza podstawy dla przełarczenia tych powiadomień czy donosów. Fatwoliernostwo tylko wtedy bywa skuteczne, jeśli się wierzy w autentyczność tego, co ma zostać sfatwoliernowane.

- O co chodziło?

- Chodziło o strzeżenie czystości szeregów partyjnych.

Napił się znowu piwa. Ponieważ pijąc patrzył na mnie, a pił powoli, dopóki całej szklanki nie syszącył, uczyniłam, jak wynika z notatek, wysitek, aby poniekąd wyzywająco wyostrzyć profil mego biustu.

Powiedział.

- Czystość szeregów, to żargon partyjny. Znałem go już sprzed wojny, sprzed wejścia w niwoję. Znaczyło to, że jeżeli werbowaliśmy do organizacji partyjnej ludzi, musiałem się im przyglądać w różny sposób: czy aby kiedyś nie sympatyzowali z trockizmem? - bo oznaczało to, że są na usługach obcej agentury; czy aby, co trudno było stwierdzić; nie byli na usługach obcej agentury, na przykład czy nie pracowali dla polskiej policji? - oznaczało to, że mogą być przydatni jako fachowcy; czy aby czegoś w swoim życiu nie ukrywali? - oznaczało to, że będą zdyscyplinowanymi członkami partii, jeśli partia dojdzie do władzy. Człagokolwiek się nie dowiadywałem, opowiadałem Drzewieckiemu, on zaś skrupulatnie prowadził kartotekę, chyba również i ja w niej figurowałem. Widzi pani, panno Doroto, takie to były moje przygotowania do opuszczania obozu i takie to były okoliczności, które spowodowały, że opuszczanie obozu nie mogło być jednocześnie wyjściem z niwoj.

Mówił coraz szybciej, nie pozwolił mi dojść do słowa:

- Jeszcze jedno, już na zakończenie; fatwonierność. Naiwność i ufność, a nawet i śmiałość uczuć, chociażby i były sztucznie w sobie wzbudzone, domagają się istotnego uzupelnienia i stąd fatwoniarność, która do tych sztuczności niejako semu się dotacza, jako jedyny naturalny składnik postawy skądinąd raczej zakłamanaj; stąd zakłamania stają się niepełne i niepewne, samopoczucie zaś dobra. A mówię o tym wszystkim dlatego, ponieważ niezadługo będę musiał opowiedzieć o tym, jak stałem się stalinistą. I dość tego na dzisiaj.

Wróciwszy do domu poczytałem znów parę notatek na temat: do czego mi jestem potrzebna? i dlaczego mnie potrzebna jest rozeznanie w jego motywacjach?

Trochę to wyszło inaczej, niż za poprzednim razem. Przepita nie byłam, głowa mnie nie bolała, mdłości nie odczuwałam, ale myśl już nie była tak trzeźwa jak wówczas po przepiciu.

Oto zapiski /znowu w punktach/, jakie porobiłam przy biurku, a nie na tapczanie:

1. Zatrudnił mnie dlatego, aby ktoś wspólnie z nim obarczony był zaufociągami jego zakłamania.

2. Nie chodzi mu o moją osobowość, ani o styk z nią; raczej o wiedne lub bezwiedne spieszzenie mojej osobowości, o jej korupcję taką, jaka i jego jest.

3. Nie chodzi więc o styk psychiczny, lecz o rozsiw. I nie mam być jego narzędziem; mam być zasobnikiem od niago odsaparowanym, osobnym, prz czym: im większa osobowość, tym węższa osobowość. Aia: zasobnikiem czego? Zakłamania, pamięci; zakłamania i pamięci zarazem?

To wszystko poplątane, nieskładne, niespójne. Moja własna czynna postawa nie byłaby w tym wypadku przewidziana; przez niago przewidziana. Tylko ja sama mogę ją przewidzieć i jej pragnąć. Wniosek więc ten sam:

4. Erotyka, nawet natrętna erotyka.

Spać.

14.

Obiecałem, że opowiem, jak stałem się stalinistą. Z grubsza biorąc, jest to stan ducha, kiedy się wyczuwa, że żywione w głębi serca ideały sprawiadiwości, zyczliwości wobec bliźnich, dobroci, czy jak jeszcze to nazywamy, zostają ujęte w karby, na co się zgadzamy i w gruncia rzeczy pragniemy tego; te karby zaś czynią wszystkie te ideały niejasnymi, rozmyzanymi, nieokreślonymi. Następuje jakiś proces w człowieku, kiedy przestaje rozumieć, co jest czym.

Przerwał i:

- Najważniejsze stają się karby. Zaczyna się miłośna nieomal sprawa z korbami, kocha się karby. Stalin mianowicie był daleko, karby były tuż

42
i były swoje własne. Praktycznie oczywiście obywało się to bez tej całej filozofii, filozofię człowiek dorabia sobie później, kiedy się karbów wyżył i kiedy nia bardzo rozumie, jak do tego dojść mogło.

Mówił dalej:

- Rzeczywiście nie wiem, jak to tego dojść mogło. Opuściłem obóz, ale Drzewiecki mnie nie opuścił. Ledwo domaszeralowaliśmy do kwatery wyznaczonej nam w pobliskim miasteczku, opuszczonym przez Niemców, władował się do zajętego przeze mnie mieszkania: "Będę mieszkał z tobą". Mieszkanie było nieduże, na pierwszym piętrze, dwupokojowe, z małżeńskim łóżem w sypialni; rozbabeszonej zresztą niewiarygodnie przez żagujące oddziały tytowe; drugi pokój był tym, co Niemcy określają jako "gute Stube" i na co po polsku nie ma właściwego określenia: tam z kolei były szczyrby, nacznia i szkło pobita z zemsty za brak alkoholu; kuchnia zaśmiana, ustęp na podwórku. Powiedział: "Ciepiej będzie, mroź na dworze; a może uda się napalić w piecu? - Widziałem gdzieś brykiety". A więc widzi pan, że musiałem spać w małżeńskim łóżu z kimś, kto mi podlegał i zarazem był moim zwierzchnikiem. Nie, Drzewiecki nie był homoseksualistą, był stalinowcem i dlatego zmusił mnie do dzielenia się łóżem i stołem. Wtedy zaczętem się bać i wtedy było już za późno.

- Trzeba było przestraszyć się wcześniej.

- Ślusznie, trzeba było się przestraszyć wcześniej, ale o tym przed opuszczeniem obozu nie wiedziałem.

Jaki był stan duchowy i fizyczny mego chlebodawcy owego dnia. Czy był pijany? Czy był po zastrzykach? - Pił herbatę i zalewał mnie potokiem nie bardzo skoordynowanej wymowy:

Patlił światła nie było wolno, nie mieliśmy czym okien zaciemnić, a strefa była przyfrontowa. Jego amikozoneria objawiała się więc w ciemności, kiedy każdy z nas leżał pod wilgotnym i długo nie dającym się ogardzać ciałem piernatem; materace i prześcieradła były także wilgotne. Ton jego nadał był natrętnie konspiracyjny: "Wziąłeś ze sobą listy?" - Nie zrozumiałem: "Oczywiście, całą korespondencję". - Konspiracyjne natręctwo wzmożło się: "Błagam cię, nie rób z siebie Idioty. Tu nie chodzi o twoją prywatną korespondencję, lecz o akta personalne". - "Mam listy członków, ale jakie to ma znaczenie?". - "Dopiero teraz to będzie miało znaczenie. Porobisz charakterystyki wszystkich? Tak, jak ci to mówiłem?".

- "A po co? Na piętnastu sześciu poszło na zachód, zostało dziesięciu, są tuż z nami". - "Ci, co poszli na zachód, są ważniejsi niż ci, co zostali tutaj. Błagam cię".

Przewatałem:

- To on zawsze tak błagał?

- Zawsze błagał.

- To przecież brednia.

- Błaganie to bynajmniej nie brednia. Błagalnością kształtowały się karby i kluby, jakie miały mnie pętać. A ponadto, i to właśnie proszę bardzo dokładnie zapisać.

Pobudliwość jego wzrastała, nie powiedział, co miałem zapisać. Niespokojnie poruszył się na swoim tapczenie, po czym:

- Włec w tych ciemnościach zapytałem: "Dlaczego?" - "Po będziemy mieli Ich w garści, jeśli zostaną na zachodzie, Zrozum, błagam". Wilgód posiceli była dojmująca, przy każdym ruchu odczuwało się jej śliskość, tak jak i śliska była brúnatna w swym odcieniu czerni osobliwym trafem nie powyblijanych szyb naprzeciwko naszego łóża małżeńskiego. Drzewiecki mówił dalej: "Jeśli zostaną na zachodzie, będzie można zawsze, w miarę potrzeby, postraszyć Ich, że powiemy komu należy, co o nich wiadomo. A wtedy będą musieli stosować się do naszych poleceń. Ot, co". Kilczałem dobrze długą chwilę w tej wilgoci i śliskości i Drzewiecki zorientował się za pewne, że poczułem wilgotną śliskość nie tylko rzeczy martwych.

Skorzystałem z przerwy, kiedy popił herbaty:

- Co miałam dokładnie zanotować?

- Zanotować? - No tak, proszę zanotować: że jest rzeczą niezwykle

przewrotną, że najpierw ukształtowały się wokół mnie, czy może lepiej - na mnie - uneruchamiające kluby i karby, później zaś dopiero, kiedy to

mitosne unieruchomienie okrzykto, zaczęło się coś innego, co powinno być to, wedle wszelkich prawideł konsekwencji, karby i kluby poprzedzać: mówię o psaczeniu, wzajemne zależności zostały odwrócone.

- Czy wleździł pan już o tym wtedy?

- Powiniennem być to przeczuwać, ale nie zdotałem, w małżeńskim tożu jeta się we mnie budzić; nie, inaczej: Istniejąca we mnie od dawna już fatwowność zaczęła się potęgować, bez mego udziału. Ale i to dopiero dziś staje mi się świadome. Przecież po to pani tu u mnie siedzi, abym mógł także rzeczy formułować.

A więc potrzebna mu byłam jako katalizator do sformułowań; do ułatwienia wypowiedzi; do lepszego samopoczucia duchowego przy markości warty; do wynurzeń w tożu małżeńskim - z kim tożu? - z czym małżeńskim? - Miałam więc być dla niego spowiednikiem, który tajemnicy spowiedzi w dogodnej lub odpowiedniej chwili nie dotrzyma; dogodnej - dla mnie? - odpowiedniej - dla niego? Miałam dokonać zdrady, to było pewne, tylko: kogo miałam zdradzić, to było niepewne i nadal jest niejasne i chyba niejasnym powinno pozostać.

Zapytałam:

- Formułować? Nigdy ran dotąd tego nie robił?

- Zapewne robiłem. I co pani do tego? - A teraz znowu to robie, na nowo i na inną modłę.

Znowu popił herbaty, nalewał sobie z termosu, parzył usta:

- A wlec pan drzewiecki w śliskości, kiedy spostrzegł, że nawet o pytanie mi było trudno, powiedział, raczej: wyjaśnić: "Przed wojna pracowałem w wojskówce, wiesz, co to takiego?" - Nagle zdałem sobie sprawę z tego, że był oficerem zawodowym, porucznikiem artylerii, co znaczyło: był jako członek partii komunistycznej agentem wywiadu sowieckiego w armii polskiej i dlatego zapewne wybrano go na mego podwładnego i instruktora zarazem. Po dziś dzień nie wiem, w jaki sposób nawlazał w obozie łączność z organizacją krajową. To zresztą wszystko jedno. - Powtórzył: "Nie wiesz, co to takiego wojskówka?". - "Wiem" - "No to zrozumie, błagam cie"

- Znowu błagał?

- Znowu błagał.

- Notuję, że to brednia.

- Wlech pani notuje, co pani chce, Odpowiedziałem mu: "To znaczy, że tych, co poszli na zachód, można będzie zmusić do pracy dla nas?" - "Nareszcie dbacie o ciebie dotarło. Tak, i dlatego właśnie trzeba będzie wygotować ich dokładne charakterystyki, spisać ich życiorysy, o, zwłaszcza życiorysy". - "Przecież ich nie znam na pamięć?" - "Nie znasz? To trzeba będzie je wymyślić; i tak przecież życiorys jest taki, jaki akurat w danej chwili potrzebny".

- I wymyśliście życiorysy?

- Tak, następnego dnia, kiedy słońce wzeszło.

- W pełni słońca?

- Owszem, w pełni słońca. Mróz był siarczysty, śnieg się Iskrzył, z dnia zaś dochodziła kanonada. Byliśmy, trzeba o tym pamiętać, trzydzieści kilometrów za frontem.

- I w pełni słońca fałszowaliście czyjeś życiorysy, dokumenty, akta?

- Nie panno Doroto, ale tego chyba pani nie rozumie, Tworzyliśmy życie, i to od podstaw.

Po powrocie do domu dopisałam jeszcze do moich notatek, że życie nie jest życiem, tylko życie udaje, że podstawy nie są podstawami, tylko pozorami. W przepisywaniu tych notatek przeszkadza mi teraz dziecko, mój syn, który zdaje się ma grype, marudzi i nie chce zasnąć.

15.

- Kiedy więc zrobiliśmy, wymyślił i spisał życiorysy cudze, zabraliśmy się do własnych. Przede wszystkim zaś do własnych charakterystyk. Można to tak określić, że tworzyliśmy sami siebie na nowo.

- Za pomocą fałszowania?

- Byłoby uproszczeniem nazywać to fałszowaniem. Niewątpliwie odbywało się to w wielkiej intymności, w ciemnościach, w tożu małżeńskim.

Tym razem znowu pił, ostro, sławetną mieszankę piwa z wódką i oczołoty mu się marszczyły żółtawo, jak kiedyś.

- A cóż to było?

Drzewiecki mówił mi, jeśli dobrze pamiętam, coś w tym rodzaju: "Nigdy nie wiadomo, co kto może wiedzieć, choć oczywiście każdy z tych, co powinni wiedzieć, będzie udawał, że wie. Błagam cię, musimy obaj napisać, żeśmy się dobrze znali sprzed wojny". - "Ale to przelicz się nie zgadza". - "I co z tego? Ja rok temu zeznałem, żeśmy się przed wojną widywali. Ty musisz to teraz potwierdzić, błagam".

- Znowu tyle błagać?

- I znowu pani sobie zanotuje, że to brednia?

- Zanotuje.

- To komentarz. Niepotrzebny mi pani komentarz.

- Ale mnie potrzebny. Proszę mówić dalej.

- Potrzebny pani? I komu jeszcze?

Był wściekły i ledwo tę swoją wściekłość ukrywał w żółtych pomarszczonych dolnych powiek. Poprosił mnie o otwarcie kolejnej puszki piwa: duńskiego; dlaczego duńskiego?

Nie odpowiadałam mu na to: komu jeszcze.

Zdławił ostatecznie wściekłość:

Drzewiecki błagał mnie o to, żebyśmy sobie wzajemnie tak ułożyli życiorysy, iżby każdy z nas był w stanie świadczyć o drugim w razie potrzeby: "Jeśli znajdziemy się w opałach, może nam to być przydatne". I zaraz dodał, jakby z westchnieniem: "Chociaż nie zawsze, czasem nawet szkodzi". - "Kiedy?". "Kiedy ktoś inny będzie układał naszą życiorysy". - "Kto?". I wtedy zebrało mu się naropozytowanie: "Tam w wysokich niebiosach skrzypią nieustannie anielskie pióra". - Na co odpowiedziałem, sądząc, że to żart: "T. zaba mieć zaufanie do wysokich niebios. Kto się w opiekę odda Panu swemu". - "Głupie; błagam" - nie dokończył zdania. Niech pani sobie zapisze, że to brednia i że nawet nie wiadomo, o co mnie chciał błagać. Chyba nawet lepiej byłoby tak, że nie błagał.

- A co by to być mogło?

Popatrzył na mnie; powiekami raczej i omarszczeniem, niż okiem albo źrenicą.

- Co by to być mogło? Na tym to się pani nie zna, bo to okoliczność teologiczna: piekło mianowicie. Na dworze iskrzący mróz; zimny blask, w oddali kanonada i tury na horyzoncie, widzialne za dnia: upalny blask. Upał i zimno, wzięte razem, to właściwość piekielna.

- I w toż matzańskim układałiście sobie z Drzewieckim, Malinowskim i Kałińskim te sfąszowane życiorysy?

- Nie w toż matzańskim, już za dnia. I nie sfąszowane, lecz podfąszowane, lepiej nawet, podratyszowane i lekko sprężniete. Chciałoby się powiedzieć: symboliczna, sakramentalnie symboliczna. Czujęm się wówczas tak jak dawniej, kiedy jako chłopiec studiłem do mszy.

Zaczynałem się bawić jego grą, czy może inaczej; bawiły mnie jego reguły gry, a nadto zadawałam sobie pytanie: w co wierzył? Czy teologiczne wtępy /a dziś wiem, że były one mocno powierzchownie teologiczne! nie przekraczały poziomu wiadomości z przedwojennej szkoły średniej; czy więc te teologiczne wtępy miały głębsze, a choćby tylko dla niego, znaczenie, czy też stanowiły element formalny w jego narracji, stanowiąc kłamrę, nie przewodnią, czy coś w tym rodzaju?

Postanowiłam na to odpowiedzieć kokieteryją; nie kokieteryją erotyczną, lecz - no, nie, intelektualną także nie; kokieteryją, powiedzmy psychologiczną:

- Gubię się w tym wszystkim. Niechże mi pan powie, czy była to sprawa nieba, czy też piekła? Symbolika zbawienia, czy symbolika potępienia? I czy pan to teraz tak rozumie, czy wówczas pan to tak ujmował, już podczas rozmowy z Sosnowskim?

- Fąszerstwo było symbolem. Czy naprawdę panią coś to obchodzi?

- Kim pan był wtenczas? Kim pan jest dzisiaj? Czy ta cała teologia nie jest dla pana najzwyczajniej ozdobnikiem? Jeszcze sposobem kłamania i zektamywania się, i zabafszowywania siebie samego, a choćby tylko potowicznie?

Znowu tłumił w sobie wściekłość. Wypił duszkiem spory kieliszek wódki i sporą szklankę piwa; też duszkiem.

- Fatszerstwo to symbol. Symbol to znak, po łacinie: signum. A sakrament to znak widzialny łaski niewidzialnej.

- Bożej łaski niewidzialnej.

Kiedy zaczął się wdawać podczas swych wynurzeń w materię nabożną, zacząłem to i owo z tej dziedziny czytać, żeby się zorientować, o czym rozpowiada; teraz chodziło o rzecz najprostsza: o katechizm.

- A któż to pani powiedział, że chodziło o łaskę Bożą?

Z Drzewieckim.

Przerwałam:

- Z Lipińskim.

- A niechże panią diabli wezmą. - Podniósł głos, co mu się rzadko zdarzało; od podniesienia głosu poruszyły mu się powieki, dołne, wymarszczone, i pokryły swoją zielonkawo gąbczastą powierzchnią oczy; jak on to robił? - pomyślałam - człówek przecież przykrywa gałkę pełną górą powieką, a któż czyni to dolną? - On powtórzył, nadal podniesionym głosem: A niechże panią diabli wezmą. Z Drzewieckim/teraz mu już nie przerywałam/przystąpiłiśmy do sakramentu, którego przez dokonanie fatszerstwa sami byliśmy szafarzami. Ale tu nie chodziło o łaskę Bożą, lecz o łaskę Wielkiego Anonima. I dlatego.

Przerwał. Popił trochę spokojniej:

- Fatszerstwo miało moc stwórczą i sprawczą, moc, która wiązała nie tylko nas, ale i Wielkiego Anonima.

I powiedział znowu podniesionym głosem:

- Niech panią dzisiaj diabli wezmą.

Obrócił się na drugi bok, rozlał szklanekę piwa nieopatrzonym ruchem łokcia i zasnął natychmiast.

Chrapał. Wyszłam szybko z jego milionerskiej willi.

17.

Poprosił mnie, żebym przyjechała do niego w niedzielę rano, ponieważ mu coś po południu nieoczekiwanego wypadło. Cóż mu mogło wypaść? To znaczy: co mogło mu się przydarzyć poza poleganiem, dyktowaniem, oszaleciem się i mną? A jeszcze: czy ja mu się przydarzam, i co by to znaczyło, że mu się przydarzam?

Nie mogłam się go o to spytać, teraz w każdym razie nie i nie wiedziałam, czy później będę mogła.

Przybywszy odniosłam wrażenie, że, jak kiedyś już, wprowadzony był w stan podniecenia nadmierną dawką środków przeciwbólowych; w pokoju pachniało eterem, robiono więc zastrzyki; czy mu je ktoś zrobił, czy on sam sobie, trudno mi było dojść; ani strzykawkę, ani ampułek nie było w zasięgu mego wzroku.

Jakby owa Barbara po kilkunastu latach na niego osobliwie oddziaływała: przez znany mi czas i nieznaną mi przestrzeń, on to właśnie był przekazany. Mówił wolno, choć tym razem mówił dużo.

- Z czasem zaczęło się to i owo wyjaśniać. Dzisiaj się orientuję, że któregoś z Brzezińskich przydzielono mi za anioła stróża, wówczas byłam w naiwności swojej zbyt ufny, żeby się w tym potapać. Ten Brzeziński był postury małutkiej i bardzo zastrachany, głównie namawiał mnie do picia, ku czemu i tak ze względu na przeciągającą się nieróbstwo byłam skłonny aż chyba nadto; podczas popijania ślinił się nadmiernie, ale nie było to ślinienie się duchowego rodzaju i miał braki w uzębieniu, na pierwszy rzut oka widać było, że kiedyś musiał mu ktoś dać tego w mordę i wybić kilka przednich zębów, których zastąpić protezą nie mógł czy nie chciał; nie pytałem go o to. Był młodszymi ode mnie wiekiem i stopniem, sam do kantyny zaglądała Barbara, której dobrze było w mundurze starszego sierżanta; widząc mnie z nim, a przeważnie byłam z nim, przysiadła się na chwilę; słuchała, co do mnie nachylony mówił głosem będącym ni to szeptem ni to chrypieniem, choć nie był to ochrypty szept, ale nie potrafię powiedzieć, czy słuchała uważnie czy nieuważnie, czy interesowała

się tym czy nie; a także nie potrafię powiedzieć, czy była zadowolona z ich pogwarak z Brzezińskim, czy nie.

Powtórzył:

- Uważnia czy nie uważnia, interesowała się czy nie interesowała się, była zadowolona czy nie.

- Czy było to przed czy po przespaniu się?

- Przed i po, i można powiedzieć, prawie że podczas.

- Czy Barbara uważała tego Brzezińskiego, przypadkowo albo i nie przypadkowo, za swego konkurenta, lub inaczej: czy nie mieli się wzajemnie sprawdzać?

- A skądże pani, panno Doroto.

Powtórzył bardzo powoli:

- Pan-no Dor-ro-to. Skądże więc pani, panno Doroto, zna takie prakty-

ki?

- Dochodziło do mnie to i owo.

- Do - cho - dzi - to?

- Tak, dochodziło.

- Mniej - sama z tym. Więc ten Brzeziński mówił do mnie: "Ty rozumiesz my jesteśmy Inni, niż wy, starzy komuniści. Myśmy przeszli prawdziwą szkołę, my więcej wiemy". - I ślinał się, przy tym zza dziur po wybitych zerbach ciekła mu ślina pomieszana z wodką, po czym się obliżywał, ale robił to inaczej, niż Barbara. - "Wy byliście marzycielami i was nawet może lubili, no, bo ja wiem kto, robotnicy lub inteligenci. Zbiórki na was robiono, jak który poszedł do kryminatu. Kto na nas robiłby zbiórki? Nawet nasi koleżki tutaj by nie robiły. A wiesz dlaczego? - Wypił i ślinał się sam odpowiedział: "Bo byłoby to zła - ma - nie dys - cyp - li - ny par - tyj - nej, i nie tylko partyjnej - o wiele wyższej i mocniejszej dys - cyp - li - ny".

- Czy ten Brzeziński wtedy tak rozciągał słowa, czy też to pan sam teraz robi?

- Ja rozciągam słowa?

- Rozciąga pan.

- Może on wtenczas rozciągał słowa w tym swoim ni to szepcie ni to ochrypczości? Nie wiem. Ale mówił jeszcze: "Was lubili, a nas nienawidzą. Wszyscy nas nienawidzą: i robotnicy, i inteligenci, starzy partyjniacy i nowi partyjniacy. Nawet w KC nas nienawidzą. A my przecież wiemy najlepiej, jak pomagać narodowi, my wiemy, co jest dla narodu dobre. Nikt tego nie wie lepiej od nas i nikt nie wie, jak z narodem należy postępować. Pos - tę - po - wać. I dlatego nas nie - na - wi - dzą".

- Mówił o sobie i to mnie dziwi. Dlaczego nie zadawał panu żadnych pytań? W osobliwy sposób pana przeświecał? Słowo o obiegu wewnętrznym

- I to wyrażenie pani zna: przeświecał? Słowo o obiegu wewnętrznym i bez obiegu zewnętrznego?

- Życia pan nie zna. Zwykłego, codziennego życia w naszym kraju. O przeświecaniu mówi się ciągle i to nie tylko z okazji śledztwa: przeświecał personalny, przeświecał sekretarz organizacji partyjnej, przeświecał szpicel i inny szpicel szpicla. Jeśli wywodzą się każdy z innej frakcji wewnętrzno-partyjnej; nieomal wszyscy przeświecają się nawzajem, pół Polski to rentgenologów. A pan mówi, że słowo: przeświecać nie ma obiegu zewnętrznego. Więc jak ten Brzeziński?

Odpowiedział jeszcze wolniej niż dotąd:

- Do - brze; bar - dzo do - brze. Niech będzie, że Brzeziński mnie nie prze - świe - cał. Ale słuchał moich odpowiedzi, ja mu przecież na to, co mówił, odpowiadałem.

- Swoich odpowiedzi mi pan nie dyktował.

- Po co to pani? To i tak nie ma zna - cze - nia.

I po chwili:

- Bo cóż ma na - praw - dę zna - cze - nie? Dzisiaj myślę, że rola Brzezińskiego była inna, nie o przeświecanie mu chodziło, lecz o skruszenie. Ja, przedwojenny komunista, z tej rozwiązanej i porozstrzelwanej partii; wtedy nie wiedziałem, że Stalin prawie całe władze polskiej partii kazał zlikwidować; ja, przedwojenny komunista, miałem więc zostać stalinowcem, a to zna - czy.

Nie tylko, że przeciągał poszczególne słowa i to, co mówił, stawało

się coraz powolniejsza, nadto wymawiał je tak, jak gdyby mu język w jamie ustnej puchł.

- A to zna - czy, że miałem uznać wyższość młodego komunisty, że tak powiem: no - we - go - ko - mu - ni - sty, upokorzyć się przed nim, przed nimi, którzy przyszli stam - ted i mieli tę dziwną władzę i dziwną świadomość, której ja nie miałem i mieć nie mogłem. Nawet Drzewiecki, ten Bukowski z oflagu, tej wiedzy nie miał, choć przypuszczam, że podejrzewał, no, widzi pani, panno Doroto, po - dej - rza - wał.

- Co podejrzewał?

- Po - dej - rze - wał, obojętne co podejrzewał, ważne było, że po - dej - rze - wał. Drzewiecki, tak, Drzewiecki chyba podejrzewał, że istnieje mechanizm owej osobliwej władzy stamtąd i że ten mechanizm polegał w istocie na upokarzaniu starych przez młodych, dawnych przez nowych. Po - dej - rze - wał u - po - ka - rza - nie. Po - ko - ra - ... i po - dej - rził - wość.

Przewał, klucha mu się najwyraźniej w jamie ustnej zrobiła i najoczywściej w niej rosta, nabrzimawała, obrzymiała. Po zastrzyku widocznie zabroniono mu picia alkoholu, pił tylko wodę mineralną, pić musiał coś ciągle, z pić butelek mu się pod tapczanem zebrało.

- To był początek lat podejrzliwości, potem ten sposób bycia jeszcze się wzmagał i tak człowiek stawał się stalinistą. Podejrzliwość była rozproszona, promieniowała wszędzie i powszędą, stawała się Wielkim Wszechobecnym Anonimem, synonim zaś tego Anonima nazywał się Józef Stalin, no jak, Sta - lin. Tego to Anonima, czy też raczej Wszechobecność miał mi uzmysłowić i uzmysłowienia to wpoić i wszczepić ówże śliniący się Brzeziński z wybitnymi zębami i to je - szcza nie wyszt - ko.

Jak ten zastrzyk na niego działał? Czy naruszał mu pamięć? Czy naruszał mu mowę, mowność, możliwość wypowiadania się? Poczucie spójności i zborności materii językowej? Wysłał się, by mówić, nie chciałam mu w tym jego wysiłku przeszkadzać.

- To Jesz - cze nie wyszt - ko. Nie z własnej woli znalazziłem się, i tu także podejrzewam, widzi pani, ja się tego nie wyzbędę, dzisiaj jeszcze wciąż po - dej - rze - wam; podejrzewam, że mnie w to dla siebie tylko władomych powodów wmanewrował obozowy Drzewiecki, nazwijmy go Drzewiecki; nie z własnej woli znalazziłem się w instytucji, w aparaturze, która sama wszystko i wszystkich podejrzewając, stała po - wsze - dy po - dej - rze - nie; po - dej - rził - wość, i tak, rozpraszając, co powinno być spójne, społeczeństwo roz - pra - sza - jąc, trzymała to społeczeństwo w garści.

Nimo nabrzimiewania wnętrza Jamy ustnej, socjalistyczny milioner dobierał starannie słów. Jakież więc było naprawdę działanie tych - a nazwijmy je sobie tak, środków uśmierających?

Powiedział:

- Po - li - cja.

I wtedy rozległ się dzwonek u drzwi, mnie zaś się zdawało, że kolejność rzeczy została odwrócona.

Powiedział:

- Niech się pani nie boi, panno Doroto, to nie policja. I niech się pani o nic nie troszczy, pan - no Do - ro - to, jest ktoś, kto drzwi otworzy. Zostanie pani na obiad?

Doszły mnie zza drzwi od przedpokoju odgłosy otwierania, wchodzenia i dość hataśliwej krzątaniny, zapukano wreszcie i weszło trzech w miarę opastych mężczyzn, roześmianych i wykrzykujących "serwus" i "jak się masz" i tak dalej; podawali ręce z wylaniem i impetycznym potrząśnięciem. Jeden z nich się odezwał, stawiając duży kosz na podłodze:

- A ot rodzynki w kożusku.

Były tam butelki najróżniejszego kształtu i maści, jakieś paszety, półgęski, zimne mięsa, i znów któryś z nich się odezwał:

- Nawet chleb i masło przynieśliśmy.

Mój chlebobawca powiedział:

- Pan - no Do - ro - to, to moi przyjaciele, Ma - li - now - ski, Ka - li - now - ski, Bu - kow - ski, sami, jak pani widzi, Drze - wiec -

cy. Przyszli odwiedzić cię - pią - ca - go.

I odezwał się trzeci:

- Jak tam twoja wątróbka? Z cebulką czy z buraczkami?

Po czym zaczęła się, jak oni to nazywali, twarda męska wódka. Zostałam i właściwie po co zostałam? Mój chlebodawca, nie zwracając widać uwagi na wzięte przedtem zastrzyki, pił razem z nimi, może nie dotrzymywał tempa, ale pił; piłam i ja, nie wiedząc czemu, ponieważ mówili dużo o sobie tylko znanych sprawach i zachowywali się tak, jakbym nie była obecna i jakbym nie była kobietą; upiłam się w końcu i niewiele z tego pamiętam, tyle tylko, że któryś z nich odwiedził mnie do domu.

19.

Z samego rana otrzymałam list, express-polecony; koperta była dość gruba, zawierała kilkustronicowy maszynopis oraz kartkę:

"Panno Doroto,

proszę przyjechać do mnie za trzy dni. Przesyłam Pani sporządzony niegdyś w moim pobliżu, a dziś nie tylko stylistycznie skorygowany przez moje protokół, który może Pani włączyć w tok moich wynurzeń, w formie, jaką Pani uzna za stosowną. Przypuszczam, że trzy dni wystarczy Pani na to, aby te w końcu nie mnie dotyczącą sprawę przemyśleć; jeśli Pani mimo wszystko dojdzie do wniosku, że sprawa ta jednak mnie dotyczy, lub wiąże się z moją osobą, lub moją osobę w jakikolwiek sposób wiąże, to za następnym spotkaniem będziemy mogli o tym porozmawiać. Niech Pani zrozumie, że opowiedzieć tego bezpośrednio nie jestem w możności.

Ukłon

Podpis".

A oto tekst maszynopisu:

"Człowiek, o którym piszę, nie żyje. Człowiek, który złożył sprawozdanie o człowieku, o którym piszę, nie żyje także; przestał żyć wcześniej aniżeli ten, o którym złożył sprawozdanie. Tego, że obaj nie mogli żyć, dowiedziałem się dobrych parę lat po śmierci obu, choć domyśliłem się od razu, czemu drugi żyć nie mógł i to jest mi bezmiernie jasne od początku; czemu pierwszy nie żyje /bo żyć był nie powinien/ także się domyślam, choć nie wszystkie okoliczności były mi jasne od początku. Depuszczęam myśli, że tych kilka zdań wstępu jasnymi nazwać nie podobna, ale dobrze, że nie podobna: tak należy, aby było.

Człowiek drugi, o którym powiedziałem, że złożył sprawozdanie o pierwszym, nie składał sprawozdania w ścisłym znaczeniu tego słowa; był bowiem na temat człowieka pierwszego przestuchiwany i dlatego sprawozdanie to jest nieco zawiłe.

Oto protokół i proszę mnie nie pytać, w jaki sposób wszedłem w jego posiadanie; powiedzmy, że ukradłem.

Pytanie: Nazwisko

Odpowiedź: Tak, nazwisko.

P.: Imię.

O.: Tak, imię.

P.: Pozostała personalia.

O.: Tak, pozostała personalia.

P.: Służycie w Centralnym Zarządzie Polityczno-Wychowawczym Wojska Polskiego.

O.: Tak, w CZPW WP.

P.: Jesteście sekretarzem redakcji takiej a takiej.

O.: Takiej a takiej.

P.: Rzecz, która nas obchodzi, wydarzyła się dwudziestego szóstego kwietnia.

O.: O ile dobrze pamiętam, pod koniec kwietnia.

P.: Byliście wtedy na reportażu w mieście portowym.

O.: W mieście portowym.

P.: Zamejdowaliście się u admirała.

O.: Zamejdowałem się u admirała celem przeprowadzenia wywiadu dla naszego pisma.

/Notatka przestuchującego na marginesie protokołu: Podniosłem głos, trzasnąłem pięścią w stół, co zrobiło widoczne wrażenie na przestuchowanym, tak że od tej chwili był szeszyony/.

P.: Dlaczego nie zameldowaliście o tym swemu dowódcy natychmiast po powrocie?

O.: Meldowałem.

P.: Wiemy, że nie meldowaliście.

O.: Milczenie.

P.: Nie meldowaliście, że admirał nie jest admirałem: Dlaczego?

O.: Milczenie.

P.: Wiemy, że musieliście wiedzieć o tym, że admirał nie jest admirałem:

O.: Milczenie.

/Notatka na marginesie: Wyjąłem z szuflady TT i położyłem na biurku, co przestuchwanego speszyło jeszcze bardziej/.

P.: Dlaczego nie meldowaliście, że znaleźliście admirała przed wojną?

O.: Nie meldowałem. Nie znałem. Nie.

P.: Ale kiedy meldowaliście się u admirała, myśleliście, że to ten sam admirał, którego znaleźliście sprzed wojny. Imię i nazwisko.

O.: Milczenie.

P.: I to nie był ten sam admirał, o którym myśleliście, że go znacie sprzed wojny, chociaż miał to samo imię i nazwisko. Nie kłamcie.

/Notatka na marginesie: Wzięłem TT do ręki/.

O.: Nie strzelać.

P.: Nikt nie strzela. Strzelać będzie się we właściwym czasie. Odpowiadacie na pytanie. Coście zrobili, kiedy zobaczyliście admirała w jego gabinecie?

O.: Zameldowałem się regulaminowo.

P.: No tak. Ale my wiemy, że ten admirał, którego znaleźliście sprzed wojny był szczupły i wysoki, a dwudziestego szóstego kwietnia zobaczyliście w gabinecie admirała krępego i barczystego mężczyznę. Co wam wtedy przyszło na myśl??

O.: Milczenie.

P.: Co wam wtedy przyszło na myśl? Z kim o tym rozmawialiście? Komu przekazaliście tę wiadomość? Kto wam podsunął ten pomysł, żeby przeprowadzić z admirałem wywiad?

O.: Milczenie.

/Notatka na marginesie: Uderzyłem przestuchwanego kolbą TT w nos tak, aby nie stracił przytomności, ale żeby mu krew z nosa poszła/.

P.: Kto wam podsunął ten pomysł?

O.: Nikt. Ja sam.

P.: W to nikt nie uwierzy. Porozmawiamy następnym razem. Podpiszcie teraz protokół. Jesteście aresztowani".

Mój chlebodawca, kiedy przyjechałem do niego, był już nieco podchmielony i powiedział bez żadnego wstępu:

- Tekst, który pani przeczytała, jest przeze mnie skorygowany. Dyktowałem go maszynistce, której pani nie zna i której pani nie pozna.

Pomyślałam, że kłamie, że nie ma żadnej maszynistki, że on sam zwiłki się pewnego dnia z tapczanu, aby te kilka stron przestukać na maszynie. I pomyślałam jednocześnie: Czy ma oryginał? - czy pisał z przebitką? Pomyślałam, ale nie pytałam o to.

On mówił dalej:

- Nie tylko skorygowałem, ale i dodałem pewne rzeczy. Nie było na przykład żadnych notatek przestuchującego na marginesie. Panno Doroto, mężenniczko Pańska.

- Nie podszycam się pod życiorys mojej patronki. Bo co mnie może obchodzić moja patronka?

- Panno Doroto, co pani z tego rozumiała?

Uległam nagłej pokusie i tak, jak przed wiału tygodniami, podciągnęłam spódniczke, żeby mógł zobaczyć przynajmniej obręb pończochy i zaczęło się podwiązać na wewnętrznej stronie uda. Ujrzał chyba coś z tego, gdyż poruszył się jakby rozdrażniony. I zanowu zadawałam sobie w myśli pytanie, czy było to to rozdrażnienie, o jakim mi chodziło i jeszcze szybko

zanotowałam sobie pytanie następnie: dlaczego mi o to chodzi i czy to do-
brze, że mi o to chodzi.

- Co pani z tego rozumiała? W istocie sprawa była prostą: ten
przestuchiwany młody człowiek znał zapewne sprzed wojny nie istniejące-
go już wtedy albo zaginionego, albo diebli wiedzą w jaki sposób przepe-
dłego wyższego oficera polskiej marynarki wojennej i kiedy na pewniaka
poszedł do niego, aby zrobić z nim wywiad, zorientował się, że ma z kim
innym, a mianowicie z kimś podstawnym do czynienia.

- Który się przypadkowo tak samo nazywał?

- Który się nie przypadkowo tak samo nazywał, ponieważ w rzeczywisto-
ści nazywał się inaczej.

- Ale który był także admirałem?

- Przypuszczam, że nie był admirałem, przypuszczam, że nie był także
i marynarzem; przypuszczam również, że nie był narodowości polskiej, albo
też, że rodzina jego kiedyś wywiodła się z Polski, on zaś, po różnych swo-
ich przodkach i swoich przogodach atnicznych, wrócił znowu do polskości
na osobliwej zasadzie; przypuszczam, że na zasadzie rozkazu, nie, nie przy-
puszczam, tego jestem pewny, choćby nawet i poprzednia moje przypuszcze-
nie były jadyne, powiedzmy, fikcją literacką, rozkazy bowiem wydane przez
zwierzchność do wydawania rozkazów powołaną, skrzyżowaną i zewężoną z
domysłami kogoś, kto powołanie do snucia domysłów sam sobie nadał, mogą
fikcją literacką z siebie wysnuwać; przypuszczam, że tak właśnie powstają
działają większych zbiorowości, jeśli się rozkazy i domysły łącznie utrwa-
la.

Nie zmieniałam cały czas pozycji, moja niktą pornografia in vivo
rozdrażniała go widać coraz to mocniej; mówił szybko, bardzo nawet szybko;
kiedy skończył, wypił szybko kieliszek wódki i nalał sobie następny. Ja
natomiast powiedziałam:

- Wiem z lektur, że moja patronka, święta Dorota, tamana była kotem.
Jak wykonywano tego rodzaju wyroki? Czy oprawca rozbierał skazaną? Czy
też tameno kotem w odzieży?

- W utrwałonej rozmyśleniu; w utrwałonej rozkazem i domysłem wielkiej
zbiorowości dokonuje się tamania kotem substancji duchowej tych zbioro-
wości. Co do skazanej: oprawca uprzednio go rozbierał, żeby podczas ta-
mania widome stały się zmiany w jego substancji cielesnej.

Powiedział to jeszcze szybciej, niż swoją poprzednią kwestię, znowu
i być może jeszcze szybciej wypił kieliszek wódki; ja pozostawałam na-
dał nieporuszona, widziałam jak patrzył.

Kiedy nalał sobie kieliszek następny, poruszyłam się: górną mianowi-
cie częścią ciała, biustem, w sposób, jak przypuszczam / i u mnie pojawiło
się teraz to: przypuszczam / nieświadomie kobieciem właściwy.

A jednak trzeba było, aby kończył swoją admirałską opowieść.

- Więc młody człowiek, który przeprowadził najprzód wywiad, a potem
był w skutek tego przestuchiwany, nie żyje?

- Nie żyje.

Kieliszek.

- Admirał zaś, który udzielił mu wywiadu? Czy go także przestuchiwano

- Przestuchiwano, ale później.

- I też nie żyje?

- Nie żyje.

Kieliszek.

- Czy każdy, którego wówczas przestuchiwano, nie żyje?

- Jeżeli nawet żyje, to przeżył okres martwicy duchowej. Nie żył co
najmniej przez czas pewien.

Kieliszek. I:

- Powinno to panią zainteresować: obaj zostali rozstrzelani. I jesz-
cze powinno panią zainteresować: obaj zostali za jeden i ten sam niepo-
pełny czynak, a mianowicie za współpracę z obcym wywiadem. A także i
to powinno panią zainteresować, że była między nimi jednak różnica: młody
człowiek rozstrzelany został jako młody człowiek, pod swoim imieniem i
nazwiskiem, admirał natomiast rozstrzelany został nie jako ten, którym
był w istocie, lecz jako ten, zamiast kogo został przedstawiony i którego
nazwisko nosił.

Nie zmieniałam swego sposobu zachowania się; on mówił już teraz tak szybko, że ledwo nadążałam notować.

Kieliszek.

- A powinno panią również zainteresować, że wówczas, kiedy dowiedziałam się, że rozstrzelano owego młodego człowieka, a było to zanim jeszcze rozstrzelano admirała, zaczęłam starać się o zwolnienie mnie ze służby. Odnalazłam był wówczas Drzewieckiego z oflagu, nie powiedziałam mu, że mnie to mierzi, to było zbyt niebezpieczne. I oto powinno panią zainteresować, że mi się udało to, był bowiem nadal w jakimś dziwnie pokreślny sposób moim przełożonym, zwierzchnikiem czy kontrolerem: przeniesiony zostałam na stanowisko najzupełniej cywilne.

- Jak?

- A to panią nie powinno interesować. Wszystko jedno jak, jeśli to panią interesuje: nikogo nie rozstrzelałam, nie kazałam rozstrzelać ani kółem nie tamatem, ani kazałam tamać. Proszę zamknąć notes, schować ołówki, zastąpić nogi i dać mi się przespać. Dzisiaj mnie już nic nie interesuje, prócz może tego wściekłego wodospadu, który tomoce rozłamnymi wodami.

Przysiadłszy do domu zapisałam:

Gdzieś w jego dzisiejszej opowieści kryje się kłamstwo, i gdzieś w moim dzisiejszym zachowaniu kryto się kłamstwo. I nie o to chodzi, że nieprawda, że fałsz, że zwykła niezgodność z faktami; tu była nawet i w pewnej, a może wręcz i w głównej mierze zgodność, jeśli nie z faktami, to z tym, co się za fakt przyjęło. Kłamstwo jest subtelniejsza i bardziej finezyjne, niżli nieprawda lub fałsz. W nieprawdzie i w fałszu nie można zasmakować, w kłamstwie można zasmakować i więcej; można się nim rozkoszować, jak dobrą potrawą, dobrą miłością, dobrym snem.

Czyżby: jak dobrą poezją? Napięcie, jekle autentycznie: kłamstwo wytwarza między wypowiedzią a faktami, między wypowiedzią a wypowiedzią, między faktami a faktami wreszcie, ową napięciem i nieprzystawanie, ową trudność i niepochwytność, owa fascynacja tym wszystkim, co zostało wyliczone, i wieloma innymi rzeczami, jakie do wyliczenia się nie nadają: z tego zapewne da się uzyskać wartości estetyczne.

W I E R S Z E

R. A. J

kiedy rozplącze się smuga ognia

i szone jabłko

ciemna dłoń

zetrze z twarzy rzeczy

pióra magicznych światła

a pozostaną przedmioty

o znanej do końca barwie

smaku i kształcie

kiedy dotknięcie boga

plącze

nie wskrzesi mnie

w oczach dziecka

kiedy słowa modlitwy staną się

słowami nie z tego świata

kiedy odwrócę się gdy człowiek uderzy

człowieka

kiedy nie będę już mógł niczego zrobić

nawet umrzeć

będę wiedział

że opuściłem

raj

choć Anioł powtarza łagodnie

ostaniając mnie swoim pijącym deszcz

skrzydłem: zostań

spróbujemy jeszcze raz .

może znaleźliśmy

to drzewo

WIECZÓR AUTORSKI

Panowie, nie bierzcie tego zbyt dosłownie

to, co powiem, jutro będzie

prawdą i zostaną zbawiony

ale nie bierzcie tego poważnie

nie umieszczajcie w Dziełach

Tek, NA BARYKADY LUDU ROBOCZY to mój wiersz
ale został wydrukowany w podręczniku
szkolnym i przecież robotnicy nie będą
go czytać

Panowie, mój wiersz został sprowokowany
wynajęty, myślałem zupełnie co innego
myślałem tak, ale kłamałem, mój głębki
język nie chce słuchać tego co pomyśli
kark gębki

Nie bierzcie mnie panowie zbyt dosłownie
pod pachy, poprawię się, przejęzyczę i bez odbierania
głosu uznam to za mój właściwy
język

Bierzcie panowie co chcecie, weźcie
jednak pod uwagę, że byłem młody, że nadal jestem
młodym poetą i że literatura to fikcja
i ja żyję z tej rzeczywistości w tej
fikcji

x x

Ci, którzy idą bez lęku
nie mają nadziei

Ci, którzy idą bez pokory
nie dotkną królestwa
poniżenia

Ci, którzy idą bez miłości
przejdą Wisłę
i wzięcie ale nawet śmierć
stanie się ich udziałem
bez ich woli

Ci, którzy idą bez wiary
nie dostąpią męczeństwa
w kiesce podzielonej
miedzy ubogich

Ci, którzy idą przeciw nam
idą równym krokiem
i kobiata z dzieciątkiem
zapala się im w pięściach

Do Nasz.

Zapisz mnie na tej kartce
 białej ucieczki, baskrwawej
 zalepionej papierem ranie umierającego
 świata,

zapisz
 w wyźtobionej wędrowką zmęczonego
 narodu dolinie,
 ciało bezbronne.

Zapisz w piśmie
 czytelnym najbardziej ze wszystkich, w słowach
 milczącego tłumy, w stłumionych słowach rozruchów,
 w słowach transparentów
 nabrzmiałych jak po pobiciu
 od wewnętrznych wylewów potwarzy

Zapisz na liście nieobecnych
 nienarodzonych umartwych
 zapisz mnie, niewidzialny, ogłoś
 przez megafony głoskami głuchych
 murów,
 w długiej salwie nazwisk nie pomiń
 dziury po moim

Wymaż mnie ze spisów
 tego snu, omamu
 zaznacz krzyżykiem na płonącym zdjęciu
 celownika, rozepnij
 mundur, rozepnij
 mnie na swojej mocnej dłoni
 Bracie

JAK BYŁO NA ZACHODZIE

/Wywiad z Haliną Nikołajską po powrocie z podróży/

ZAPIS: Wróciła Pani z czteromiesięcznej podróży na Zachód. Jest Pani znana nie tylko ze sceny, ale również z działalności publicznej w KSS KOR, jak to się stało, że nie odmówiono Pani paszportu?

HALINA NIKOŁAJSKA: Nie należy do mnie wnikanie w intencje władz. Do Francji zaprosił mnie wybitny aktor i dyrektor teatru, którego książkę świeżo u nas wydano, Jean-Louis Barrault. Wyjechałam zaś w przeddzień wizyty w Polsce prezydenta Cartera. Na pożegnanie wykonano szereg gestów rytuałnych: najpierw pan w biurze paszportowym wygłosił przestrożę, że powinien być "lojalna wobec Polski", następnie na granicy rozebrano mi nie do naga i dokładnie wypatroszono walizki. Tak przygotowana wystartowałam z Okęcia.

ZAPIS: Była to podróż całkowicie prywatna?

NIKOŁAJSKA: Tak sobie wyobrażałam. Kiedy wyjeżdżałam, moja rodzina cieszyła się, że oderwę się od wszystkiego i naprawdę odpocznę, bo przecież ostatni rok był taki ciężki. W Paryżu starałam się coś zobaczyć, trochę chodziłam do kina, którego w ogóle nie lubię, ale jednak chodziłam, z obowiązku dobrej uczennicy, trochę do teatru, a głównie na koncerty i wystawy. Rychto okazało się jednak, że mogę obronić zaledwie jakiś margines prywatności. W Paryżu wszyscy wiedzieli, że przyjechał członek KOR-u. Co chwila miałam jakieś zaproszenia, spotkania, dyskusje z ludźmi bardzo różnymi. Nie uchylałam się od tego.

ZAPIS: Miała Pani liczne kontakty z emigracją?

NIKOŁAJSKA: To one przede wszystkim wypełniły mi czas. Emigracja odbija dzieje Polski ostatnich czterdziestu lat. Są ludzie, którzy po tułaczce wojennej nie wrócili do kraju, często zróżnicowani wedle dawnych podziałów politycznych. Są i powojenni uciekinierzy. Są tacy, którzy korzystając z różnych okazji osiedlili się za granicą - czasem po prostu, żeby się jakoś lepiej urządzić w życiu. I wreszcie są ci, którzy zostali z Polski wyrzuceni w 1968 roku. Ci najwięcej wiedzą o Polsce, i bardzo za nią tęsknią. Tych spotkań było bez liku, co spowodowało pewną gorączkowość przeżywania. Normalnie trzeba wielu lat, żeby się z kimś tak zbliżyć i zaprzyjaźnić, jak tam zdarzało mi się dostownie w ciągu paru godzin. Sprawiało to wrażenie intensywnego, niezwykłego snu.

ZAPIS: Czy nie przed tymi kontaktami właśnie ostrzegat Panią ów urzędnik biura paszportowego?

NIKOŁAJSKA: Nazywał to "informowaniem", przestrzegał, żebym, broń Boże, "nie informowała". Nie miałam specjalnych rewelacji czy tajemnic do ujawnienia. Natomiast nasi oficjalni podróżnicy zdradzają czasem specyficzne sekrety władzy. Na przykład - jeden z redaktorów naczelnych "Jedzie na Zachód" i rozmawia z redaktorem naczelnym tamtejszego pisma. W tej rozmowie radzi mu po przyjacielsku, żeby nie współpracował z pewnym dziennikarzem z Polski, bo to Żyd. Jego rozmówca w ogóle nie rozumie, o co chodzi. Kiedy z nim rozmawiałam, pytał, co właściwie znaczy to ostrzeżenie, skoro tamten jest utalentowanym, pracowitym, świetnym dziennikarzem, a tu przyjeżdża ktoś - i nie było kto - z Polski, żeby ostrzec, że to Żyd...

ZAPIS: We Francji była Pani najdłużej?

NIKOŁAJSKA: Tak, a potem pojechałam do Anglii. Właśnie miano otworzyć naszą wystawę "Fasada i tyły" z weneckiego Biennale. Zaproszono mnie na otwarcie, a drugie zaproszenie do Anglii miałam od Leszka Kołakowskiego, z którym przyjaźnię się od lat. Pobyt u Kołakowskich w Oxfordzie to był taki moment wycieńczenia, a wystawa to był obowiązek, dotyczyła przecież naszej działalności tu, w kraju. Interesowali się nią nie tylko Polacy, także prasa angielska, dla której odbyła się specjalna kon-

ferencja prasowa, poza tym filmowała wystawę Eurowizja, transmitowano to do wielu krajów, nawet do Australii. I w ten sposób nagle zaisztniałam tam publicznie, co wprawilo mnie w niesztychane napięcie i poczułam szaloną odpowiedzialność, ponieważ nie uważałam i nie uważam, żebym była najodpowiedniejszą osobą do tej roli, w jakiej się znalazłam. Nie mam natury działaczkę, uczestniczę w pewnych rzeczach w miarę swoich możliwości i na pewno są ludzie, którzy na temat KOR-u itp. potrafiliby powiedzieć znacznie więcej, znacznie lepiej i precyzyjniej ode mnie - tylko akurat ja dostalam paszport, a oni nie, więc musiałam się tego podjąć. O mało się nie rozchorowałam z tego poczucia odpowiedzialności - drżałam, żeby nie wykazać jakiegoś braku rozeznania, nie powiedzieć czegoś, co mogłoby tam zostać źle zrozumiane i zaskódkić naszej sprawie w sposób trudny do przewidzenia.

ZAPIS: Jak właściwie wyglądała ta wystawa w Londynie?

MIKOŁAJSKA: Chcę powtórzyć co mówiłam tam, gdzie ludzie w nadmiarze optyizmu wyobrażają sobie ruch oporu w Polsce jako masowy, miliony. Moim zdaniem, miliony są niezadowolone, są przeciwko władzy - z powodu sytuacji ekonomicznej i nierówności społecznych. Ale miliony nie należą do opozycji, nie wyrażają głośno swego niezadowolenia, bo są sterroryzowane psychicznie. Ta opozycja, która jest czynna, która się ujawnia, jest o wiele mniejsza, ale i tak, jak na kraj totalitarny, olbrzymia. Trzeba jednak dodać "jak na" - a tam, na Zachodzie, tego poczucia proporcji nie ma. Podobnie z wystawą: jak na to, co dało się zrobić w Polsce, kiedy nie można było eksponatów po prostu zebrać, zapakować w skrzynie i wystać, tylko trzeba je było z wielkim wysiłkiem gromadzić i po trochu przeciskać, przemycać przez granice - to ekspozycja jest niezwykła. Ale są to raptem dwa niewielkie pokoje w POSKU. Pierwszy to "fasada" - oficjalna propaganda, jak na wystawie organizowanej przez ambasade - plakaty, gazety, wleki portret Dzierżyńskiego. A dalej, za czarną tiulową firanką, jest druga pokój, a w nim - to drugie życie, druga kultura, nieoficjalna, niecenzurowane wydawnictwa krajowe, fotografie z różnych imprez religijnych, zdjęcia osób zaangażowanych w działalność opozycyjną i w niezależną działalność kulturalną. Powtarzam - jak na warunki, jest to duża rzecz, ale sama wystawa jest mała, z tym, że niezwykle tłumnie odwiedzana.

ZAPIS: W jednej z audycji BBC padło zdanie przedstawiciela starszej generacji emigrantów, że wystawa ta uratowała dla Polski młode pokolenie urodzone już w Anglii.

MIKOŁAJSKA: Istnieje często potencjalna gotowość zidentyfikowania się ze starą ojczyzną, potrzebny jest tylko jakiś impuls. Na młodych ogromny wpływ wywarł podczas swojego pobytu Adam Michnik. Wzbudził on aż niewiarygodne zainteresowanie Polską, wciągnął w orbitę spraw krajowych ludzi, którzy pokończyli angielskie szkoły, uczelnie, mówią po polsku z akcentem. I kiedy do Londynu przyjechały ekspozyty, ludzie ci przystąpili do pracy - z olbrzymim nakładem sił, z entuzjazmem, siedzieli tam po dwadzieścia cztery godziny na dobę, przybijali gwóźdźle, układałi zdjęcia, ustawiali stoiska z książkami, byli przy ich sprzedaży, przechodzili na dyskusje. Mieli oni i przedtem poczucie tradycji narodowej, jakieś rozeznanie w historii, ale wychowali się w Anglii i na co dzień to co angielskie stawało im się bliższe. Przez polskość, z którą czuli się związani, rozumiełi przechowywaną na emigracji tradycję Polski niepodległej. I oto nagłe spostrzegli, że te wartości bronione są w kraju i że to, co się dzieje w kraju, jest może najważniejsze. Zaangażowali się więc w sprawy naszej polskiej rzeczywistości; wystawa dała im możliwość zrobienia czegoś konkretnego, i sądzę, że teraz, cokolwiek będzie do zrobienia, będą to robili z zapałem, z dynamizmem młodości.

ZAPIS: To polski Londyn, a ten angielski?

MIKOŁAJSKA: Starałam się zapoznać chociaż fragmentarycznie z teatrem angielskim. Spotkałam się z jednym z największych reżyserów świata, Peterem Halliem, i z aktorką Dorotą Tutin. Było to przedstawienie "Wielkiego sadu", ostatniej sztuki, w jakiej i ja grałam. Potoczyła się har-

dzo interesująca rozmowa na temat różnicy w wystawieniu "Wisińskiego sadu" w Warszawie i Londynie. Świadczą to o gąsieszu i bogactwie Czechowa, że można go interpretować w tak różny sposób. Londyński "Sad" był przedstawieniem historyczno-obyczajowym o odchodzeniu pewnej klasy społecznej. Myśmy to już przeżyli i mniej nas to interesuje, zwracamy uwagę raczej na treści filozoficzne i psychologiczne, inaczej rozumieny wisiński sad, który każdy ma w sobie i dla każdego znaczy on co innego. Nam w Polsce na pewno nie chodzi o wyrąbywanie sadu upadającej arystokracji i aktorka grająca w takim przedstawieniu ma zupełnie inne przeżycia. Dorota Tutin jest znakomitą artystką, przemiłą osobą, niestetykanie bezpośrednią. Jej i Halia stosunek do mnie był niezwykle poważny i pełen życzliwości, co było dla mnie bardzo budujące i podnoszące na duchu. To spotkanie było ważne dla mnie jako aktorki.

ZAPIS: Była Pani też w Skandynawii.

MIKOŁAJSKA: Nie miałam prawa do duńskiej wizy tranzytowej, bo okazało się, że można ją otrzymać, jeżeli ma się trzymiesięczny pobyt we Francji. A ja planowałam pobyt dwumiesięczny i tak miałam wpisane w paszporcie. Kiedy w konsulacie duńskim powiedziano mi, że nie dostanę tej wizy, zdenerwowałam się, bo miałam w Danii umówione występy, wiedziałam, że liczą na mnie, więc zaczęłam dzwonić do Kopenhagi, żeby zawiadomić, że nie będę mogła przyjechać. I wtedy urzędniczka, która nie rozumiała oczywiście po polsku, ale widziała moje zdenerwowanie, poprosiła mnie o paszport, zapytała, czy mam bilet tam i z powrotem, i oświadczyła, że da mi wizę w drodze wyjątku, żebym się już nie martwiła. Ta jej uprzejmość i życzliwość, i ten pomysł, że trzeba człowiekowi ułatwić życie, zaszokował mnie, bo nie jestem do tego za bardzo przyzwyczajona. - po rozbierance na Okleu i w ogóle po tej obowiązującej u nas zasadzie, że jak można utrudnić życie, to trzeba.

Kiedy wylądowałam na lotnisku w Kopenhadze, zobaczyłam ze zdumieniem, że stoją tam osobno dwie grupy oczekujące mnie z kwiatami. Jedna, młodsza wiekiem, przeważnie pochodzenia żydowskiego, i druga, przedstawiciele starszej emigracji, pod przewodnictwem księdza. Ponieważ nie chciałam nikogo urazić, już z daleka rozpostarłam ramiona, żeby powitać obie grupy równocześnie, ale wtedy środkiem podbiegł do mnie nie należący do żadnej z nich Krzysztof Gruszczyński, i wszyscy zmieszali się ze sobą. Jechałam właśnie do Szwecji, a emigracja w Danii dowiedziała się o tym i wtała na pomysł, żeby mnie też zaprosić. Na prędcę szukano saii, w której mogłabym wystąpić, i okazało się że mam wygłosić "Józefa i jego braci" Tomasz Hanna w gminie żydowskiej. No więc wystąpiłam w gminie, po czym z tym samym programem wystąpiłam na prośbę księdza, w podziemiach kościoła, biorąc uprzednio udział w Mszy świętej w Intencji Polski. Te dwie grupy, o których wspominam, nie są bynajmniej wrogie, po prostu żyją osobno, to jest odrębność spowodowana i różnicą pokoleń, i powodów emigracji.

W Szwecji natomiast emigracja jest bardziej jednolita, a przede wszystkim nie wyobcowana - są to obywatele szwedzcy pochodzenia polskiego. Władze robią tam wszystko, żeby się zakorzenili - uczy się ich języka, historii Szwecji, ułatwia start życiowy. Dominuje fala 68 roku, niezwykle żywotna i związana z Polską. Wielu z nich ma rodziny w kraju, z którymi nie mogą się zobaczyć, bo mimo bezdewizowej wymiany turystycznej polsko-szwedzkiej, bardzo często nie wpuszcza się ich do Polski. Ta emigracja jest liczna: mam występ w saii parusetosobowej i mimo wszystkich dostawionych krzesel trzysta osób odchodzi, bo się nie mieści, to musi być ich dużo. Tym bardziej, że nie było nigdy jakiegóż dużej reklamy, afiszy na mieście.

ZAPIS: Skoro mowa o występach, może dla porządku - gdzie i ile ich Pani miała?

MIKOŁAJSKA: W Paryżu dwukrotnie monodram Hanna. Raz jeden z teatrów francuskich udościąpił saię - połowa dochodu była dla teatru, a połowa na KOR. Drugi raz w Pallotynów, w Centre du Dialogue. Tam uczestniczy-

tam też w wieszczerze autorskim Julii Hartwig, Artura Miedzyrzeckiego i Pawła Hertza, mówiłam ich wiersze. W polskim programie Radio Francé występowałam z wierszami Stowickiego, Mickiewicza, Baczyńskiego, Wata, Miłosa, Baraneczka. W Londynie raz z Mannem, raz z wierszami, w Kopenhadze dwukrotnie z Mannem. W Szwecji: dwa występy w Sztokholmie jeden w Lund i jeden w Göteborgu. W każdym z tych miast obawiano się, że nie dopisze frekwencja, bo organizowano to tak pośpiesznie, i w każdym powtarzało się to samo - że brakło miejsc. To było zdumiewające. Ale była to po prostu miłość i tęsknota do kraju, do języka polskiego. Wśród wielu słów uznagała, które mnie aż żenowały, były i takie, że mogą usłyszeć piękny język polski. Słuchając tych wierszy ludzie płakali, co było niezwykle, bo przecież są to wiersze trudne w odbiorze. Mnie się to udzielało, i w Londynie, kiedy wieczór zaczął się od Baczyńskiego, myślałam, że przerwę, takiego dostawałam nerwowego zacisku gardła. Coś takiego zdarzyło mi się dwa razy w życiu. Pierwszy raz, przed laty, na akademii korczakowskiej, kiedy zabrakło mi głosu i myślałam, że nie wykrzuszę słowa. I teraz w Londynie - atmosfera na sali była taka, że ledwie się przebiłam przez Baczyńskiego, tak mnie to wzruszenie dawało. A po każdym występie przychodziło kilkadziesiąt osób i zaczynała się rozmowa.

z ZAPIS: Wróćmy do tych spotkań, o których trochę już Pani wspominała na początku. Jak wyglądały dialogi z emigrantami? Co najbardziej ich interesowało, o co najczęściej pytały?

MIKOŁAJSKA: Wiele pytań dotyczyło tego, co dzieje się w Polsce, różnych wydarzeń znanych tam z komunikatów KORU. Chciano jednak, żeby opowiedział je świadek naoczny, żebym opisała, jak mnie przetrzymano dwie, trzy godziny pod pretekstem zepsutego migacza, czy kiedyś Indziej w Krakowie pod zarzutem kradzieży kożucha, żebym opowiedziała o anonimowych telefonach i innych szykanach. Fakty były w gruncie rzeczy znane, wiedziانو tam już o ciągłym nękaniu ludzi - o zatrzymaniach, rewizjach, konfiskatach - ale żyjąc w innej rzeczywistości, trudno poczuć to do końca, pojąć zasady mechanizmu, zwłaszcza, że należy też do niego pewna gra pozorów. Na przykład to, że dostawałam paszporty. Używowałam tłumaczy, ale to było bardzo trudne. Ważny fakt, że zabrano nam trzydziści maszyn do pisania. Z tamtej perspektywy jest zupełnie niezrozumiałe, że można komuś odebrać maszynę, bo piórze na niej coś niewłaściwego. Albo nagle wstaje jakiś znany tam działacz i pyta, czy nie mamy czasem kłopotów z przydziałem papieru na nasze wydawnictwa. Wtedy już ręce opadają.

Często zastanawiano się nad granicami ryzyka w naszym działaniu, nie osobistego, lecz społecznego. Odpowiadałam, że wiemy o istnieniu takiej granicy i nie chcemy jej przekroczyć. Ale wiemy też, że i bierność stwarza zagrożenie. Bo jeśli nawet to, co robimy, to zaledwie gesty nie przynoszące widomego efektu, to gesty te muszą być wykonane, bo inaczej możemy przestać istnieć jako społeczeństwo i jako naród. Ujawniała się też serdeczna troska, żebyśmy sobie osobiście nie zaszkodziły, żeby nam się nic nie stało. Czasem taki lek o mnie, żebym uważała, nie powiedziała czegoś za dużo, czegoś dla siebie niebezpiecznego, żeby mi się za to krzywda nie stała, jak wrócę do Polski. Tłumaczyłam, że działamy otwarcie i legalnie, z kodeksem w ręce, w oparciu o Konstytucję i ratyfikowane przez Polskę Pakty międzynarodowe. I że mówię to samo, co mówiłam głośno w kraju, co podpisywałam w komunikatach. Nie moje dossier policyjne decyduje, czy spotkają mnie jakieś represje, lecz będzie to zawsze decyzja polityczna. Zabawne, że podczas, gdy jedni darzyli mnie uznaniem, że niby jestem taka odważna, w innych budziło to nieufność: ukazały się nawet enuncjacje, że jestem za odważna, więc pewnie współpracuję z policją. Trochę zaskakujący pogląd, że bez patentu policji nie ma odwagi... Dawano też rady. Na przykład, że może by jednak przyjąć zasadę działania konspiracyjnego. Odpowiedziałam, że jak się coś robi tajnie, to policja może tym robiącym przypisać wszystko i nie ma jak się bronić, to niezwykle ułatwia prowokacje. Pytano też, czy nie mamy wśród siebie wtyczek. Bardzo możliwe, że mamy, tylko że z chwilą podjęcia jawnej działalności, to traci znaczenie. Przy konkretnych przedsięwzięciach potrzebna jest dyskrecja, żeby nie ułatwiać pracy po-

licji. Ale tylko dyskrecja, o tajemności nie ma mowy.

ZAPIS: A jaki jest stosunek emigracji do tego, co przyjęto się u nas nazywać kulturą nieoficjalną - do niecenzurowanych wydawnictw, czasopism, wieczorów i koncertów?

NIKOTAJSKA: To jest dosyć dobrze znane, omawiane, przyjmowane z dobrzym zainteresowaniem, szacunkiem i nawet wzruszeniem. U nas często można się natknąć na maksymalistyczne oczekiwania w stosunku do tych wytworów kultury nieoficjalnej, stawianie takich wygórowanych wymagań, że na przykład czasopisma powinny przerastać wszelkie poziomy światowe itp. To, że one w ogóle istnieją, stało się czymś normalnym, zwyczajnym. Tam natomiast przyjmowane jest to z podziwem i z niestychaną chęcią pomocy i pomocy. I w tym emigracja jest bardzo wytrwała. Mimo że pomoc dla naszych wydawnictw może być przecież żnuęcząca, bo często przepadają maszyny i urządzenia poligraficzne i nierzadko są to wyrzucone pier- niądze.

ZAPIS: A czy w trakcie spotkań, o których mowa, nie było jakichś kontrowersji i wystąpię zasadniczo polemicznych?

NIKOTAJSKA: Mówiłam już, że czułam się przywalona ciężarem odpowiedzialności - i dodatkowa trudność stanowiły dla mnie właśnie padające niekiedy dość szczególne pytania. Całe spotkanie przebiega w atmosferze autentycznej troski o Polskę i pragnienia pomocy - a tu nagle jakby się odezwało "Życie Warszawy". Nie były to jednak głosy współuczestników ambasady, lecz pewnych działaczy emigracyjnych. Wstaje na przykład jeden pan i pyta, czy zdaje sobie sprawę, że jedynym gwarantem bezpieczeństwa Polski od strony zachodniej jest Związek Radziecki, który broni nas przed Niemcami. A my, robiąc to, co robimy, działamy antyradziecko, ergo antypolsko. Albo inny głos - że nasza działalność jest nieodpowiedzialna, bo może doprowadzić do interwencji rosyjskiej... Sądzę, że gdybym odpowiadała na takie twierdzenia, musiałabym przede wszystkim wyjaśnić, że Polska nie ma żadnych gwarantów bezpieczeństwa, że interwencja byłaby oczywiście tregedią i nie wolno do niej dopuścić, ale że trwałe niebezpieczeństwo, jakie nam ciągle zagraża, to niebezpieczeństwo zwolnizowania, tego, że społeczeństwo polskie zatraci swoją podmiotowość i zostanie unicestwione nawet bez czołgów na ulicach i przelanej krwi. Rzadko jednak dochodziło do odpowiedzi z mojej strony. Albo sala sykała na mówcę, albo, gdy już nabierałam powietrza w płuca, przewodniczący oświadczał, że na tak postawione pytanie nie będzie się odpowiadać, co wltane było oklaskami. Salę w tych nieprzyjemnych momentach miałam zawsze za sobą.

ZAPIS: Czy łączy Pani takie wypowiedzi z którąś formacją polityczną na emigracji?

NIKOTAJSKA: Odzwierciedlają one mentalność i opinie zawarte w listach, którymi dwa lata temu obsyłał nas działacz endecki, pan Jędrzej Giertych. Poglądy niektórych endeków znakomicie współgrają z naszą propagandą. To, co u nas daje się do zrozumienia przy pomocy eufemizmów "racja historyczna" i "racja stanu", tam określa się wyraźnie jako groźbę interwencji rosyjskiej. Oznacza to przyjęcie założenia, że imperia- lizm rosyjski jest czymś koniecznym i nieuchronnym, czymś, na co trzeba się zgodzić. I coś tam skorzystał na tej ugodzie, choć ta wymagałaby chyba równych partnerów. Inne zbieżności z prasą krajową są niemal dosłowne: utożsamianie ojczyzny i państwa, zarzut, że występujemy przeciwko własnemu państwu. Albo - że wywikłamy wewnętrzne sprawy przed obcych. To samo mówiono mi w anonimowych telefonach w czasie nasilenia nagonki antykorwskiej. Słuchając tych endeckich wypowiedzi, zadawałam sobie pytanie, czy ci ludzie są instruowani przez ambasadę, czy też istnieje taki wspólny typ mentalności. I aż się prosiło drugie pytanie: czemu oni tu nie przyjadą? Im by się podobało, i władza miałaby z nich pościech. Nie znajdowałam też wspólnego języka z pewnymi reprezentantami tych, którzy wyjechali, żeby się urządzić i wygodnie żyć. O taką postawę trudno mieć żal, to są często porządni i pracowici ludzie. Ale przykład, że

że w gruncie rzeczy nie chcą oni wiedzieć, co się tutaj dzieje. Mają tam przecież w polskich księgarniach wszystkie pisma i w nich kompletnie władomości z Polski, ale nie sięgają po nie, mimo że to niczym nie grozi. Mają za to dla kraju mnóstwo dobrych rad. Wobec tego, że społeczeństwo polskie jest skorumpowane i zdeprawowane, należy zacząć od umorainienia go, a nie od reformowania systemu. Mówiłam, że również widzę demoralizację społeczną, ale jest ona w oibryzmiej miazrze zawiniona przez system. System ten premiuje bierność, uległość, donosicielstwo, tchórzostwo i robi wszystko, by społeczeństwo było bez czci i wiary. Jeżeli państwo planuje wzrost spożycia alkoholu i dochód z tego stanowi znaczną pozycję w budżecie, to odpowiedzialność za otrzymanie pijaństwo jest co najmniej podzielona... Pewna pani z kolei powiedziała mi, że najlepiej byłoby, gdyby wszyscy zapisali się do partii. Zapytałam, czy wyobraża sobie, że jakaś większość mogłaby w partii wystąpić z pożyteczną dla kraju inicjatywą i uchwalić jej realizację. I czy ona w ogóle wie, co znaczy władza centralistyczna i zmonopolizowana. Ale tak zorientowani ludzie żyją w zupełnie innym świecie, miłość ojczyzny realizują przy pomocy wakacyjnych wizyt w kraju i niechętni są wszystkiemu, co w ich mniemaniu mogłoby im tę turystykę utrudnić. Ich stosunek do naszej rzeczywistości jest zresztą zupełnie nielogiczny. Niby nie mogą zrozumieć istoty tego psychicznego terronu, a równocześnie są przekonani, że konsulat jest wszechwiedzący i jak przeczytają "Kulturę", to nie dostaną wiz do Polski. Myślę, że za tym oporem przed wiedzą o Polsce, przed zrozumieniem do końca jej sytuacji, kryje się normalny ludzki mechanizm: ludzie zawsze chcą wiedzieć tyle, ile jest im wygodnie...

Podobnie z opinią publiczną Zachodu. Tam przecież nie ma granic dla informacji, tam można wiedzieć wszystko. Archipeląg Gułag, interwencja na Węgrzech, interwencja w Czechosłowacji - to doświadczenia historyczne, które dzieje się na ich oczach. Ale są tacy, którzy tego nie widzą i nie chcą widzieć, nie wyciągają wniosków, bo byłoby to dla nich niewygodne. Na świecie dzieją się zresztą w tej chwili rzeczy okrutne, cała prasa zachodnia po prostu ocieka krwią. Stwarza to również parawan moralny dla tych, którzy nie chcą się spierać ze Wschodem o prawa człowieka, tylko chcą handlować - bo tu jeszcze nie jest tak źle, bo po Wiśle nie pływają wyflupane oczy, a po Amazonce pływają. Włec całe oburzenie moralne Zachodu skierowane jest w tamtą stronę, co nie znaczy skądinąd, że się wlecie robi, żeby Amazonka nie była czerwona od krwi. Dla nich terror zoczwia się od uciętej głowy. Jak nie ma uciętej głowy albo jest ucinana po ciachu w krzakach, to nie ma sprawy, Polska? No tak, demokracji nie ma, narusza się praworządność, ale ja dostałam paszport, wcześniej Michnik dostał paszport, nie jest tak źle. Michnik dostał paszport, a teraz biją go na dworcu w Krakowie, ale milej pamiętać o tym pierwszym...

ZAPIS: Podobnie jak spotkanie z emigrantami bywały i krępujące i trytuujące, chyba i te z cudzoziemcami nie wszystkie jednoznacznie świadczą o niezrozumieniu lub niechęci zrozumienia naszej problematyki?

MIKOŁAJSKA: Ma się rozumieć, że nie. Chyba za bardzo rozgadałam się o tym, co mnie gniewało. Ale miałam też spotkanie z Anglikami poważnie interesującymi się problematyką polską i w ogóle wschodnioeuropejską, na przykład ze środowiskiem "Index on Censorship". Znane jest doskonałe czasopismo pod tym właśnie tytułem, a od jakiegoś czasu wydawnictwo "Index on Censorship" publikuje w Londynie kolejne docierające tam numery "Zapisu".

ZAPIS: Środowisko to jest związane z Amnesty International, nieprawdaż? Czy zetknęła się Pani z tą organizacją?

MIKOŁAJSKA: Nawet się do niej zapisałam.

ZAPIS: Amnesty International dostała w zeszłym roku pokojową nagrodę Nobla, co w naszej prasie skwitowano enigmatyczną parolierszową notatką. Może by Pani zechciała wyjaśnić, jakie są cele Amnesty?

MIKOŁAJSKA: Jest to niepolityczna organizacja, która broni na całym świecie ludzi więzionych za poglądy. Rozwija się ona dynamicznie i obec-

nia skupia już wielu członków w różnych krajach. Należą do niej wybitni intelektualiści, uczeni, artyści. Jak właśnie Dorote Tutin z Anglii, a także bardzo dużo młodziarzy. Tworzą oni grupy, z których każda ma pod opieką jakichś więźniów z innych krajów. Tak że ja nie przykład mam bronić tych z nad Amazonki, z nadzieją, że w razie czego oni będą bronić mnie. To co jest mi w Amnesty niezwykłe bliskie, to fakt, że jest to ruch czysto moralny, to znaczy nie może być wykorzystywany czy dyskontowany dla jakichś celów politycznych. Na przykład, gdybyśmy ja chciała poprzeć Amnesty iansowca poglądy polityczne jakiegoś członka KORu, popełniłabym nadużycie i sprzeniewierzyła się statutowi.

ZAPIS: Czy to prawda, że Amnesty nie broni więźniów, którzy z jakichkolwiek powodów dopuścili się gwałtu?

NIKOLAJSKA: Prawda, i to również bardzo mi odpowiada. Amnesty jest przeciwko wszelkiemu okrucieństwu i bezprawiu. Śtosi, że cel nie uświęca środków i że metody terrorystyczne nawet w walce z bezprawiem są niedopuszczalne.

ZAPIS: Czy pytano Panią zagranicą, dlaczego przystąpiła Pani do KORu ryzykując swoją karierę artystyczną i możliwościami grań?

NIKOLAJSKA: Tak, często. Odpowiadałam, że kariera, praca zawodowa itp. - owszem, ale nie za wszelką cenę. W pewnym momencie człowiek mówi sobie stop. Istnieje odpowiedzialność każdego za to, co się dzieje, i nie mogę się okłamywać, że jako aktorka nie ponoszę odpowiedzialności, nie mam z tym nic wspólnego. Nie potrafię płacić za możliwość wykonywania zawodu ceny kłamstwa, ceny obojętności.

ZAPIS: Dotykamy tu sprawy etyki w ogóle i etyki zawodowej artysty. Ostatnio ukazał się w jednym z niecenzurowanych czasopism artykuł atakujący grono aktorów za to, że zagrałi w serialu "Polskie drogi". Czy rzeczywiście taki fakt, jak zagranie w tym serialu - niewątpliwie zakłamanym, fałszującym niedawną historię i w istocie paszkwilankim wobec AK - może podlegać ocenie z punktu widzenia etyki zawodowej czy nawet szerzej pojętej?

NIKOLAJSKA: To niełatwa sprawa, bo dotyczy po prostu egzystencji materialnej aktora. Co do mnie, zaznałam niedgdy błędy i wspominał ten okres wcale nie jako najszczęśliwszy w życiu. Bo moje poczucie zadowolenia z życia było zawsze związane raczej z tym, czy jestem w zgodzie z sobą czy nie, niż z tym, co mam. Więc dla mnie ten wybór byłby może mniej trudny. Ale są ludzie, którzy mają dzieci, mogą stracić pensję, mogą przestać grać, występować w telewizji, są bardzo uzależnieni od warunków. Nie wiem, może zresztą nic by się nie stało, gdyby chcieli zorientować się, w czym biorą udział, i odmówili grań. Wtedy nakręcenie "Polskich dróg" stałoby się niemożliwe albo użyto by do tego czwartej gildii aktorów i serial straciłby pozory znaczenia. Udział w tego rodzaju imprezach różnie się motywuje. Najczęściej ludzie zakładają, że zajmują się sztuką, a sztuka oddziałana jest od polityki - i nie rzadko do końca nie wiedzą, w czym biorą udział. Są podobnie nieświadomi, jak znaczne części społeczeństwa, skołowani, przez trzydzieści lat tyle nam przecież powklejano w mózgi. Często znowu mają poczucie, że idąc na ustępstwa ratują kulturę polską, że trzeba dać coś za coś, że kompromis jest konieczny. A przecież nie umiemy określić granicy ustępstw, za którą następuje zniszczenie kultury. Z drugiej strony naprawdę nie należy pogardzać wszelką kulturą, dozwoloną, nawet skażoną kompromisem. Dzieją się w niej bardzo interesujące i bardzo ważne rzeczy. Weźmy chociażby Konrada Swinarskiego, który nie brał udziału w życiu politycznym i też musiał drobny kompromis uprawiać, jak każdy. Wymiar jego przedstawień był ołbrzymi, ten reżyser mówił ogromnie wiele o tym kraju, gdzie wszystko jest kontrolowane, w oficjalnych przedstawieniach mówił zasadnicze rzeczy przeciwko temu systemowi, skreślano mu poszczególne słowa, ale sens pozostawał taki, jaki był. Tękie zjawiska można

napotkeć w każdej dziedzinie - z filmów Zenussiego i Wajdy na Zachodzie czerpią wiedzę o Polsce i jest to wiedza prawdziwa. Wartości takich zjawisk nie można pomniejszać, na nich wychowuje się i uczy się myśleć sporo część społeczeństwa. Nie wolno też takim twórcom zarzucać w sposób fanatyczny i rygorystyczny, że czegoś tam nie podpiszą, albo że kiedy idąc na jakiś kompromis mówią, że mają coś do zrobienia, to jest to fałszywa motywacja. Bywa i tak, ale bynajmniej nie zawsze....

ZAPIS: Są jednak imprezy poza granicą przyzwyczajenia...

MIKOŁAJSKA: Aktor, który, w nich uczestniczy, tłumaczy sobie zapewne, że jak w tym wystąpi, to potem w tamtym zagra, tutaj stchórzy, to gdzieś indziej śmielej powie - i tak na dwie strony, ludzie robią się oburęczeni, tacy Konradzi Wallenrodzi. Są i tacy, którzy naprawdę nie mają rozpoznań. Sama widziałam porządnych ludzi, którym potem dopiero, kiedy zetknęli się z rzeczywistością, otwierali się kłapy w mózgu. Ale jeszcze raz - nie sądzmy ludzi za surowo. Za tym wszystkim często stoją sprawy bytowe, różne obawy, ludzie straszeni przez trzydzieści lat mają przecież prawo do Łęku, choć często boją się na wyrost, mają prawo do poczucia zagrożenia, choć często ponosi ich wyobraźnia. Co natomiast z pewnością można by zarzucić temu środowisku, to brak zdecydowania w samoobronie. Na przykład odbierają komuś pracę, bo władza wpada na pomysł, że za jakiś grzech nie można go popularyzować. Jest to i strata dla kultury, i krzywda dla człowieka - a w środowisku głucho cisza. Taka bierność prowadzi do eskalacji represji. Mówiłam Holoubkowi, kiedy chodziłam do niego w sprawie Markuszewskiego, że jak nie odezwiemy się w tej sprawie, to jutro wyleją kogoś z pracy za nieprzyjęcie roli. I to oczywiście zwiększy poczucie zagrożenia. A jeżeli będziemy kogoś bronić i nawet nie wybronimy, to wystąpienie w jego sprawie ochroni następnego. Już się zastanawiam, czy warto robić hałas.

ZAPIS: Odbiegliśmy trochę od Pani podróży - jak wyglądało Jej zakończenie?

MIKOŁAJSKA: Spodziewałam się olbrzymiej rewizji. Ten pan na cie pytał, co wiozę. Powiedziałam, że ubranie, nie znam się na przepisach celnych, proszę sprawdzić. Do użytku? - No, do użytku, nie będę przecież handlowała ciuchami. W porządku - powiedział - proszę bardzo, dziękuję. Nimó wszystko władze potrafią jeszcze człowieka zaskoczyć.

Wywiad przeprowadziła

Anna Chmielewska

STOŃ I ... NIEPODLEGŁOŚĆ

George Orwell był w latach 1922-1928 oficerem Indian Imperial Police w Burmie. B. officer policji kolonialnej wykorzystał później - jako pisarz - ale jeszcze nie autor Folwarku Zmierzonego i Roku 1984 - swoje doświadczenia burmeńskie w powieści Burmese Days i w krótkim wspomnieniu *Shooting an Elephant*. "Uważałem zawsze ten drobiazg, którego polski tytuł brzmiałby chyba Strzelając do stonia, za arcydzieło. Rzecz dzieje się w Moulmein, w Dolnej Burmie, gdzie Orwell był *subdivisional police officer* of the town. "Nienawidziło mnie wielu mieszkańców miasta, jedyny raz w moim życiu /wspomnienie datowane jest 1936.../ byłem osobistością dostatecznie ważną, by wzbudzać nienawiść". Burmeńczycy wyrażali swoje uczucia milczącym grzmasem pogardy, czasem śmiechem w żywe oczy i rzucanymi szybko obraźliwymi epitetami. "Wszystko to było przynębiające. Gdyż w owych latach nie miałem już wątpliwości, że imperializm jest rzeczą złą; i że im prędzej cisnę moje zajęcia, tym lepiej dla mnie. Teoretycznie - i, ma się rozumieć, w skrytości ducha - byłem w stu procentach po stronie Burmeńczyków i przeciw ich gnębielom, Brytyjczykom. Jeśli chodzi o moje zajęcia, było dla mnie nienawistna w sposób, którego nie potrafił oddać piórem. W tego rodzaju zajęcia ogląda się z bliska brudną robotę imperium". Męczyło go nieznośnie poczucie winy. "Byłem młody i niedokształcony, musiałem przeżywać moje problemy w całkowitym milczeniu, każdy Amglik na Wschodzie. Nie wiedziałem nawet, że imperium Brytyjskie kona, tym mniej jeszcze wiedziałem, że jest o wiele lepsze od młodszych imperiów, które miały zająć jego miejsce".

Pewnego dnia zdarza się błąh na pozór wypadek, który daje mu głębszy niż kiedykolwiek dotąd wgląd w "rzeczywistą naturę imperializmu, w rzeczywiste motywy działania rządów despotycznych". Wczesnym ranem dzwoni z drugiego krańca miasta inspektor policji /Burmeńczyk/ z władomością, że stoń trąta bazar. Czy komendant Eric Blair /prawdziwe nazwisko Orwella/ zechce coś w tej sprawie zrobić? Komendant nie bardzo wie co robić, ale w każdym razie wyrusza na kucyku w stronę bazaru, uzbrojony w stary Winchester 44, za mały by stonia zastrzelić, wystarczący może, by go hukiem wystraszyć. Po drodze zatrzymują Orwella burmeńscy przechodnie i opowiadają na wrywki, co zaszło. Chodzi naturalnie nie o dzikiego stonia, lecz o oswojonego, który się "goni". Poprzedniego dnia spętano go łańcuchami, jak zwykle stonie w okresach "gonienia", zerwał jednak w nocy łańcuchy i uciekł. Jego nadzorca puścił się za nim w pościg, niestety w złym kierunku. O świcie stoń zjawił się w mieście. Buszuje teraz i zmiata z powierzchni ziemi co popadnie. Na parę minut przed przybyciem Orwella zerbił hinduskiego kulisa. Orwell posyła natychmiast swego ordynansa o karabin dużego kalibru. Gdy wraca ordynans z karabinem, u stonia widać wyraźne oznaki uspokojenia. Orwell, przekonany, że najgorsze minęło, postanawia go nie zabijać: "Poważna to sprawa zastrzelić pracującego stonia, podobna do roztrzaskania drogocennej części maszyny - jeśli można, należy tego uniknąć". Ale zaledwie tak pomyślał, Orwell ogarnia wzrokiem ogromny i rosnący wciąż tłum Burmeńczyków. Wszyscy czekają w napięciu na strzał. "I nagle uprzytomniłem sobie, że będę musiał zastrzelić stonia. Oczekują tego ode mnie, nie pozostaje mi nic innego; czuję jak woła tyżący poddaje moją nieodpartą presji. I w tym momencie, kiedy stałem tem z karabinem w rękach, uchwyciłem po raz pierwszy pustkę, nadaremność panowania białego człowieka na Wschodzie. Oto ja, biały człowiek ze swoim karabinem, oko w oko z nieuzbrojonym tłumem tubylców - pozornie główny aktor dramatu, lecz w rzeczywistości absurdalna kukielka, popychane to tu, to tam wołą wpatrzonych w nią żółtych gapliów. Pojąłem w tym momencie, że kiedy biały człowiek staje się tyranem, niszczy przede wszystkim własną woźność. Zmienia się w coś w rodzaju wydrążonej, teatralnej laiki, w

skonwencjonalizowaną figurę pana i wędcy". Następuje opis kolejnych strzałów. Dopiero po trzecim ston wali się z głuchym tonem na ziemię, brocząc krwią i rozdzierając ciśnie chrapliwym rżeniem. "Konek bardzo wolno i w wielkich mękach, lecz w jakimś świetle odległym ode mnie, gdzie nawet kula nie mogła mu już więcej zaszkodzić".

Trudno jest opowiedzieć opowiadanie, zwłaszcza tak geste i wyważone. W Shooting an Elephant każda linijka opisu i refleksji prowadzi do słowa "odległy" w finale. Gdy pada ono wreszcie w zdaniu o agonii stonfa, nabiera wielorakiego znaczenia, jakby Orwell ustawił nagłe jednym błyskawicznym ruchem dłoni system pomniejszych odbić. Dzięki obrazowi stonfa konającego w "odległym świetle" oddalają się od siebie na nieskończony dystans wszystkie trzy składniki dramatu: Imperium Brytyjskie, o którym wtedy "nie wiadomo było jeszcze, że kona"; żafosny znienawidzony i nienawidzący policjant kolonialny ze swoim karabinem w rękach; milczący tłum kolonialnych poddanych, nieuzbrojony, w przeciechę z groźną bronią "niewidzialnej woli" w sercach. Końcowy akord burmeskiego drobiazgu Orwella rozciąga między tymi trzema elementami dramatu próżnię, w której ucho zdaje się słyszeć dalekie odgłosy nadchodzącej burzy.

* * *

W roku 1952, w dwa lata po śmierci Orwella i w pięć po przyznaniu Burmie niepodległości przez Wielką Brytanię, zaproponowano mi trzytygodniową burmeską turę odczytową. Zaproszono mnie z tytułu wydanego właśnie po angielsku Innego Świata. Drugim prelegentem i moim towarzyszem podróży był Villem Bernard, socjalistyczny poseł do parlamentu czechosłowackiego zmuszony do wyjazdu z kraju po zamachu stanu Gottwalda w lutym 1948. Naszym gospodarzem i czymś w rodzaju mistrza ceremonii był U On Kin, redaktor największego dziennika burmeskiego Bama Khit w Rangoonie.

Czuło się młodą i kruchą jeszcze niepodległość Złotego Kraju/Jak Burmę nazywają jej mieszkańcy/. Rządziła Antyfaszystowska Ludowa Liga Wolności /AFPFL/, swoista federacja ugrupowań lewicowych z wyłączeniem zgodnie wtedy działających komunistów obediencji sowieckiej i chińskiej. Komunistów prowadziła przeciw rządowi podjazdową wojnę partyzancką, mieli swoje oddziały w dżungli, w niektórych rejonach byli tak silni, że mogli na miejscową ludność nakładać kontrybucje, w innych ograniczali się do napadów na pociągi i statki z żeglugi rzecznej na Irrawady. Partyzancka wojna podjazdowa przeciw rządowi prowadziła również, pod hasłem separatyzmu, Karenowie. Na domiar wszystkiego, w północnej części kraju rozstała się w dżungli dywizja Czang Kai-szeka, ocalała z rozgromu, oczekująca na dalszą mecie odwetu na Mao, a na bliższą zajata fizycznym przetrwaniem. Widziałem Burmę, nie licząc kilku dużych miast, z lotu ptaka: podróżowanie pociągami, samochodami i statkami było niebezpieczne; na odczyty do Mandalay, Moumein, Besseln, wyprawialiśmy się samolotami z Rangoonu.

Politycznie najtrafniej określił ówczesną Burmę stary U Ba Pe, do którego zaprowadzono mnie pewnego dnia w Rangoonie. Nazywany powszechnie, z mieszaniną niechęci i respektu, the grand old man of our politics, był za czasów brytyjskich wielokrotnym ministrem, jednym z współtwórców burmeskiej partii nacjonalistycznej. U schyłku życia stał się przywódcą opozycji przeciw pierwszemu samodzielnemu rządowi w swojej niepodległej ojczyźnie. Nie popełnił się przypuszczalnie zbyt wielkiej omyłki, przedstawiając go/ na użytek czytelnika polskiego/ jako burmeskiego endeka. Otóż zdaniam U Ba Pe, Burma rządzona przez AFPFL była Jugosławią Dalekiego Wschodu.

Ludzi należących lub zbliżonych do AFPFL, w wojnie z komunistami i Karenami i w polamie z politykami pokroju U Ba Pe, łączyło jedno: niepodległość. Nasz gospodarz, U On Kin, był krytycznie usposobiony do rządu Thakina Nu, ale z dość szczególnych powodów. Mam w papierach taką notatkę datowaną 20 maja 1952, też o posmaczku polskim: "U On kin zabiera nas do małej herbeczarni w brudnym zaułku Rangoonu, gdzie niegdyś zbierali się konspiratorzy burmescy. - Byliśmy wówczas wszyscy marksistami/opowiadają/, bo marksizm stanowił jedyną legalną broń w walce z rządami brytyjskimi.

Wydawaliśmy głównie broszury marksistowskie o systemie kolonialnym, Le: Books Collanca, a nawet Lenina i Stalina. Imperjalizm jako najwyższe stadium kapitalizmu Lenina pobit rekord poczytności. - Czekam, aż powie, że wysiadł na przystanku Niepodległość i rzeczywiście słydsze: "I stopped at independence, they are still Marxists". Naturalnie they, to ministrowie rządu Thakina Nu, dawni konspiracyjni towarzysze U On Kina.

Moulmein /gdzie Orwell był oficerem policji i zasterzył stonia/jest najładniejszym chyba miastem w Burmie. Otoczone fioletowymi wzgórzami i pojęte licznymi zalewami Salween, robi wrażenie delikatnej akwareli z ledwie zaznaczonymi piaskami palm wodnych i nieruchomych czapli nad brzegami rzeki, z białoróżowymi ścianami domów, błękitem nieba odbitym w czystej tafli wody, złotem pagód, ostrą bielą dwóch bliźniaczych kopuł meczetu i szarą wieżyczką misji Świętego Patryka. Miasto rozrzucone jest na dużej przestrzeni; pomiędzy jego dzielnicami ciągną się zielone płąty ogrodów i łąk, upstrzone tak oślepiającą orgią kolorowych drzew owocowych, że nawet wielobarwny tłum na ulicach wygląda na jej tle jak wyblakły wzór na stomianej macie. W Moulmein widuje się owoce, których nazwy nie mają odpowiedników w żadnym języku. Moulmein właśnie upodobał sobie Kipling w czasie wędrowek po Rumie /a raczej po Wschodnich Indiach/.

Po odczycie w sali kina zabrał nas do siebie, wraz z dużą grupą przedstawicieli miejscowej inteligencji, jeden z najstarszych polityków burmeńskich - U Tun Win /wspomina o nim Norman Lewis w pięknej książce Golden Earth - Travels in Burma/. Jego poglądy były z grubsza takie jak U Ba Pe, ale w jednym punkcie posuwał się o wiele dalej: gardził rządem Thakina Nu, wlebił Anglików i ... niepodległość Burmy uważał za co najmniej "przedwczesną", jeśli nie zbyteczną czy wręcz szkodliwą w dobie "wielkich bloków". Optakiwał, z nutą agresywnego gniewu w głosie, rozpad Imperium Brytyjskiego. Po tylu latach pamiętam tę scenę dokładnie. Wilem Bernard i ja słuchaliśmy w milczeniu, jak gdyby sytuacja spychała nas do roli gapiów w cudzym starciu. Kilkunastu Inteligentów burmeńskich w różnym wieku i o różnych przekonaniach - inżynierów, lekarzy, nauczycieli - atakowało starca z furią, przekrzykując się nawzajem, podrywając się z krzesel, wymachując rękami. Słowo independence przeszływało powietrze z owizdem kul. Starzec zarył się początkowo nogami w ziemi, porykiwał groźnie głowę podrzucając do góry, ale stopniowo oklapł i wreszcie z niezrozumiałym bełkotem obsunął się na kolana. Jak orwellowski stoń, konał w "odległym świecie".

Była to dla mnie niezła lekcja nowej epoki. Wyrozumowanej zasadzie "integracji" towarzyszył, paradoksalnie, niepowstrzymany pęd do niepodległości.

HOMO INSTITUTIONALIS

Wstęp: Krótka historia Jednego doktoratu.

W roku 1972 złożyłam u prof. Suchodońskiego pracę doktorską pt. "Rola wartości w procesie kształtowania się osobowości człowieka współczesnego". Tematem pracy jest analiza psychicznej i aksjologicznej sytuacji człowieka we współczesnej, zinstytucjonalizowanej rzeczywistości społecznej. Zawiera ona pewną próbę psychospołecznej diagnozy oraz proporcje i postulaty pedagogiczne, mające na celu przezwyciężenia dostrzeżonych negatywnych stron tej sytuacji. Przytaczam tytuły rozdziałów:

1. Mechanizm kształtowania się, oddziaływania i zamierania wartości.
2. Człowiek i jego sytuacja./Problemy egzystencjalne/.
3. Wartości osobiste i ich rola./Szczęście, wolność, prawda i sprawiedliwość/.
4. Wartości uznawane a wartości autentyczne.
5. Homo institutionalis./Osobowość profesjonalna/.
6. Znaczenie funkcji władzy dla struktury osobowości.
7. Podział narodowościowy świata a wartości prospektywne.
8. Aksjologiczne przesłanki kształtowania się osobowości u młodego pokolenia.
9. W poszukiwaniu bohatera pozytywnego.
10. Podstawowe formy dydaktycznego oddziaływania na osobowość człowieka współczesnego./Szkoła i kultura masowa/.
11. Wartości moralne - anachronizm - czy szansa?

Recenzentami pracy doktorskiej byli prof. Stefan Wołoszyn i prof. Karol Kotłowski. Obrona pracy odbyła się 12 maja 1973 roku w gmachu Instytutu Pedagogiki. Wszyscy członkowie komisji głosowali "za", jedynie przewodniczący komisji, prof. Kazimierz Wojciechowski, wstrzymał się od głosu. Z kolei, na posiedzeniu Rady Wydziału, prof. Wojciechowski wystąpił bardzo ostro przeciwko mojej pracy, kwalifikując ją jako fideistyczną i niesocjalistyczną. W rezultacie wynik tajnego głosowania wypadł na moją niekorzyść: 7 głosów za, 3 przeciw i 7 wstrzymujących się. W pół roku później złożyłam odwołanie do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej. Prawie półtora roku nie otrzymywałam odpowiedzi. Potem dowiedziałam się, że osoby, którym proponowano napisanie recenzji - odmawiały. Wreszcie zgodziła się napisać recenzję prof. Ija Pawłowska /o czym dowiedziałam się znacznie później/. W jakimś czasie potem nadeszło do Instytutu Pedagogiki pismo z informacją, że moje odwołanie zostało oddalone. Wiadomość tę odczytano na posiedzeniu Rady Wydziału. Do pisma Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej był przypięty bibułkowy maszynopis. Odczytano go głośno. Była to recenzja prof. Pawłowskiej, jednoznacznie pozytywna i bardzo zaangażowana w obronę mojej pracy. Zebrani, zdumieni i skonsternowani, wysłali do CKK pismo z pytaniem, dlaczego wydano negatywną decyzję na podstawie pozytywnej recenzji. Moje odwołanie było zakwestionowaniem ich własnej wcześniejszej decyzji - tym razem jednak zaangażowali się po mojej stronie. Odpowiedź CKK była utrzymana w tonie niegrzecznym i pełnym irytacji. Informowała, że recenzja została dołączona przez pomyłkę, a oni mają inne recenzje - negatywne. Tych jednak nie przysłano. Ja otrzymałam lakoniczną informację, że moje odwołanie zostało oddalone, i na tym sprawa się skończyła.

Niżej zamieszczony tekst, to rozdział mojej pracy doktorskiej: "Homo Institutionalis".

Każda epoka ma właściwy sobie układ hierarchii społecznej, oparty na odpowiednich kryteriach podziału ludzi. Najdłuższy okres w dziejach reprezentuje hierarchia, której kryterium stanowi urodzenie. Wolny, uprzywilejowany, bogaty - to ten, który urodził się wolnym, uprzywilejowanym, bogatym. W Grecji starożytnej uważano nawet, że człowiekiem szlachetnym /w sensie moralnym, a nie tylko klasowym/ może być jedynie syn szlachetnego ojca. Kapitalizm wyeksponował bardziej demokratyczne kryteria finansowe, a współczesna cywilizacja przemysłowo-techniczna wytoniła hierarchię zawodowo-administracyjną. Podział pracy, nieunikniony w warunkach gospodarki przemysłowej, stał się podziałem nie tylko kompetencyjnym, ale i hierarchicznym. Sposób uczestniczenia w każdym z tych układów hierarchicznych wyznacza sytuację jednostki, jej cele, zakres wolności, kryteria uznania i autoafirmacji. Podrzędność i zależność ludzi z niższych szczebli drabiny społecznej wyraża się najczęściej w tym, że w schemacie ich dążeń „jeżeli ma być X, to trzeba Y”/ zakres wartości X pokrywa się z zakresem jakichś wartości Y ze schematu dążeń ludzi szczebla nadrzędnego. Taką wartością była np. w okresie feudalizmu wierna i uczciwa służba dobrego wasala. Wierność i oddanie feudałowi stanowiły jakies życiowe i aksjologiczne optimum dla sług i rycerzy.

Ale przedmiotem naszej analizy będzie układ hierarchiczno-instytucjonalny istniejący w świecie współczesnym oraz sposób uczestniczenia człowieka współczesnego w tym układzie.

Jest to układ, w którym istnieją podziały i zależności nie tylko poziome, wyznaczone stopniami drabiny służbowej, stopniem kompetencji, zakresem odpowiedzialności i władzy, ale również i podziały pionowe, które dzielą ludzi różnych grup zawodowych, pracowników różnych instytucji oraz osoby korzystające z usług tych instytucji.

Te podziały zamykają ludzi w coraz drobniejszych klateczkach solidarnych grup społecznych, składających się na przykład z jednostek tego samego szczebla drabiny służbowej i tego samego zawodu. W ten sposób społeczna izolacja ludzi ograniczająca zakres osób obejmowanych obowiązkiem pomocy i życzliwości, a mnożąca kierunki postaw antagonizmu i obcości. W miarę rozwijania się instytucji, zwręca się coraz bardziej zakres „my”, a rośnie ilość tych ludzi, o których mówi się wrogo „oni”. „Oni” - to mogą być ludzie z niższego lub wyższego szczebla drabiny służbowej, osoby innych profesji, pracownicy nadrzędnych lub podrzędnych instytucji, urzędnicy dla klientów, klienci dla urzędników itd. Istotnie, w systemie hierarchiczno-instytucjonalnym powstaje najbardziej paradoksalne zjawisko: osoby powołane w ramach instytucji do świadczenia usług /np. lekarze, urzędnicy, sprzedawcy/ za swych naturalnych wrogów uznają tych, którym te usługi świadczą. Dla homo institutionalis, zamkniętego i izolowanego w swojej klateczce, manifestowanie wrogosci w stosunku do „obcych” staje się znamię uczestnictwa i lojalności w stosunku do grupy własnej, niezbędnym dla uzyskania poczucia przynależności i akceptacji. W jego sytuacji życiowe i bezpośrednio zainteresowanie się sprawą klienta może być przez pozostałych lokatorów klateczki potraktowane niefortunnie jako dywersja i paktowanie z wrogiem, co naraża go z kolei na niebezpieczną izolację we własnej grupie.

Funkcje wykonywane w instytucjach stanowią równocześnie pracę zawodową, za którą ludzie otrzymują wynagrodzenie stanowiące źródło ich utrzymania. Schemat życiowych dążeń pracownika wygląda więc tak: „jeżeli mam osiągnąć postulowany standard życiowy, to trzeba na to zarobić”. Opinia Mertona, który zakłada, że w systemie biurokratycznym przepisy, jako wartości instrumentalne, stają się ostatecznym celem działania pracowników, wydaje się o tyle nieścisła, że przepisy te jako wartości instrumentalne zostają przeniesione do schematu dążeń pracownika. Ścisłe stosowanie się do tych przepisów ma go zabezpieczyć przed ewentualną dezaprobatą Instancji nadrzędnej jako niepowodzeniem osobistym. Braku rzeczywistej realizacji celów instytucji

nie traktuje on jako niepowodzenia. Realizacja tych celów lub jej brak ma dla niego znaczenie ... tylko o tyle, o ile wpływa na poprawę jego własnej sytuacji zawodowej. Fakt ten jest istotnym czynnikiem kształtowania osobowości jako osobowości profesjonalnej. Takiej osobowości brakuje afirmacji celu, którego realizacji służyć powinna jej działalność zawodowa. Zresztą w złożonych instytucjach współczesnych wykonuje się wiele takich czynności, dla których przy najbardziej wnikliwej analizie nie można się doszukać żadnego innego celu niż samo istnienie instytucji. Wykonywanie takich czynności nabiera wtedy charakteru nieledwie magicznego i rytualnego. Jeżeli ponadto tego rodzaju czynności są istotnym warunkiem zawodowego awansu, a o ich całkowitej nieprzydatności dla jakiegokolwiek innego celu wie zarówno zainteresowany, jak i jego zwierzchnicy, to wytwarza się sytuacje, w której akceptuje się oficjalnie wysiłek obracania pustych żeren, co nie może pozostać bez destruktywnego wpływu na ludzką osobowość.

Sposób społeczny istnienia człowieka współczesnego, głównie w ramach i za pośrednictwem instytucji, kształtuje określony typ psychiczny, który właśnie nazwaliśmy osobowością profesjonalną albo homo institutionalis. Przynależność do instytucji stanowi główną podstawę do identyfikacji. Człowiek współczesny zapytany o to, kim jest, odpowie wymieniając nazwę swego zawodu, z którym identyfikuje się tak, jak w średniowieczu identyfikowano się ze swoją przynależnością do kasty i religijną, a w społeczeństwach kastowych ze swoją kastą. Ta identyfikacja jest właśnie owa maska, o której pisze Fromm, ale maską, we współczesnej sytuacji cywilizacyjnej, nie do zdarcia. Ktoś, kto wychyliłby się poza granicę myślenia i odczuwania właściwego dla homo institutionalis, znalazłby się w społecznej pustce.

Identyfikowanie się z pełnioną funkcją zawodową jest wprowadzić zbliżone do utożsamienia siebie z własnym pochodzeniem społecznym, ale z tą zasadniczą różnicą, że tożsamość nabyta wraz z urodzeniem jest integralnie związana z osobą. Książę mógł stracić majątek, wpływy, władzę, przyjaciół, ale nie groziło mu nigdy, że przestanie być księciem. Natomiast u homo institutionalis istnieje stała obawa, aby wraz z odjęciem mu jego funkcji nie została mu odjęta jedyna podstawa do identyfikacji. Wtedy bowiem pozostaje on jak pusta skorupa, jak niezrealizowana możliwość bycia "kims" - istnienie nie mające szansy zmanifestowania swego człowieczeństwa. Ten fakt jest też zapewne jednym z powodów tak wielkiego przywiązywania wagi do tego, aby zajmować możliwie wysoki szczebel w instytucjonalnej hierarchii, jest to bowiem jedyny dostępny sprawdzian wartości osobistej. Brak zdolności do realizowania siebie jako indywidualności sprawia, że homo institutionalis nie zna innej drogi swego samourzeczywistnienia poza pełnieniem funkcji zawodowej. Idealny homo institutionalis w postaci klinicznie czystej - to człowiek zupełnie pozbawiony autentyczności, przeżywający poczucie własnej tożsamości przez identyfikowanie się ze swoją profesją. Jego niepewność zachowania funkcji koniecznej nie tylko dla uzyskania zarobku, ale i dla zaspokojenia potrzeby przynależności, identyfikacji i społecznej akceptacji, jest zapewne jeszcze jedną z przyczyn zachowań nienawistnych i agresywnych. Lęk zawsze rodzi nienawiść, a lęk przed nieokreślonym rodzi również nienawiść kierowaną na oślep, wszędzie i do wszystkich.

Homo institutionalis autoafirmacji szuka w potwierdzeniu swej wartości mierzonej kryteriami profesjonalnymi, które wynikają z logiki systemu instytucjonalnego. Pierwszym kryterium jest tu wysokość zarobków, drugim - wysokość szczebla zajmowanego w drabinie służbowej, trzecim - aproba Instancji nadrzędnej, czwartym - zasięg władzy, a piątym - sprawność zawodowa. Brak tu kryterium przydatności wykonywanej funkcji dla tych celów czy osób, dla których jest one w założeniu wykonywana. Profesjonalizowanie współczesnych społeczeństw prowadzi

do zaniku obyczaju oceniania ludzi w kategoriach moralnych na korzyść oceniania wedle wymienionych kryteriów zawodowych. Dlatego oceny te nie bywają uwarunkowane korzyściami, jakie zyskuje wspólnota z pracy wykonywanej przez danego specjalistę, /co byłoby logiczne/, ale tymi korzyściami, jakie odnosi on sam. Jeżeli zaś obiektywnym miernikiem zawodowego powodzenia jest wysokość zarobków i opinia Instancji nadrzędnej, to jest ono cenne nawet wtedy, gdy zostaje osiągnięte niegodziwymi metodami.

Jako warunek uznania i autoafirmacji sprawność zawodowa homo institutionalis musi być optyczna. Nie cieszy się poważaniem najlepszy fachowiec, który nie potrafi sprzedać swych umiejętności - będzie uchodził za dziwaka i niedołęgę. Natomiast zainteresowania najbardziej nietypowe mogą podnieść rangę człowieka, gdy znajdzie on sobie dla nich finansowe alibi.

Trend społeczny, którego ukierunkowaniem jest maksymalna funkcjonalność organizacyjna, zmierzająca ku centralizacji, anonimowości, konformizacji i formalizacji. Efektem humanistycznym tego procesu jest kształtowanie się instytucjonalnych postaw wtórnych, zdepersonalizowanie stosunków międzyludzkich. Natomiast dynamizm rozwojowy trendu indywidualnego w kulturze totalnej zinstytucjonalizowania gubi się i rozprasza. Powstaje w ten sposób nowy rodzaj alienacji wynikający ze sprzeczności trendów rozwojowych społecznego i indywidualnego, bo gotowa do przeorganizowania i dążąca do samourzeczewistnienia osobowość człowieka współczesnego nie znajduje w instytucjonalno-hierarchicznej atmosferze kulturalnej warunków sprzyjających swemu samourzeczewistnieniu ani przekonywających aksjologicznie kryteriów, którymi mogłaby mierzyć swoją wartość. A ta "istniejąca" choć niesprecyzowana warstwa wartości prospektywnych, kształtująca pewne półświadome wrażenie cenności indywidualności ludzkiej, mierzonej kryteriami wartości autentycznych, jest jeszcze ledwym źródłem pogardy dla każdego innego homo institutionalis za nieprzekonywającą profesjonalność jego osobowości i profesjonalny charakter aspiracji. Człowiek nie znajdujący w swym środowisku kulturalnym autentycznych kryteriów, którymi mógłby mierzyć swą osobistą wartość, traci poczucie sensu życia, tonie w narzuconych przez instytucje konformizmach, jest istotą nieautentyczną i tragiczną.

Jednym ze sposobów uzyskania autoafirmacji jest względne wywyższenie siebie kosztem poniżenia innych. Znakomicie podnosi poczucie własnej wartości, jeżeli komuś ma się coś za złe. Do względnego wywyższenia siebie służą intryga i obmowa, ironia i szyderstwo, a zawiść i nienawiść są uczuciami budzającymi się wtedy, gdy te zabiegi nie powiodą się. U ludzi, którzy, poniżeni lub ośmieszeni, mają stać się narzędziem względnego wywyższenia swych bliźnich, rodzi się cierpienie, nienawiść, pogarda i lek. Z kolei następstwem leku jest dążenie do względnego wywyższenia siebie samego kosztem jakiejś innej ofiary. I cykl powtarza się od początku.

Tendencje zmierzające do coraz większej instytucjonalizacji prowadzą do formalizowania coraz większej liczby przejawów życia. Ustawianie jednostek w jednoznacznych sytuacjach, powierzanie jednoznacznych funkcji, nie daje szansy wykazania ich wartości osobistych w kategoriach innych jak tylko profesjonalne. Bierne, bezrefleksyjne i niesamodzielne działania zgodne z przepisami - to jedyny dostępny dla homo institutionalis sposób postępowania. W warunkach instytucjonalizacji społeczeństw kontakty w relacji "ja w stosunku do innych" mają charakter umowny, projekcyjny; dokonują się za pośrednictwem rzeczy /ustaw, przepisów, podań, załączników, zaświadczeń/, eliminując żywe kontakty międzyludzkie, a razem z nimi te postawy, które są wyrazem dyspozycji moralnych. W tego typu kontaktach człowiek dla drugiego człowieka przyjmuje postać symbolu, umownego znaku, załącznika do aktu.

Wbrew życzeniom i oczekiwaniom wspólnie wykonywana praca nie zawsze wprowadza element bezpośredniej zażyłości. Przebywanie dzień po dniu u boku ludzi, z którymi ma się kontakt tylko pośredni - poprzez

trudny do przeżywania emocjonalnego, przyszły wspólny wytwór pracy, mający wspierać tendencje wspólnotowe, wywołuje tylko wrażenie społecznej pustki i izolacji.

Ponieważ inspiracją do powstania każdej instytucji jest potrzeba zapewnienia realizacji jakiejś wartości, z jej funkcjonowaniem wiąże się przeważnie jakieś ludzkie roszczenia i oczekiwania. Można powiedzieć, że instytucja przejęła w pewnym sensie cechy "osoby" moralnej, która ponosi odpowiedzialność za spełnienie tych oczekiwań i roszczeń. Brak zsynchronizowania poziomu organizacyjnego instytucji z poziomem intelektualno-moralnym tworzących je ludzi jest powodem, że instytucje nie wywiązują się z nałożonych na nie zobowiązań. Powoduje to powstawanie niekiedy instytucji niejako "na wyrost", wyprzedzających w swych założeniach rzeczywistą możliwość realizacji przewidzianych wartości. Taką instytucją-marzeniem jest w Polsce na przykład Służba Zdrowia. Realizowanie celów tej instytucji jest praktycznie uzależnione nie tylko od sprawności organizacyjnej i nakładów finansowych, ale głównie od odpowiedniego poziomu intelektualnego i moralnego lekarzy i pielęgniarek. Nie jest go w stanie reprezentować homo institutionalis, uwikłany między obowiązkami sformalizowanej odpowiedzialności przed instancją nadrzędną a kurczowymi wysiłkami, aby docłagać do postulowanego poziomu zamożności i prestiżu.

Taką instytucją-marzeniem jest również szkolnictwo, które łączy w sobie anachroniczność przekazywanych w procesie nauczania i wychowania treści z utopią nadzieję na dobroczynne oddziaływanie osobowości nauczyciela na rozwój kulturalny uczniów.

W tej sytuacji powstaje sprzeczność między szansą realizowania założonych celów instytucji a szansą moralnego i intelektualnego rozwoju jednostki. Jednostki prymitywne i działające w sposób formalistyczny nie są w stanie spełniać zadań instytucji, a mechanizm funkcjonowania instytucji ogranicza lub niszczy możliwość ich intelektualnego i moralnego rozwoju.

Sprzeczność istnieje również między zanikaniem obyczaju oceniania ludzi w kategoriach moralnych a układem społecznym, w którym funkcje spełniane w instytucjach, będących tego układu obiektywnym wyrazem, są na ogół zależne od bodźców ekonomicznych. Ilość przyjętych pacjentów, załatwionych interesantów czy kupujących - nie wpływa na wysokość zarobków lekarza, urzędnika czy sprzedawcy, co wskazuje, że w zakresie jakości pełnienia tych funkcji liczy się na kulturę moralną pracowników. Tam, gdzie każdy następny klient staje się potencjalnym natrętem, trzeba przecież wyjątkowo wysokiej kultury osobistej, aby zrównoważyć negatywne uwarunkowania ekonomiczne pozytywnymi uwarunkowaniami moralnymi.

W nowoczesnych państwach powstały nowe instytucje, których pracownicy są upoważnieni do dysponowania tzw. świadczeniami społecznymi. Powołani do tego, aby opiniować o potrzebie świadczeń, i do tego, aby świadczyć, ludzie ci pełnią podwójną rolę: są jednocześnie szafarzami pewnych dóbr oraz ich strażnikami. Ta dwójność ich roli powoduje ambiwalentność postaw. Funkcje ich jako szafarzy polegają na tym, aby dopełniać obowiązku świadczeń, a funkcje jako strażników, aby nie dopuścić do przekroczenia uprawnień do świadczeń. Ale granica między niedopełnieniem a przekroczeniem jest ruchoma i nie zawsze łatwo uchwytana. Granica między należnym a nadużyтым świadczeniem też jest nieostra, zależy czy ogląda się ją od strony tego, kto liczy na świadczenia, czy od strony tego, kto chce uniknąć wysiłku świadczenia i ewentualnej odpowiedzialności za dopuszczenie do nadużycia. Ta sytuacja wyznacza psychologiczny stosunek "świadczeniodawcy" do "świadczeniobiorcy" jako do podejrzanego natręta. U "świadczeniobiorcy" zaś powstaje przeświadczenie, że dopiero wtedy, gdy przekroczy nieco granicę wyznaczonych mu przez "świadczeniodawcę" uprawnień, otrzyma

to, co mu się naprawdę należy. Ten nieufności i podajrzliwości między nimi potęguje fakt, że "świadczaniodawca" zdaje sobie na ogół sprawę z owego wygórowanego poziomu roszczeń "świadczeniobiorcy" i dlatego sądzi, że postąpi uczciwie, gdy odrzuci wszelkie jego żądania. Ponadto niedopełnienie obowiązku świadczeń nie pociąga za sobą praktycznie żadnych sankcji, najwyżej jakieś nieokreślone negatywne opinie moralne, podczas gdy sankcje za przekroczenie uprawnień do świadczeń są wyraźne, konkretne i uchwytne. Ta sytuacja powoduje, że osoby uprawniona do przyznawania świadczeń łatwiej identyfikują się za swoją rolę jako strażnika niż jako szafarza. I stąd zapewne ta paradoksalne, pozornie niezrozumiałe zachowania, kiedy pracownik odrzucając uzasadnione roszczenia do świadczeń ma przekonanie, że robi to z uczciwości.

Ograniczona funkcjonalność instytucji, jako narzędzi realizacji potrzeb i postulowanych celów, jest nieustannym źródłem frustracji i czynnikiem potęgującym pewne rodzaje alienacji. Paniczną reakcją na ten brak funkcjonalności jest mnożenie przepisów, zarządzeń, okólników. Mają one zrównoważyć niedostatki postulowanej w założeniach kultury moralnej i intelektualnej członków społeczeństwa zarówno wtedy, gdy występują w roli "Usługodawców", jak i w roli "usługobiorców". Wrazem tej samej reakcji jest splętrzanie aparatu kontroli przez ustalanie zasad organizacji instytucji w taki sposób, aby były jak najbardziej uchwytne dla kontroli, nawet gdy takie ustawienie utrudnia znacznie osiągnięcie celu, dla którego się ta instytucja powołuje.

Inna jeszcze sprzeczność zachodzi między koniecznością wychowania moralnego przez kształtowanie dyspozycji moralnych, umożliwiających podajmowanie samodzielnych słusznych decyzji, a doraźnymi potrzebami współżycia, które narzuca konieczność regulowania tegoż współżycia ogromną ilością drobiazgowych przepisów. Paraliżują one możliwość rozwoju tych dyspozycji w procesie samodzielnego, odpowiedzialnego działania. Nadmiar drobiazgowych przepisów, odbierając działającym samodzielność, niszczy również szansę spełniania przez nich funkcji jako osób moralnych, biorących na siebie odpowiedzialność za los innych ludzi; sprawia, że potęguje się moralna drętwość i formalizm.

Sprzeczność istnieje również między utożsamianiem moralności z postuszeństwem w stosunku do przepisów a postulowaniem we wzorach wychowawczych indywidualnej inwencji moralnej i zalet takich, jak odwaga, inicjatywa, życzliwość, pomysłowość; nie mają one szans realizacji w systemie drobiazgowych przepisów i hierarchii zależności. Dlatego indolencja i bierność nabierają wartości barwy ochronnej, gwarantując żywot może mało barwny, ale bezpieczny i spokojny.

Najbardziej jednak niepokojąca jest sprzeczność między założoną humanitarną funkcją przepisów instytucjonalnych a ich funkcją realną, jaką spełniają przyczyniając się do sformalizowania i odhumanizowania stosunków międzyludzkich. Pracownicy instytucji nie działają we własnym imieniu. Aspekt moralny swej działalności mogą uznawać za mechaniczną wypadkową uwarunkowań prawno-administracyjnych, i za skutki tej działalności nie czują się osobiście moralnie odpowiedzialni. Nawet w przypadkach zachowań jaskrawo krzywdzących moralnie, a będących wynikiem urzędowej procedury, bezpośredni sprawca nie czuje się winny ani odpowiedzialny.

Te sprzeczności sprawiają, że nastąpiło w świecie współczesnym pozorne obniżenie ogólnego poziomu kultury moralnej. Pozorne, bo nie jest ono związane z jakimś regresem w zakresie dyspozycji moralnych, lecz jest wynikiem moralnej dezorientacji, objawem bezradnej rezygnacji z możliwości dokonywania samodzielnego, świadomego wyboru moralnego. Dodatkowym czynnikiem pogłębiającym dezorientację moralną jest fakt, że często wybór słuszny z punktu widzenia moralnego bywa potoczony z naruszeniem przepisów i może spotkać się z dezaprobatą, a nawet sankcją karną.

We współczesnym świecie, w którym nie ma już prawie takich przejawów życia zbiorowego i indywidualnego, które nie byłyby objęte gestią jakiejś instytucji, następuje wzrastające ograniczenie tych sfer życia, w których mogłyby się aktualizować postawy i reakcje zaliczane tradycyjnie do zakresu zachowań moralnych. U homo institutionalis zostaje ograniczona szansa wyboru i decydowania o tym, co dobre a co złe, co należy, a czego nie należy robić - ocenając w kategoriach moralnych powinności, odpowiedzialności, winy i zasługi. W trudzie samodzielnego myślenia, wyboru i decyzji wyręczają współczesnego człowieka instytucje. Zapoznawszy się ze zbiorem przepisów, homo institutionalis już wie, co powinien robić, a czego mu robić nie wolno. Przepisy i cały w ogóle instytucjonalny sposób bycia człowieka współczesnego - są pewnego rodzaju konstrukcją ortopedyczną, na której opiera on swoje bezwolne i bezwładne, niesamodzielne istnienie. Nagłe obalenie instytucji spowodowałoby dla niego nieuchronna katastrofę, powrót do stanu dzikości. Stopniowy natomiast zanik instytucjonalnych form życia mógłby być tylko następstwem kształtowania się postaw i dyspozycji umożliwiających moralną autonomię, kształtowanie indywidualnych właściwości moralnych i intelektualnych, jakie byłoby następstwem wzrostu samowiedzy.

Współczesny homo institutionalis, działający nie we własnym imieniu i dla anonimowego odbiorcy, nie znajduje żadnego układu odniesienia dla swych moralnych uczuć. A wyobraźnię i inteligencję moralną ma na ogół niedostatecznie ukształtowaną, aby móc nią ogarnąć odległe i nie bezpośrednio uchwytne następstwa swych zachowań. Dotychczasowe wychowanie moralne stało zawsze głównie w kierunku ubierania bezpośrednich reakcji emocjonalnych. I to zarówno wtedy, kiedy celem zabiegów wychowawczych jest pobudzenie uczuć litości, miłości, wdzięczności i pokory, jak i wtedy, gdy ukierunkowaniem moralnym wychowania jest antagonizm wyznaczający obowiązek przeżywania uczuć nienawiści i zemsty w stosunku do "obcych" jako podstawowego sposobu manifestowania solidarności w stosunku do "swoich".

To działania nie we własnym imieniu i dla anonimowego odbiorcy stwarza sytuację, w której homo institutionalis ma do czynienia z upiorami celów i upiorami osób. W sensie emocjonalnym działa w społecznej pustce - skrzywdzeni nie oskarżają go, a zadowoleni - nie chwala. Dla moralnej wyobraźni homo institutionalis ten anonimowy proces społeczny oddziaływania jest niepojęty i nieuchwytny. Stwarza pozór społecznej pustki, osamotnienia, braku społecznego rezonansu w postaci objawów miłości lub nienawiści, pochwały lub nagany. Wyłania się jakies przytłaczające przekonanie, że "wszystko jedno", że jego zachowania nie mają moralnego znaczenia, a automatyzm własnych zachowań jest tylko w jakiś nieuchwytny sposób powiązany z automatyzmem reakcji i zachowań innych ludzi, uwarunkowanych podobnie jak on sam. Temu uczuciu bezradnego zagubienia towarzyszy poczucie krzywdy płynącej z pozbawienia szansy bezpośredniego życiowego odnalezienia się z drugim człowiekiem, szansy, która jest najcenniejszym osiągnięciem humanistycznym ludzkości. Codzienny korowód "obcych", z którymi ma się do czynienia, pogłębia niezrozumiałe rozgorczenie płynące z tego poczucia obcości i transponowane w gniewny odruch niechęci do każdego z nich - za to, że jest taki obcy. A ten odruch z kolei pogłębia obcość i krąg alienacji zamyka się. Odtąd każde poruszenie pogłębia zło: smutek, osamotnienie, nienawiść.

Próbując sformułować najkrótszą diagnozę można by ją ująć w postaci parafrazy z mickiewiczowskich "Dziadów": "Homo moralis oblit, hinc natus est homo institutionalis".

Lech Dymarski

LISTY I WIERSZE

L I S T Y

Kolega

Krzysztof Pyslak

Prezes Koła Młodych przy
OW ZLP "Nowy wyraz"

Szanowny Kolego,

pismo Zarządu naszego Koła informuje mnie, że prezes Bartelski przekazał wiadomość o zainteresowaniu się przez Ministerstwo Kultury i Sztuki sytuacją bytową młodych pisarzy. Ponieważ wszystkie trzy kłopoty mocno mnie dotyczą/"kto ma kłopoty z pracą, mieszkaniem, drukowaniem itd."/, spiesznie i z zadowoleniem odpowiadam na apel.

1. W zeszłym roku Komisja Młodzieżowa ZG ZLP przyznała mi półroczne stypendium z funduszu autorskiego MKiS. Aczkolwiek w dokumentach ZG fakt ten miał potwierdzenie /jeszcze w lipcu 1977/, ani odpowiedniego zawiadomienia, ani pieniędzy nie otrzymałem. Urzędnik ZG życzliwie udostępniając mi dokumenty Komisji Młodzieżowej wyraził przekonanie, że upominanie się o przyznane stypendium nie przyniesie rezultatu. "Myśmy przyznali, Ministerstwo nie wypłaciło - widocznie tak miało być. Poza tym nikt z panem w Ministerstwie nie będzie rozmawiał, tym bardziej, że jest już po fakcie". Wnoszę z tego, że Ministerstwo według własnych, niejawnych kryteriów selekcjonuje młodych pisarzy na tych, którym należy pomóc, i tych, którym pieniędzy się nie wysyła. W tym roku Komisja Młodzieżowa także przyznała mi stypendium z funduszu autorskiego. Czy otrzymam je?

Od kilku miesięcy jestem pozbawiony zarobków, prócz sporadycznie pobieranych honorariów za wieczory autorskie. Nie mając pieniędzy, nie mogę wynajmować mieszkania. Nie mieszkając, a pomieszkując gdzie się da - bez własnego stołu i krzesła - nie piszę, a zaledwie notuję. Jeśli sytuacja się nie zmieni, nie będę już młodym pisarzem, ani - później - pisarzem w średnim wieku, ani starym pisarzem, ani sędziwym nestorem pisarstwa. Przyzna kolega - młody pisarz i redaktor - że taka perspektywa jest bardzo niepokojąca. Zapewne zrozumie mój niepokój prezes Bartelski, który niegdyś też był młodym pisarzem. A także, należy wierzyć, że potrafią to zrozumieć urzędnicy Ministerstwa. Nie wysuwam jednak żądań, by Ministerstwo mi pomogło.

2. W zeszłym roku, tuż po obronie pracy magisterskiej w Zakładzie Teorii Literatury UAM w Poznaniu, podjąłem pracę w Telewizyjnej Wytwórni Filmowej "Półtel". 1 lutego zwolniono mnie. W ustnym uzasadnieniu decyzji dyrekcja wytwórni / nadmieniwszy, że decyzja zapadła "wyżej"/ podała za przyczynę publikowanie w kwartalniku "Zapis",

Oto trzeci kłopot - drukowanie. Debiutowałem w roku 1974, najpierw wygrywając konkurs literacki w Poznaniu, potem wydając zeszyt poezji w Witrynie Poetyckiej Od Nowa w Poznaniu, potem drukując w Studencie i Nowym Wyrazie. W roku 1975, zachęcony /jako twórca kultury studenckiej, laureat "Trójzębu Neptuna" na "Famie" itp/ przez kolegów - działaczy z ZG SZSP złożyłem zbiór wierszy pt. "Nie ma powodów do zaniepokojenia" w serii "Generacje". Mimo zapewnienia, że moje wiersze znalazły się w planie wydawniczym, książki nie wydano, faktu tego nie skomentowano, a koledzy działacze zaczęli mnie unikać. Z równie ciekawą ofertą spotkałem się w rok później ze strony wydawcy "Gdańskich Arkuszy Poetyckich". Skutek był podobny. Ciekawe: działacze

I wydawcy słuchali, molch wierszy na wieczorach autorskich i koncertach "Famy" i potem składali oferty. Przeredagowany zbiór wierszy pod tym samym tytułem wystąpił do Wydawnictwa Literackiego. Wydawnictwo odeszło go wyrażając ochotę zapoznania się z innym wyborem. Trzeba jednak oddać, że W.L. odpowiedziało zgodnie z przyjętym zwyczajem, terminem itd.

Słowo ZAPIS dosięgnęło mnie jeszcze jako studenta. Prezes Koła Naukowego, proponując mi druk recenzji w przygotowywanym almanachu, postawił warunki: druk pod pseudonimem, bo na ciebie jest ZAPIS. Ale co to właściwie jest, ten ZAPIS? W dokumentach cenzury nie znalazłem zakazu wymiiania mojego nazwiska, ale dokumenty cenzury nie są jawne, co pozwała wydawcom, działaczom itp. powoływać się na ZAPIS. A co ich do tego skłania?

Pod koniec studiów radzono mi: niech pan szybko pisze pracę magisterską, bo ONI starają się przeszkodzić panu w zrobieniu dyplomu. Kim są ONI w naszym życiu publicznym - trudno dokładnie ustalić. Już w pierwszych latach studiów ktoś zyczliwy powiedział mi: oni się bardzo panem interesują, bo pan przyjechał się z Berańczakiem. ONI powiedzieli komuś z rodziny: on utrzymuje kontakty z Berańczakiem i my na to przez palce pójść nie będziemy. Pod koniec ubiegłego roku zmuszono mnie do rezygnacji z kierowania galerią przy ZW SZSP w Poznaniu, która zbudowaną przez i uruchomioną. Powiedziano: ONI stawiają nam taki warunek,

W piśmie "Sztuce" /nr 6.4.77/ ukazało się sprawozdanie napisane na podstawie wywiadu ze mną. W druku pominięto moje nazwisko - w specjalistycznym piśmie informuje się, że ktoś inicjował, ktoś kierował i ktoś był autorem wydarzeń plastycznych. Autor erytykułu, Andrzej Hegobarth, powiedział przed publikowaniem "poprawionego" tekstu: twoje nazwisko nie wolno wymieniać, jest ZAPIS. Zaś dziennikarze z lokalnej studenckiej gazety powiedzieli mi niedawno: twoje nazwisko cenzura za każdym razem wykreślała - na ciebie jest ZAPIS. Jeszcze raz chciałoby się zapytać: co to właściwie jest, ten ZAPIS? I kto, w jakiej formie go ustala? Nie jest to dla mnie jasne. Wiem na pewno: przyczyną moich niepowodzeń był i jest ZAPIS.

3. Nieoficjalne pisma literackie /bo jest i drugie - "Puls"/ pojawiły się w chwili, gdy zacząłem sumieć swoją sytuację skazanego - niech nie zabrzmi to patetycznie - na milczenie. Trudna to sytuacja. Żaden urząd nie czuje się sprowokowany, by publicznie uznać, że nie jestem pisarzem, skoro - urzędowo rozumując - nie wydawczy "normalnej" książki w kraju, pisarzem nie jestem. Żaden związek nie czuje się zmuszony odbierać mi praw, skoro - administracyjnie sądząc - ich nie mam. Ale mylnie wynikałoby z tego, że sytuacja "izolowanego" jest jednoznaczna. Od kilku lat należę do Koła Młodych przy ZLP, czasem chodzę na zebrania, co jakiś czas składam podania o stypendium twórcze. Mnie jestem pisarzem czy nie? Do kogo lepiej skierować to pytanie: do publiczności z wieczorów autorskich, nielicznych czytelników książeczek wydawanych w nakładzie 100 egz., czy własnoręcznie wydawanych samizdatów, czy do Ministerstwa Kultury i Sztuki, tej jedynej publiczności, która bez dyskusji wygłizdała mnie. Powinno być tak: ja sam odpowiadam sobie na pytanie, czy jestem pisarzem, zaś Ministerstwo, jeśli ma ochotę interesować się mną, pyta o zdanie tej nielicznej publiczności. Czy urzędnik, który zdecydował, by nie wytacono mi stypendium, poznał najpierw moje wiersze i na tej podstawie arbitralnie uznał moją twórczość za niegodną wsparcia? A jeśli nie zrobił tak, kogo się razi? Jeśli tym razem dostanę przyznane mi stypendium, tamto pójdzie w niepamięć. Jeśli pieniędzy nie dostanę, znaczyć to będzie, że moja sytuacja jest bez zmian.

Jak ją rozwiąć, przypuściwszy, że nie jest to wypadek o osobno- ności? Proponuję Ministerstwu rozwiązania: podzielić pisarzy polskich na trzy kategorie - pisarzy popleryanych, którzy drukują w pismach oficjalnych; pisarzy uznanych, którzy drukują w pismach oficjalnych i nieoficjal-

ciajnych; i pisarzy, którzy drukują tylko w pismach nieoficjalnych. Ci Pierwsi, jak wynika z nazwy, mieliby cieszyć się poparciem Ministerstwa /także materialnym/, ci drudzy staliby się przedmiotem zainteresowania, zaś ostatni Ministerstwo nie interesowałoby się zupełnie jako pisarzami. /Gdyby przyjęto wcześniej takie rozwiązanie, ja mógłbym nadal pracować w podległym MKiS "Połtelu", będąc rozliczany za pracę w Wytwórni, a nie za to, co i gdzie publikuję./

Propozycja ta pozostanie tylko żartem, Ministerstwo nie przesłanie się mną interesować, ja nie przestanę drukować w pismach nieoficjalnych. Wróćmy do tego samego pytania: będę pisarzem czy nie? Ja odpowiem sobie na to twierdząco, pewniejszy o to, że mam "swoje" pisma, z którymi współpracuję i które chcą mnie drukować. I nawet gdy przyjmą mnie oficjalne wydawnictwa, będę drukował w ZAPISIE czy PULSIE - już nie z braku wyjścia i nie z przekory odrzuconego, ale dlatego, że są to pisma ciekawe, na dobrym poziomie, najlepsze w tej chwili polskie pisma literackie.

4. Nó dobrze, a z czego żyć? Powie ktoś cyntycznie /a znajdzie się zawsze taki ktoś w wydawnictwie, Związku czy rodzinie/: pisz tak, żeby można było publikować oficjalnie. Znaczyć to będzie: pisz "co innego", pisz nieautentycznie, pisz tylko cząstkę tego, co chciałbyś napisać, a więc - ocenzuruj najpierw to, co myślisz, później jeszcze raz to, co napisasz. Ale tak nie trzeba i nie można, bo za kilka, kilkanaście, czy kilkadziesiąt lat, jeśli kto wygrzebie moje nazwisko w tych Wielkich Śmieciach, zapyta: po co on to pisał? I postawi mnie pod sąd/tak jak ochoczo sądzi się dziś niektórych socrealistów/ - za fałsz, zaśmianie literatury, za zmarnowany papier. Ani też nie jestem zagrożony, jak Osip Handełsztam, gdy pisał ode o Stalinie - co zresztą od śmierci go nie uchroniło.

5. Jeśli nie zmieni się polityka kulturalna w naszym kraju, czy nie wystawimy się na drwiny w świecie? Będą mówić: Polska to taki dziwny kraj... podwójnej świadomości, podwójnej literatury, podwójnej kultury, ale jednej, głuchoj i ślepej administracji.

Lech Dymarski

/adres dla korespondencji:
ul. tukaszewicza 10 m 6
60-725 Poznań/

P.S. Wątpliwe jest, by cenzorzy zezwolili na opublikowanie tego listu w Nowym Wyrazie. Niemniej i ponieważ poruszam tu sprawy wykraczające poza interes prywatny - wnoszę o to.

Warszawa, 27. IV. 78.

Do

Komisji Młodzieżowej Zarządu Głównego
Związku Literatów Polskich

W dniu dzisiejszym dowiadywałem się w ZG o termin wypłaty stypendium przyznanego mi ostatnio przez Komisję Młodzieżową. Okazało się, że moje nazwisko jest na liście stypendystów przekreślone. Przy innych nazwiskach jest adnotacja "2 x 3000".

Po raz drugi przyznano mi stypendium i po raz drugi nie wypłaca się. Dopatrując się w tych analogicznych wypadkach jakiejś zasady proszę o wyjaśnienie, kto i dlaczego skreśla moje nazwisko z listy stypendystów.

Lech Dymarski

/adres dla korespondencji:
ul. tukaszewicza 10 m 6
60-725 Poznań/

Warszawa, 28 kwietnia r. 1978

II. W I E R S Z E

X X X

Stało się: nasze dzieci dorosły.
 W pewnym sensie nasze dzieci nas.
 Przerosły nasze, Wszelkie.
 Płaczą się na pewno, choć nie chce
 przed nikim. Tego że
 przyjechali następnego dnia rano, choć mamy
 ślademdziesiąty ślódmy i tego
 tak się już nie robi, a jeżeli się robi to nie
 tak. Sam nie
 wiem. Porwali. Chciałem.
 że dały się, Zapałom.
 Pałą, sam widziałem. Porwać obcym-
 naszemu i wrogim. Ponieśli
 napisy że tak a tak. Konsekwencje,
 rozumiem, pociągnęli do. Dali się
 ponieść. Powłoc. I wywieźć za. I pewność że.
 To się nigdy, ale
 to nigdy nie. Obiecuję, zrobię
 co. Ale co ja? Nasze dzieci wyrosły
 nad. Jakby nasze
 groby porosły przed. Nie uogólniam, ale tak
 to. Tak. Tak, to jest.
 nie

X K X

Dwaj ludzie, których pan
 nigdy nie widział, agrafka, pęknięcie
 portfela, czarna wstążka, fotografia. Niech pan mówi.
 Proszę. Proszę. Czekamy. Niech pan mówi.
 Proszę. Proszę. Czekamy. Niech pan mówi.
 A jednak
 przyspieszył pan kroku.
 Oddychał szybciej. Kręcił głową.
 Niech pan nie próbuje.
 Chustka, dwa pękł kiuczy, nazwisko
 na kopercie. Czyje to
 imię. Czyje to nazwisko. Gdzie i kiedy
 je nosi. Kto mu dał

to imię. I kto mu dał
 prawo. Niech pan z nas nie robi. Pytamy:
 gdzie i od kogo odebrał. Dlaczego
 się postuguje. Komu się wystuguje. Kto
 trzymał go na rękach.

My mamy czas.

Nasz czas jest długi/deszcz?/, płynny /tza?/.

ale do czasu:

nasz czas może być krótki /rozkaz? strzał?/,

bo nasz czas jest także stały /szkielet?/

i niewzruszony /krata?/, ale do rzeczy:

nasz czas może być łupki jak rozbita głowa.

Niech się panu nie wydaje że w swoim

czasie. My mamy na to. My mamy pana w.

My możemy z panem z. Szybko. Szybciej

niż się wam. Kto jeszcze. /Kto

jeszcze?/ Nie, nie, nie. Od pytań my.

Niech pan nam powie.

Niech pan nam zaraz tu.

Niech pan nam zaraz tu powie. /Jak długo

ten deszcz/.

O KONGRESACH FILOZOFICZNYCH W OGÓLE I O KONGRESIE W WARNIE W SZCZEGÓLNOŚCI

Jan Patočka, znakomity filozof czeski i jeden z trzech pierwszych rzeczników "Karty 77", nie jest nową postacią na naszych łamach. W "Zapisie nr 2" ogłosiliśmy trzy odnalezione listy Patočki do Irany Krońskiej, a w "Zapisie nr 6" - relację z nad Wetewy o dramatycznych okolicznościach śmierci i pogrzebu filozofa. Obecnie dostarczono nam jeszcze jeden nigdy dotąd nie publikowany tekst Patočki. Został on nadesłany przez autora dziennikarzowi polskiemu, który przeprowadził z nim wywiad w wrześniu 1973 roku, podczas Światowego Kongresu Filozofów w Warnie. Zbliżający się kolejny Światowy Kongres Filozofów /Düsseldorf, wrzesień 1978/ wydaje nam się dodatkową okazją, by rozmyślenia Patočki wydobyć na światło dzienne. Podajemy je w tłumaczeniu z francuskiego oryginału.

Kongresy filozoficzne zastępują nas baczniejsza zainteresowanie ze strony filozofów jako przedmiot filozoficznych rozmyślań. Żywiołem filozofii był zawsze dialog. Myśl osoby samotnej może istnieć - wiedział o tym dobrze Platon - tylko o tyle, o ile rozszczepi się, jeśli wolno tak rzec, na dwoje. Filozoficzny dialog pełni wiele funkcji, z których formułowanie poglądów, definiowanie i obrona stanowisk, jest tylko funkcją najbardziej oczywistą i powierzchnową. Już ów - przykładowe - rozmyślenie o dialogu, jakim są filozoficzne rozmowy Platona wykazuje, że uchwycenie świadomego stosunku człowieka do prawdy jest tu ważniejsze niż merytoryczna treść, której rozmowa dotyczy. Wystarczy wymówić to słowo - prawda - aby pokazać, jakie to przepaśne problemy wchodzi w grę przy spotkaniach i rozmowach filozofów. Otóż jest faktem, że w epoce, kiedy bliski zdawał się kryzys egzystencji człowieka jako takiej, kiedy zarysowały się pierwsze oznaki świadczące o tym, że granice Europy są zbyt ciasne, aby pomieścić całą ludzkość, próbowano również stworzyć nowy sposób porozumiewania się i dyskusji między filozofami - mianowicie międzynarodowe kongresy. Pierwszy taki kongres odbył się w roku 1900 i był wielkim sukcesem. Pozytywizm w starym stylu wydawał się pobity na głowę, rodziły się nowe tendencje, porzucano tradycyjny neokantyzm, starano się zbudować na nowo logikę, cały system wiedzy ludzkiej znajdował się w ruchu. Nowa instytucja była aktem wiary w racjonalny humanizm, który drogą dyskusji stara się ustanowić głęboką jedność umysłów, stawiających sobie z całą ostrością problem par excellence filozoficzny - problem życia w prawdzie.

Oczywiście, nikt nie utrzymuje, że kongresy są miejscem wypracowania filozofii i czy też właściwej pracy filozoficznej. Jej warunkiem jest to, co dzieje się poza nimi: szkoły, samotne lektury i przemyślenia, pracownice dyskusje w małych kręgach. Ale z chwilą, gdy ta praca zostanie wykonana, wypada zadać sobie pytanie, czy samotna, prywatna myśl trafi też do przekonania innym. A rozpatrując tę myśl w kontekście tego, co myślą współcześni, wypada zadać sobie pytanie, czy nie znalazłoby się bratnie umysły zdolne ją objaśnić, przeciwnicy zdolni ją zaprzęgnąć, trudności wzajemnego porozumienia, które wyłoniłyby dotąd nie poruszane problemy.

Światowy kongres, który dziś zbiera się po raz piętnasty, może uważać się za instytucję dobrze zakorzoną, akceptowaną zarówno przez publiczność filozoficzną jak nie-filozoficzną. Oczywiście organizacja kongresu zmieniła się poważnie wraz z utworzeniem w 1948 roku Międzynarodowej Federacji Towarzystw Filozoficznych, która otrzymała prerogatywy i funkcje dawnego Stałego Komitetu Kongresów. Ale ta zmiana dokonana z myślą o ułatwieniu zewnętrznych spraw organizacyjnych, nie naruszyła przecież celu i charakteru Instytucji oraz jej kierowniczego komitetu. Wszelako poczynając od kongresu w Amsterdamie w 1948 roku można stwierdzić ogromny wzrost ilościowy. W kongresie uczestniczą już nie setki, ale tysiące. Zarazem zmienił się wyraźnie skład uczestników, nie rekrutują się już oni wyłącznie z Europy Zachodniej. Kongresy stają się coraz wyraźniej kongresami naprawdę światowymi. Należałoby tylko zapytać, w jakiej mierze kongresy te mogą jeszcze służyć podstawowemu interesowi filozofii, to jest dyskusji, w jakiej mierze służą tylko filozofom i w jakiej mierze sami filozofowie są tylko obiektem uniwersalnej, dominującej dziś tendencji do organizowania i zarządzania. Wydaje się rzeczą oczywistą, że filozofowie mogą odczuwać potrzebę spotkania się co jakiś czas ze sobą, ale to nie znaczy, że spotkania te wzbogacają filozofię. Otóż filozofie wzbogacają nowe idee, albo zawierania się dialogu. Ale nowe idee są dziełem wielkich filozofów, a wydaje się, że - w przeciwnieństwie do sytuacji z początku stulocia - filozofowie, którzy według jednomyślnej opinii określają charakter epoki, raczej unikali kongresów i pojawiali się na nich wyjątkowo. W pewnych środowiskach utrwalia się nawet opinia, że zresztą sympatyczna, że kongresy to rodzaj wywczasów, od których rygor filozoficzny stroni. Z drugiej strony liczebność kongresów wzrosła w sposób zgoła nieprzewidywany, mierzy się ją już nie w setkach, ale w tysiącach, organizacja stała się czymś niesłychanie skomplikowanym i kosztownym, tak że coraz bardziej staje się pomoc ze strony władz publicznych. Fakt, że rządy chętnie takiej pomocy udzielały wydaje się świadczyć o tym, że docenia się znaczenie filozofii w życiu publicznym - i to jednak rodzi problemy, jakich nie przewidywano w chwili, gdy ewolujała ta się rozpoczynająca. Dla filozoficznego charakteru kongresów wzrost ilościowy niesie poważne niebezpieczeństwo: dialog staje się bardzo trudny, jeśli nie wręcz niemożliwy. Albo w obrębie kongresu tworzy się coś w rodzaju wyspecjalizowanych kółek, a wówczas nasuwa się pytanie, czy nie lepiej byłoby porzucić na organizowaniu spotkań specjalistów, albo też namy do czynienia z monologami równoległymi, przy czym autorem często brak czasu na zaprezentowanie tem i szczerą chęć nawiązania kontaktu z myślą innych.

Zanotujmy jeszcze parę znamion tej ewolucji. Materiały kongresu, które z początku składały się na gruby tom całkowicie nadający się do czytania i studiowania w wolnym czasie, stały się wielotomowymi, trudno do dostępnymi podręcznikami. Fakt, że Europa przestała już reprezentować świat, znajduje odbicie w wyborze miejsc organizowania kongresów: wczoraj Stany Zjednoczone i Meksyk, jutro Indie. Jest to atrakcyjny sposób zaznajomienia filozofów ze współczesnym światem, rzecz niewątpliwie bardzo pożyteczna - niedawno jeszcze rola filozofa podróżującego zastrzeżona była dla hrabiego Keyserlinga. Oczywiście niewiele jest takich, którzy mogą pozwolić sobie na opłacenie kosztów uczestnictwa z własnych funduszy, co nie pozostaje może bez wpływu na skład kongresu, zwłaszcza jeśli organizuje się go w odległych stronach.

Jedyną instytucją filozoficzną prawdziwie międzynarodową - a tym są właśnie międzynarodowe kongresy - staje tedy w obliczu trudności wynikającej z natury epoki. Kongresy dostają się nieuchronnie w tryb tendencji do organizowania, koncentracji ilościowej, wykorzystywania skoncentrowanych sił, która to tendencja w epoce techniki ogarnia całą kulę ziemską. Oczywiście nie można oceniać tego stanu rzeczy tyl-

ko ze względu na jego niebezpieczeństwa i cienie, jakkolwiek dialog stał się w tych warunkach raczej powierzchowny. Aktualna sytuacja uzasadnia przecież także jakieś nadzieje, daje możliwości, których nie należy lekceważyć. Jeszcze w kongresie w Pradze w 1934 roku i w Paryżu w 1937 roku Związek Radziecki nie brał udziału. Zmieniło się to po drugiej wojnie światowej i można powiedzieć, nie popadając w przesadę, że na kongresie w Warnie Związek Radziecki i kraje socjalistyczne miały pod względem ilości bezsporną przewagę nad resztą uczestników. Kongresy zatem bliższe są prawdziwej uniwersalności, a uniwersalność, jakkolwiek jej treść doktrynalna jest w tym przypadku jeszcze dość wąta, jest cenną wartością, którą trzeba zachować za wszelką cenę i wbrew wszelkim zastrzeżeniom. Jeśli uniwersalność de facto góruje dziś nad uniwersalnością de iure, to przecież nie mamy prawa sądzić, że tak będzie zawsze. Trzeba oczywiście zdać sobie sprawę ze wszystkich niebezpieczeństw natury duchowej, jakie wynikają z tej sytuacji, zwłaszcza z niebezpieczeństwa usztywnienia pozycji ideologicznych i uniknąć ich taktownie, cierpliwie i wytrwale. Trzeba by również zadać sobie pytanie, w jakim stopniu technologiczne zagęszczenie rzeczywistości, które niewątpliwie wpływa na wewnętrzną formę światowych spotkań filozofów, obecne jest również w samej myśli filozoficznej, manifestującej się na kongresach. Warto zapewne wspomnieć w związku z tym, że na pierwszym kongresie ogromne wrażenie wywarła logistyka prezentowana przez Peana i Susseila, że kongres w Pradze asystował przy wspaniałej paradzie, w zwartym szyku, dawnego Koła Wiedeńskiego, i że dziś jeszcze daje o sobie znać płodny ferment tendencji ugruntowanych w reformie logiki i epistemologii. Trzeba by również wspomnieć o quasi-jednymyślnym dziś odrzuceniu metafizyki, za którym opowiadają się najróżniejsze tendencje, z różnych przy tym powodów i przy akompaniamencie wzajemnych oskarżeń o jej uleganie - od pozytywistów do marksizmu-leninizmu, przez niektórych fenomenologów, filozofie hermeneutyczne, i dziś już nie tak licznych - uczniów Heideggera.

Toteż kongres w Warnie, który w centrum dyskusji umieścić zagadnienie wzajemnych relacji między nauką, techniką i człowiekiem /ujętym w swojej "Istocie", z uwzględnieniem przysługujących mu właściwości bytu społecznego i historycznego/ można traktować jako refleksję filozofów nad aktualną sytuacją filozofii. Problem techniki nigdy dotąd na kongresach nie był tak wyeksponowany, a zawdzięczamy to prawdopodobnie inicjatywie filozofów marksistowskich, dla których dialektyka stosunków produkcji jest kwestia zasadniczą. Trzeba wszelako zaznaczyć, że w niedawnej jeszcze przeszłości problem techniki i jej istoty zwrócić uwagę filozofów niemarksistowskich. Można się było tedy słusznie spodziewać wymiany poglądów wyjaśniających współczesną sytuację, a jeśli do tego nie doszło, to nie z winy filozofów marksistowskich, którzy zrobili wszystko, aby wyraźnie określić swój punkt widzenia. Jeśli można było odnieść wrażenie, że wyzwanie to nie zostało podjęte, to dlatego, że stanowisko filozofów zachodnich w kwestiach zasadniczych nie było dość wyraźne. Refleksje świadczące o wybornym zdrowiu rozsądku, o technologicznym optymizmie, i pesymizmie, które powinny ustąpić miejsca technologicznej ostrożności, nie pozwalają wyczuć ogólniej, podstawowej koncepcji człowieka i jego rozumu; nawet prawdziwie głębokie uwagi o technice jako najwyższym wytworze rozumu analitycznego, przeciwstawianego rozumowi syntetycznemu i dialektycznemu, zdradzają tylko bardzo mgliste zarysy koncepcji człowieka i jego dziejów. Natomiast polemiki Amerykanów z antytechnologicznym sentymentalizmem znajdują raczej bytu w licznych Jeremiadach, których szeroki wybór zawierają materiały kongresu, a których zawartość filozoficzna jest nader wąta. W ten sposób dyskusja od początku rozprząsa się na kwestie powierzchowne, a brak jej wigoru tam, gdzie potrzebny jest poważniejszy wysiłek. Rzeczą charakterystyczną jest zarazem powierzchowny sposób rozumienia jednej z najbardziej oryginalnych myśli dotyczących problemów techniki, jakie pojawiły się w naszej epoce - myśli Heideggera. Przypisuje się temu myślicielowi rolę krytyka techniki w sensie trywialnym, gdy tymczasem dokonał on przede wszystkim odkry-

cia, na czym polega prawdziwy sens techniki, "istota" techniki, i na tej podstawie określił, na czym polega prawdziwe niebezpieczeństwo z jej strony - niebezpieczeństwa raczej przeczuwane niż definlowane przez krytyków sentymentalnych. Gdzie jest czymś charakterystycznym dla tej sytuacji, że jedyną stanowisko pozwalające nawiązać dyskusję z filozofią dialektyczną było przez filozofów zachodnich interpretowane nie mniej powierzczeniwnie niż przez innych, że nie odróżniano techniki od istoty techniki, że nie umiano nawet utożsamić ratunku /des Rettende/ przynajmniej w części z samą techniką, że sądzono, iż podaje się rozwiązanie tam, gdzie myśliciel dostrzegł tylko możliwości, nie troszcząc się zgoła o nowe rozumienie bycia, a tylko dorzucając do dzieła Haldeggera projekt działania społecznego. Z drugiej strony można było doskonale zdać sobie sprawę - na podstawie kilku zasadniczych referatów - że stwierdzona przez myśliciela z Fryburga niebezpieczeństwo utrały wizer ze źródłami rozumienia, jedności, "prawdy", zagraża niektórym myślicielom idącym śladem Marksa i ualfującym kontynuować jego myśli w wieku rewolucji naukowo-przemysłowej. Jeżeli za klucz do problemów wiaku techniki uznać tezę, że obecny system uruchamia "uprzedmiotowione, istotne siły człowieka społecznego" /co sugeruje jednocześnie jakiś rodzaj harmonii między samorządną techniką a socjalizmem/, łatwo ulec pokusie przekształcania filozoficznego problemu techniki w problem czysto techniczny. W rezultacie zapomniano powiedzieć, jaka jest istota tych sił. Czy to cybernetyka ma nam powiedzieć, jaka jest istota człowieka, czy też ta nauka o zarządzaniu procesem technologicznym prezentuje nam ową istotę w postaci, która, pretendując do obiektywności, stanowi tylko jej historyczny aspekt, czyż stkowa i niepełny? Ale czy te istotne siły człowieka, uruchamiane przez samorządną technikę zarządzaną, nie świadczą, nawet w tej formie, że są w gruncie rzeczy podstawą "sił" prawdy, zrozumiałej jasności tego, co jest? Jakże bowiem zarządzać, jak rozsiłd sobie prawo do całkowitego owardnięcia procesem opanowywania przyrody, jeśli podłożem tego procesu nie miałyby być jasność, odkrytość? Może dopiero wówczas, gdy postawimy problem na tym poziomie, można będzie zrozumieć zalety i niebezpieczeństwa techniki w jej istocie. Mówiąc o - u p r z e d m i o t o w i o n y c h - siłach ludzkich nie sposób uniknąć pytania, czy to uprzedmiotowienie "istoty", które polega na odkryciu, rozjaśnieniu tego, co jest, nie narusza owej istoty, czy też nieuchronnie ją niszczy? Tak więc zakończyliśmy naszą dociekania zbyt wczesnie zafascynowani środkami technicznym, który podaje się za to, co stanowi dopiero o jego możliwości - i daliśmy tym samym piękny przykład tego, jak w technicyzowanym stuleciu zarraca się bezpowrotnie pierwotna prawda - uderzająca zjawisko, niewątpliwie dobrze zakreślona w naturze naszych czasów.

Byłoby zapewne niesprawiedliwością powątpiewać o dobrej wierze tylu ludzi dobrej woli, wykazujących tyle energii i dysponujących taką wiedzą; wszystkich ich gazywało przekonanie, że oto bronią tego, co uznają za prawdę. Skąd zatem owe równoległe monologi, wygłaszane indywidualnie albo zbiorowo? Może szczerą i gorące przekonanie nie osiągnęło jeszcze zbawczego stadium filozoficznej niewiedzy? Ale te niewiedza, która jest pierwszym owocem dialogu, jest zarazem jego warunkiem, i chodzi może właśnie o to, by znaleźć sposób uruchomienia owego dobroczynnego sprzężenia zwrotnego. Sympozjum poświęcone dialektyce - zorganizowane przez Międzynarodowy Instytut Filozofii w ramach kongresu MFTF, podsunęło, jak się zdaje, jakąś możliwość w tym względzie, jakiś przykład do naśladowanie. Jeżeli konfrontacja marksistów z niemarksistami była tym, czego przede wszystkim po kongresie oczekiwano, to niewątpliwie przedmiotem zasadniczej dyskusji powinna stać się dialektyka marksistowska. Zaprezentowano więc najpierw dwa referaty o punktach wyjścia dostatecznie określonych i różniące się w paru kwestiach zasadniczych i dopiero po tej konfrontacji protagonistów przewidziano

Zapewniono tym samym pożytki z wstępnego określenia problemu i wyeliminowano wypowiedzi czysto retoryczne. Wkrótce zdano sobie sprawę, że, jeśli w kwestiach praktycznych poglądy uczestników stwarzają niemal pozór jedności, to w kwestiach takich jak natura logiki dialektycznej daleko jeszcze do pewności, a znacznie bliżej do owej filozoficznej niewiedzy. Z drugiej strony po tym, co powiedział o miejscu dialektyki Paul Ricoeur, trudno było zgodzić się na podaną przez autora interpretację ludzkiego działania - wzorem niektórych pozytywistów traktować dialektykę jako spekulatywną aberację, całkowicie oderwaną od rzeczywistości. Oczywiście można by pytać, czy - znakomicie zdefiniowane przez Ricoeura - miejsce dialektyki, osadzenie jej w ludzkim działaniu, nie jest określone przez sam fakt zetknięcia myśli z rzeczywistością, nie dających się przecież nigdy utożsamić; i można by w związku z tym załować, że stanowisko dialektyki negatywnej nie znalazło w dyskusjach oddźwięku. Ale chodzi tu nie tyle o dezyderaty, które zawsze łatwo wysuwać, ile o fakt, że piękna konfrontacja Ricoeur-Schäff pokazała nam drogę, którą kongresy powinny podążać w przyszłości, jeśli by, nie zadowolając się faktem, że oto stanowią wielki sukces, miały wzbogacić filozofie.

Niewątpliwie trzeba rozwiązać jeszcze wiele problemów, aby udział kongresów w określaniu świadomości współczesnej myśli osiągnął właściwą miarę. Trzeba by na przykład pomyśleć o tym, w jaki sposób uniknąć niezborności koncepcji, nie zawsze dosyć wyraźnie zaprezentowanych, o czym świadczą często materiały kongresu. Może by na przykład wyznaczyć referatom temat nadający się do prezentacji i dyskusji w trakcie posiedzeń, a odrzucać referaty, dla których stosowniejsza byłaby inna forma publikacji - przy czym stwierdzenie to nie ma bynajmniej umniejszać ich wewnętrznej wartości. Referaty powinny być przygotowywane z myślą o dyskusji, tam zaś, gdzie chodzi po prostu o zaprezentowanie własnych idei, których nie można przekazać w ciągu kilku minut, jakimi dysponuje mówca, byłoby może lepiej powstrzymać się od ich wygłaszania.

W sumie nie będzie chyba nadmiernym optymizmem wnioskować, że mimo wzrostu ilościowego, z całą pewnością nie sprzyjającego skupieniu, z którego może zrodzić się dialog, odczuwa się ogromną potrzebę dialogu nawet wówczas, gdy dialog taki zaledwie się nawiązuje. Nawet równieży monologi świadczą pośrednio o tej potrzebie, jako że są wygłaszane, a tym samym wystawiane na krytykę. Świat zjednoczony przez istotę techniki nie jest w pełni zadowolony z tego sposobu zjednoczenia i chciałby się zeń sam przed sobą wytłumaczyć: tak może trzeba interpretować ów paradoksalny sukces, jakim są, mimo wszelkich przeszkód i tarć, międzynarodowe kongresy filozoficzne w ogóle, a kongres warszawski w szczególności.

Jan Patočka
Przełożyła
Małgorzata Łukasiewicz

III. Reductio ad absurdum.

Wysiłki nad zbudowaniem teorii społecznej w oparciu o założenia filozofii dziejów - przyznającej zjawiskom społecznym określone cechy ontologiczne - okazały się bezpłodne. Odegrawszy pozytywne rolę heurystyczną, a także ideologiczną, przy próbach nagięcia do nich społecznej rzeczywistości przyczyniły się do pogłębienia dezorientacji. Główny spór dotyczy "praw społecznych" - czy w ogóle istnieją, jaki mają charakter, jakimi metodami do nich dojść? Czy niektóre zaczerpnięte z Hegla, a spopularyzowane przez szkołę marksistowską twierdzenia w rodzaju: "społeczeństwa rozwijają się poprzez /tzn. dzięki/ sprzeczności" - mogą być uważane za prawa? Twierdzenia w rodzaju przytoczonego mogą nawet odpowiadać naszej intuicji, bowiem w otaczających nas zjawiskach dostrzegamy pierzające się hierarchie sprzeczności: w społeczeństwie, w każdej grupie społecznej - wewnątrz i między grupami. Wjemy również, że sprzeczności były powodem decydujących o biegu historii przewrotów społecznych. Już jednak wstępna analiza musi ujawnić niejasność i wieloznaczność tego pojęcia, a także niemożność rozciągnięcia tego "prawa" na całe dzieje ludzkości. Człowiek współczesny kojarzy to przede wszystkim ze sprzecznościami klasowymi - ale przecież ludzkość jakoś "rozwijała się" także w czasach jaskiniowych, we wczesnych formach plemiennych, gdzie o sprzecznościach w dzisiejszym znaczeniu nie mogło być mowy. Pozostałyby tedy wielkie obszary czasowe, do których to uogólnienie znanych współcześnie zjawisk odnosić się nie może. Ale nawet w stosunku do współczesności tak sformułowane prawo nasuwa zasadnicze zastrzeżenia: po pierwsze, ponieważ nie można uznać sprzeczności za jedyny czynnik społecznego rozwoju, a po drugie, z większą słusznością można to twierdzenie odwrócić: sprzeczności nie są bynajmniej pierwotną cechą struktur społecznych, ujawniły się dopiero w toku ich rozwoju, są więc zjawiskiem wtórnym, skutkiem zmian zachodzących w społecznych systemach. Jakże są tedy przyczyny, siły motoryczne tych zmian? Uporczywie podtrzymywana metafizyka sprzeczności niewątpliwie utrudniła poszukiwanie racjonalniejszej odpowiedzi na to pytanie.

Z podobnym rezultatem można przeprowadzić analizę innych twierdzeń wywodzących się z filozofii dziejów. Wiele z nich zawiera nawet intuicje dające się potwierdzić wybranymi przykładami, ale żadne nie daje punktu wyjścia dla badania empirycznej rzeczywistości - nie daje się nią potwierdzić ani z niej wyprowadzić.

Odwrót od tego rodzaju totalnych generalizacji przybrał charakter radykalny. Kiedy mamy do czynienia z tak złożonym kompleksem zjawisk, jakim jest "społeczeństwo" czy "system społeczny", będziemy wobec niego bezradni, dopóki nie odnajdziemy jakiegoś nici prowadzącej w głąb tego labiryntu, dopóki nie odgadniemy zasady jego struktury, takiego elementu, który odgrywa w niej dostatecznie samodzielną rolę i który możemy uznać za składnik pierwotny, nie dający się dalej rozłożyć ani do czegoś innego sprowadzić. Codzienne doświadczenie podpowiada nam, iż elementem takim jest jednostka, ludzkie indywidualum. Ono jedyne jest konkretem podlegającym naukowemu badaniu, ono jedyne może być uważane za czynnik motoryczny zmian i procesów zachodzących w społeczeństwie. Wszystkie pojęcia kolektywne, takie jak społeczeństwo, naród, państwo, grupa czy klasa społeczna - są terminami metaforycznymi, hipotazami, ponieważ przedmioty takie z empirycznego punktu widzenia nie istnieją, każde postępowanie badawcze będzie miało do czynienia z ludzkimi indywidualami, a wszystkie twierdzenia

o kolektywach dają się sprowadzić do zdań orzekających o jednostkach.

Koncepcja taka natrafia jednakże w swych konsekwencjach na zasadnicze trudności, jednostka ludzka okazała się sfinksem zadającym naukom społecznym nierozwiązalną zagadkę. Jakże jest jej miejsce i rola w społecznych zbiorowościach? Czy i w jakiej mierze może być uważana za autonomiczny element społecznej struktury? Obydwa kierunki, w jakich idą odpowiedzi, nie mogą zadowolić. Indywidualizm /zarówno ontologiczny, jak i metodologiczny/ przeczy doświadczeniu, które wskazuje na zależności, jakimi skrupowana jest jednostka - podważa to zasadniczą tezę, iż zdania o kolektywach dają się sprowadzić do zdań o jednostkach, i podpowiada, że pierwotnym elementem konstrukcyjnym powinno być coś, od czego jednostka zależy i czego jest składową częścią. Z drugiej strony koncepcje holistyczne, uznające prymat tworów kolektywnych, których jednostka jest tylko refleksem, budzą zastrzeżenia z przeciwnych powodów; nie wytrzymuje krytyki zbyt daleko idące ubezwłasnowolnienie jednostki, całkowite podporządkowanie jej dyrektywom - bodźcom płynącym ze społecznego środowiska. Potoczne doświadczenie wskazuje, że nawet przyjmując uzależnienie jednostki, musimy uznać, że potrafi ona wnieść do społecznego życia elementy "własne", których nie można wytłumaczyć żadną metodą "odbicia" czy uwarunkowania. Instynktownie bronimy się przed taką deprecjacją ludzkiej osobowości i negowaniem roli ludzkiego geniuszu.

Zresztą w polemice z koncepcjami holistycznymi nie te filozofujące rozważania odegrały główną rolę. Trudność podstawowa wyniknęła z przyczyn formalnych - metodologicznych, z faktu, iż każda procedura badawcza dojść musi do głównego empirycznie uchwytne konkretnego - do jednostki, ludzkiego indywiduum. Jeśli chcemy zbadać, jakie jest społeczeństwo, do czego dąży dana klasa społeczna, musimy badać indywidua - składowe cząstki tych kolektywnych pojęć. Zdania wypowiedziane o tych kolektywach będzie sądem bezpodstawnym, jakąś ideologiczną deklaracją, dopóki nie poprzemy go badaniami dokonanymi na jednostkach. Stąd już blisko do zanegowania realności pojęć kolektywnych, uznania ich za hipostazy.

Tak w uproszczony sposób można przedstawić spór rozgrywający się przed naszymi oczami w naukach społecznych. Problem to nie nowy. Już w pierwszej połowie XIX wieku pisał J.S.Mill, że "prawa dotyczące zjawisk społecznych są i mogą być nie tylko prawami działań i uczuć, jakich doznają istoty ludzkie", że również w stanie społecznym "ich działania i uczucia postuszne są prawom indywidualnej natury ludzkiej". /System logiki, ks.VI, r.VII/. Pogląd ten nigdy w istocie nie wygasał, ale obecnie odżył za szczególną siłą dzięki udoskonalonym metodom badań, które wywołują wrażenie, iż wymięty jego główne niedogodności.

Stoi tedy pytanie: czy podstawowym elementem konstrukcyjnym społecznego całości /kolektywów/ jest indywiduum i czy wobec tego wszystkie zdania /twierdzenia, prawa, teoria/ nauk społecznych są sprawdzalne - redukwalne - do zdań o jednostkach, ich działaniach i uczuciach? Są kierunki odpowiadające na to pytanie zdecydowanie pozytywnie i konsekwentnie głoszące, że socjologia daje się zredukować do psychologii. x/ Większość socjologów zajmuje stanowisko znacznie os-

x/ J.W.N.Watkins: "Badacz społeczny może kontynuować wyjaśnianie zjawisk społecznych aż do sprowadzenia ich do kategorii psychologicznych. Nawet zjawisko o szerokiej społecznej skali, jak np. inflację, Watkins sprowadza do twierdzeń o dyspozycjach, przekonaniach i stosunkach między indywiduami.

/Historical Explanation... British Journal for the Philosophy of Science, 8, 1957 /.

trońniejsze, w rozmaity sposób wymijając psychologizyczne konsekwencje uznania indywidualium za podstawowy empirycznie uchwytany element zjawisk społecznych. Najczęstszą metodą wymijania tej trudności jest rozszerzenie punktu odniesienia - twierdzenie, iż zjawiska społeczne sprowadzalne są nie do samych zachowań jednostek, ale także do ich stosunków z innymi jednostkami.

Podkreślić należy, że to wyminięcie psychologicznego "egotyzmu" jest jednak pozorne - jego sens zależy od nierozstrzygniętego problemu, w jakim charakterze jednostka jest elementem zjawisk społecznych. Jeśli działania grup społecznych sprowadzalne są do działań jednostki wynikających z jej stanów psychicznych, to z tych samych źródeł mogą wynikać również jej stosunki z innymi jednostkami - i one są wyrazem jej emocji i stanów świadomości, a zatem obracamy się ciągle w tym samym kole psychologii. Gdybyśmy chcieli, aby rozszerzenie to wyszło poza indywidualne emocje, nie było czysto woluntarystyczne, musielibyśmy przyjąć dodatkowe założenie o jakiejś zobiektywizowanej zależności jednostki od czynników zewnętrznych, tzn. przyjąć całkiem odmienną teorię, odrzucającą tak pojęty redukcjonizm, czyli odrzucić metodologiczny indywidualizm na rzecz jakiegoś kolektywizmu. x/

Jawna sprzeczność uderza w stanowisku Nagela, który mówi o dedukcji "twierdzeń o zbiorowych zjawiskach społecznych z twierdzeń o dyspozycjach, przekonaniach, środkach i wzajemnych powiązaniach jednostek" /Struktura nauki, s. 465/. Jeśli owe "wzajemna powiązania" wynikają z jakichś obiektywnych układów poza jednostkami, w takim razie zdania o kolektywach nie są sprowadzalne do zdań o jednostkach i nie dadzą się z nich wydedukować. Ponieważ niemal wszystkie ważne społecznie akty wynikają ze wzajemnych powiązań jednostek, przeto akty wynikające z wewnętrznych stanów jednostek sprowadzają się do jakiejś marginalnej roli. O sprzeczność tę potykają się wszystkie próby redukcjonizmu, które chcąc uniknąć psychologizycznych konsekwencji budują swoje konstrukcje w abstrakcyjnej przestrzeni między jednostką a kolektywem, między indywidualizmem a holizmem. Sprzeczność tę nie trudno wykryć, u wielu polskich metodologów /A. Małowski, P. Sztompka i in./. Nota bene, do tego kierunku nie należy zaliczać stanowiska, jakie zajmuje w swych metodologicznych pracach Stefan Nowak, w którym "redukcja" jest po prostu metodą logicznej procedury w uzasadnianiu twierdzeń przez ich sprowadzenie do innych twierdzeń empirycznie zweryfikowanych. xx/

Statystyczne złudzenia

Pożywką, na której bujnie rozwijają się w ostatnim okresie teorie i metodologie współczesnej socjologii, stała się statystyka i statystyczne metody. Nie chcemy tu niczego złego powiedzieć o statystyce ani podważać jej znaczenia czy skuteczności jej metod. Bez statystyki życie współczesnych zbiorowości społecznych byłoby niemożliwe, nie byłoby możliwe jakiegokolwiek planowanie czy nawet zwykłe

x/ Przykładem może być stanowisko K. Poppera, który przyjmuje, że działania kolektywów są sprowadzalne do działań jednostek, ale równocześnie zastrzega się, że psychologiczne metody są nieporozumieniem. /Open Society, II, s. 87/.

xx/ Metodologiczne problemy teorii socjologicznych, 1971, oraz: Studia z metodologii nauk społecznych, 1965. S. Nowak/red./

administrowanie. Jednakże musi budzić krytyczne refleksje robienie ze statystyki głównego filaru mającego podtrzymać całą konstrukcję nauk społecznych. Mogłoby się wydawać, że oto w naszej epoce spełniają się nadzieje życiowe już w początkach ubiegłego stulecia o nadejściu takiego dnia, kiedy statystyka rozwiąże wszystkie problemy. x/

Zrozumiałe jest zainteresowanie nauk społecznych statystyką i coraz szersze stosowanie w badaniach jej metod, ale zauważyć trzeba, że rola, jaką im się przypisuje, daleko wykracza poza to, co metody te zawierają mogą. Powszechnie uważa się, że metody te nie tylko uleczyły nauki społeczne z chronicznej choroby, jaką był brak płaszczyzny empirycznej konfrontacji teorii ze społeczną rzeczywistością, z konkretnymi, uchwytymi faktami, ale że dały one coś o zasadniczym teoretycznym znaczeniu: rozwiązały konflikt /czy niewspółmierność/ między zdaniami o jednostkach i zdaniami o kolektywach - społeczeństwie. Metody statystyczne badają jednostki i jednostkowe fakty i na ich podstawie formułują sądy o całościach, ustalają prawa obowiązujące zarówno kolektywy, jak i objęte nimi jednostki. Metody statystyczne rozwiązały wreszcie odwieczny spór filozofów o determinizm i indeterminizm, konieczność i przypadek. Wszystkie te starożytnie pojęcia zastały zdezaktualizowane, zastąpione teorią prawdopodobieństwa. Nic nie jest konieczne ani nic nie jest przypadkowe - wszystko jest prawdopodobne i stopień tego prawdopodobieństwa zawsze możemy obliczyć z dokładnością do którejś tam cyfry po przecinku.

Można by sądzić, że metody statystyczne oddały naukom społecznym przynajmniej tę przysługę, że zwolniły je od konieczności przynierania się do fizykalnego determinizmu - gdyby nie ten fakt, że i w naukach przyrodniczych rygorystyczny determinizm coraz szerzej zastępowany jest teorią prawdopodobieństwa, a badacze społeczni dla parcia swego stanowiska powołują się na te właśnie przykłady. Jest to nic innego, jak - nie zawsze świadome - sprowadzanie innymi drzwiami nauk społecznych do nauk przyrodniczych.

Zasadnicze zastrzeżenia wobec przypisywanej metodom statystycznym roli dla nauk społecznych dają się streścić w następujących punktach:

1/ Statystyczne metody badania zjawisk ilościowych, kwantyfikowanych nie dają się przenieść na zjawiska, które kwantyfikować się nie dają. Do takich zaś należą zarówno stany świadomości, jak i zachowania z nich wynikające. Aby to było możliwe, musielibyśmy przyjąć założenia, że określone obserwowalne zachowania odpowiadają /czy są wyrazem/ określonym stanem świadomości czy emocji, zaś takie założenie byłoby jawnie fałszywe. Empirycznie bowiem wiadomo, że analogiczne stany świadomości mogą wywoływać różne zachowania i na odwrót - podobne zachowania mogą wynikać z odmiennych stanów świadomości. Zamykając oczy na te niewspółmierności prowadzi do takich dziwołagów, jak podejmowane próby statystycznego ustalania związków między "świadomością" a "bytem".

2/ Statystyka stwierdza "współwystępowanie", a więc "statysty -

x/ "pourquoi ne parviendrait-on pas un jour à dresser des tables qui contiendraient la solution de toutes les questions politiques; d'après les connaissances de statistique, d'après les faits positifs que l'on recueillirsit dans chaque pays? / le calcul de probabilités/ "presente un resultat moralement infallible". De Staël Oeuvres Complets, 1820, t. IV. s. 522.

czną zależność" zjawisk. Interpretacja tej zależności prowadzi do fałszywych i banalnych wniosków. Nie jest winą statystyki, że nie ustala związków przyczynowych - nie jest to jej zadanie. Wskazywane przez nią "zależności statystyczne" są zapewne cennym materiałem, ale muszą zostać poddane specjalnej obróbce na warsztatach socjologów przy pomocy odmiennych metod. Metody statystyczne sugerują rozumienie związków między zjawiskami według zasady "post hoc ergo propter hoc", którą już starożytni uznali za fałszywą.

3/ Wszystkie zależności /prawa/ ustalane metodami statystycznymi mają w istocie charakter jednograzowy - przedstawiają stan w danym momencie i w danej społecznej zbiorowości. Nawet uporczywie powtarzające się zależności podlegają wahaniom i nie dają podstawy do przewidywania, zwłaszcza w dłuższej skali, o czym wie doskonale społeczna praktyka.

4/ W związku z uważą 1/ słowo należy się także ankietowej metodzie zbierania danych indywidualnych. Oprócz "nieprzekładalności" indywidualnych stanów świadomości i emocji dwa czynniki podważają wartość tych metod: wieloznaczność pojęć i terminów i różne ich rozumienie przez ankietarę i respondenta, po drugie, istnieje wiele przyczyn indywidualnej i społecznej natury powodujących, że respondent może nie chcieć ujawnić swego rzeczywistego "stanu świadomości", a nawet rzeczywistych faktów.

5/ Metody statystyczne są źródłem nieporozumienia o zasadniczym dla teorii społecznej znaczeniu - wymijają one i gubią problem społecznej struktury. Jednostką poddawana badaniu jest wyabstrahowane Indywidualium, w konsekwencji otrzymujemy obraz społeczeństwa zatomi-zowanego, rozproszonego na niezależne od siebie jednostki, którym dopiero stwierdzenia statystyki nadają zarysy jakichś doraźnych aglomeracji.

W konsekwencji stosowania empirycznych badań metodami statystycznymi w naukach społecznych doszło do prawdziwej inflacji "praw" społecznych /czy socjologicznych/, każdemu, najbardziej nawet doraźnemu, stwierdzeniu nadaje się tytuł "prawa" - w powodzi tych praw gubi się sens i cel badań, a stan naszej wiedzy o społeczeństwie coraz bardziej przypomina stan poprzedzający stworzenie świata.

Pojęcie "struktury funkcjonalnej"

Wróćmy do pytania - co jest elementarną częścią społecznych zbiorowości, od której wychodząc można by interpretować zachowania Indwiduów i szukać prawidłowości tymi zachowaniami rządzących? Odpowiedź na to pytanie rozwiązywałaby zarazem zagadkę stosunków jednostki z innymi jednostkami. Skoro bowiem nie możemy przyjąć, że stosunki te są całkowicie woluntarystyczne, zależne jedynie od stanów świadomości i emocji jednostki, musimy przypuścić, że zależą one od jakiegoś zobiektywizowanego układu narzucającego jednostce sposób zachowania.

Zwróćmy uwagę, że nie tylko indywidualizm /metodologiczny/, sie i stanowisko holistyczne za podstawowy składnik struktury kolektywów przyjmują ludzką jednostkę. Z tą różnicą, że indywidualiści robią to explicite, holisci zaś w sposób zamaskowany. Jeśli holisci powiadają, że nie wszystkie właściwości kolektywów dają się sprowadzić do cech Indwiduów, nie oznacza to jeszcze odrzucenia Millowskiej tezy, że prawa społeczne są wynikiem praw rządzących ludzką naturą. Nie dano bowiem odpowiedzi, czym jest owa emergencja - ujawnianie się cech kolektywów. Pierwszym przypuszczeniem będzie, że obok właściwości, jakie ujawnia pojedyncze Indywidualium, są i takie, które ujawnia ono jedynie w kolektywie, że innymi słowy "emergowane" cechy również wynikają z ludzkiej natury.

Inaczej stawia sprawę tylko ta odmiana holizmu, jaką reprezentuje klasyczny marksizm przyjmujący a priori ontologiczne założenie, że cechy jednostki są tylko odbiciem cech społecznych kolektywów.

Podkreśliłiśmy, że idzie o "klasyczny marksizm", ponieważ większość współczesnych zwolenników tej szkoły, wobec trudności powiązania metafizycznego założenia z badaniami empirycznymi, przechodzi na pozycje, które charakteryzowaliśmy omawiając konsekwencje metod statystycznych. W rezultacie prowadzi to, acz okreśną drogą, do akceptowania przez marksistów maskowanego i pełnego sprzeczności indywidualizmu.

Emergencja jest pojęciem banalnym z wielu powodów. Jako zwykła definicyjna tautologia pozbawiona jest wartości eksplikacyjnych. Teoria emergencji przyjmuje, iż:

społeczeństwo = cechy jednostek + emergencja cech kolektywnych, ale równanie to pozbawione będzie znaczenia, dopóki nie określimy różnic między cechami jednostek a cechami kolektywów i roli, jaka ta różnica odgrywa dla społecznych zachowań jednostki. Teoria ta, przyjmując realność pojęć kolektywnych, zawiesza je w próżni - wprawdzie mówi się, że kolektywy tworzą jakiś hierarchiczny układ, w którym na coraz wyższym szczeblu ujawniają się coraz nowe właściwości /Nagel, s. 319/, brak jednak jakichkolwiek sugestii co do zasady tej hierarchii. Narzuca się tu to samo pytanie, do czego sprowadzalne są owe kolektywy /jeśli nie do jednostek/, czy jest jakaś ogólna rządząca nimi zasada, czy też istnieją jak niezależna od siebie systemy w ogólnej społecznej galaktyce?

Czytelnik zauważył, że krążymy tu wokół zagadnienia narzuconego nam przez uporczywe codzienne doświadczenie, że społeczeństwo - mamy tu na myśli społeczeństwo "globalne", a więc autonomicznie funkcjonujący system społeczny - nie składa się z "wolnych atomów", którymi byłyby bądź jednostki, bądź jakieś nieokreślone kolektywy. Każde społeczeństwo jest jakoś ustrukturuwane, przy czym zaujemy, że zasadą tej struktury nie jest statyczna hierarchia, lecz jakaś zasada funkcjonalna określająca wzajemne zależności i powodująca, że wszystkie elementy od jednostek po kolektywy wysokiego rzędu krążą po wyznaczonych orbitach tworząc to, co nazywamy systemem społecznym. Co jest elementarną cząstką tego układu i jaka rola w nim przypada jednostce?

Przyjrzyjmy się następującemu układowi. Czterech panów siedzących w pokoju tworzy "grupe towarzyską", którą łączą wzajemne stosunki w wielu płaszczyznach. W płaszczyźnie psychologicznej mogą ich łączyć różne stopnie sympatii bądź niechęci, w płaszczyźnie społecznej mogą stać na różnych szczeblach hierarchii - zwierzchnictwa i podległości itd. Z chwilą, kiedy panowie ci zasiadają do brydża, następuje "emergencja", ponieważ czynności brydżowe nie dają się sprowadzić do czynności każdego z tych czterech indywidualów ani do innych stosunków między nimi. Ich wzajemne "pozabrydżowe" stosunki osobiste i pozycje społeczne przestają odgrywać rolę, co więcej, przestają odgrywać rolę indywidualne cechy ich osobowości /takie np. jak temperament/ - wszystkie one podporządkowane są czynnikowi obiektywnemu: regułom gry, one regulują ich stosunki, decydują o zachowaniu. Obiektywnym czynnikiem jest wzajemna umowa o podporządkowaniu się znanym regułom gry oraz każdorazowa sytuacja wynikająca z rozkładu kart. Pojawia się tu struktura funkcjonalna, która nie tylko ogranicza wolę, tzn. indywidualne cechy jednostek, ale wręcz wprzęga tę wolę w ramy narzucone regułami, ponieważ tylko w tych ramach i poprzez ich wykorzystanie możliwe jest osiągnięcie indywidualnych celów - wygranej.

W przykładzie tym mamy do czynienia ze strukturą funkcjonalną dobrowolną i czasową - stosunki istniejące między jednostkami w toku gry ustają wraz z jej przerwaniem. W społecznej rzeczywistości jednostka włączona jest do jakiejś, a z reguły do więcej niż jednej, struktury funkcjonalnej, przynależność do której nie ma charakteru dobrowolnego, struktury te mają przeważnie charakter trwa-

ty lub długotrwały. Prawda - jednostka ma pewną możliwość wyboru, przejścia z jednej takiej struktury do innej, /np. zmienić miejsce pracy/, ale to nie zmienia omawianej tu zasady. Pojęcie struktury funkcjonalnej jest bezpośrednim następstwem społecznego podziału pracy. Funkcje, jakie ma do wykonania każdy kolektyw /a od ich wykonania zależy realizacja celów każdej należącej do kolektywu jednostki/, narzucają określone metody, "reguły gry", wyznaczają jednostkom zadania i miejsce w funkcjonalnej strukturze. Reguły te i wyznaczone miejsce absorbują wolę i indywidualne cechy jednostek bądź całkowie - co jest tak uderzające, jak podkreślają antropologowie, w społeczeństwach pierwotnych - bądź też, jak to ma miejsce we współczesnych rozwiniętych społeczeństwach, zostawiając jednostce jakiś zakres swobody, jednostka nie musi całkowie utożsamiać swej świadomości z wymogami narzuconymi przez funkcjonalne struktury.

Rozluźnienie tej zależności jest jednym z bardziej charakterystycznych procesów zachodzących przede wszystkim w obrębie cywilizacji zachodniej, ale problemu tego tu nie podejmujemy. x/ Jeśli wynikiem stąd, iż w społeczeństwie współczesnym jednostka może nie utożsamiać swej świadomości z systemem reguł narzuconych jej przez struktury funkcjonalne, że może te reguły naruszać i buntować się przeciwko nim - zachowywać się "anomicznie" - to przecież każde jej zachowanie jest zachowaniem wobec reguł, struktury funkcjonalne będą tu zawsze punktem odniesienia. W tym sensie każde zachowanie jest zachowaniem społecznym.

Struktura funkcjonalna jawi się nam jako elementarne pojęcie leżące u podstaw wszelkich zjawisk społecznych, pojęcie szerokie, a przecież w każdym przypadku dające się empirycznie skonkretyzować. Tym wszystkim, którzy działania ludzkie chcą traktować jako podstawowy element społecznych zjawisk, trzeba przypomnieć, że działania indywidualne rozpatrywane w oderwaniu od funkcjonalnej struktury pozbawione jest sensu - sens ten wyłania się dopiero z korelacji z innymi działaniami w określonych ramach funkcjonalnych. Nawet tak indywidualne działanie, jak koncipowanie filozoficznego systemu - właściwego sensu nabiera dopiero w korelacji z istniejącymi już systemami.

Spór o to, co jest wcześniejsze: jednostka czy społeczeństwo, jest sporem czysto scholastycznym wynikającym z fałszywego postawienia problemu. Empirycznego faktu, że człowiek istnieje tylko w społeczeństwie, nie można interpretować ani psychologicznie, ani biologicznie /przez odwołanie się do jego natury/, ani metafizycznie /jako jego przeznaczenia czy misji/. Fakt ten nie daje punktu wyjścia ani dla koncepcji indywidualistycznych, ani holistycznych, przynajmniej w ich dotychczasowych wersjach.

Termin "struktura funkcjonalna" może być uważany za bliskoznacznik bardziej spopularyzowanego pojęcia "instytucji", które jednak w rezultacie szerokiego stosowania stało się nazbyt wieloznaczne i zatraciło swoje pierwotne znaczenie elementarnej formy integrującej grupę jednostek i narzucającej jej określone działania czy zachowania.

Oczywiście można argumentować, że zależności funkcjonalne nie wyczerpują cech i możliwości ludzkich indywidualów, że jednostka może dokonywać aktów i przeżywać stany /emocjonalne i świadomościowe/, które mogą nie mieć bezpośredniego odniesienia do żadnej funkcjonalnej struktury. Wszystkie tego rodzaju zachowania - z inwencją kreatywną włącznie - stanowią, mówiąc metaforycznie, rodzaj "międzykomórkowej" substancji" stanowiącej rezerwową pokarm dla funkcjonalnej struktury. Właściwego społecznego sensu nabierają one w chwili, kiedy zostają przyswajane /lub w inny sposób zauważane/ przez istniejące struktury

x/ Czytelnika odsyłamy do: W. Biełkowski, Teoria i rzeczywistość, r. VII, Jednostka przeciw społeczeństwu.

ry, bądź dają impuls do powstania nowych. Wydaje się, iż wielu nieporozumień można by uniknąć przez rozróżnienie dwójnego znaczenia przymiotnika "społeczny". W ogólniejszym sensie każdy akt i każdy stan jednostki jest *ex definitione* społeczny, ponieważ dotyczy elementu społecznego kolektywu. W węższym i ściślejszym sensie "społeczne" stają się akty i stany mające bezpośrednie odniesienie do funkcji spełnianych przez istniejące struktury. Pomędzy tymi dwoma znaczeniami rozciąga się przestrzeń, którą filozoficzna refleksja może uważać za strefę egzystencjalnej wolności i rozszerzać ją aż do kosmicznych obszarów.

Staraliśmy się uzasadnić, że procedura redukcyjna nie może prowadzić do jednostki, ponieważ z tego poziomu żadne stopnie nie prowadzą do "zjawiska społecznego". Wskazaliśmy również, że poszukiwanego wyjścia nie daje rozszerzenie na "stosunki między jednostkami", ponieważ popadamy tu w logiczną i metodologiczną sprzeczność. Przytoczyliśmy także argumenty przeciwko holizmowi zarówno w jego metafizycznej jak i pseudoempirycznej postaci. Próbowaliśmy równocześnie wskazać podstawową zasadę integracji przekształcającą indywidualne istoty ludzkie w zjawisko społeczne. Rozważenia wysuniętych tu problemów jest pilną koniecznością dla nauk społecznych zawistych między niebem metafizyki a ziemią empirii. Jedną nogą opierają się na obłokach filozoficznych założeń, których główną wadą jest nie tyle ich aprioryczność, ile po prostu nieadekwatność, wręcz nieprzydatność dla analizy konkretnych zjawisk. Za to druga ich noga ugrzeźta w miążskim piasku uchwytnych dla doświadczenia faktów, z analizy których nic nie wynika dla zrozumienia zjawisk i procesów. Głównym niebezpieczeństwem jest złudzenie szerokiej swobody, z jakiej nauki te mogą korzystać w tej abstrakcyjnej przestrzeni - mogą dokonywać lotów w dowolnym kierunku i czerpać według upodobań /wygody lub przyzumu/ z dowolnych elementów filozofii i doświadczeń.

Najlepiej stosunkowo wychodzą z tej sytuacji historycy - wszak ich zadanie sprowadza się w istocie do swoistej "syntezy" polegającej na ilustracyjnym traktowaniu faktów dla uzasadnienia takiej czy innej filozoficznej koncepcji dziejów. Analogiczna metoda stosowana przez socjologów /jak dowodzą doświadczenia socjologii nie tylko marksistowskiej/ zaprowadziła na beznadziejne miazginy.

/dokończenie nastąpi/

Andrzej Drawicz i Jerzy Markuszewski

CO NAM ZOSTAŁO Z STS-u

/rozmowa po latach/

MARKUSZEWSKI: Co to jest tradycja STSu? Czy taka tradycja istnieje, czy możliwa jest do zdefiniowania? Przede wszystkim jest tych tradycji wiele. Ale ja zastanawiałbym się najpierw, co z tej tradycji zostało w ludziach, którzy przez STS przeszli. Jako wykonawcy, autorzy, brygada techniczna, w której przecież także pracowali studenci. A także jako widzowie. Włóż co z STSu zostało w tej widowni, skoro mówi się niekiedy, że STS przeszedł do historii jako pieszczoch publiczności i prasy?

DRAWICZ: Z małymi wyjątkami...

MARKUSZEWSKI: Ba, ja uważam, że prawie nigdy tak nie było. Wcale nie był takim pieszczochem, w gruncie rzeczy dosyć dzielił widownię.

DRAWICZ: Prawdziwym pieszczochem był Bim-Bom.

MARKUSZEWSKI: Też tak sądzę, i to wcale nie jest pretensja. My w STS-ie popełniliśmy przecież mnóstwo błędów. Myślę, że przejechał się po tych błędach po kolei, to byłby zarazem obraz odwrotności błędów całego państwa. Bo my, przeciwstawiając się temu, co się dzieje, robiliśmy błędy przeciwnie.

DRAWICZ: Ale najpierw opowiedz, jak powstał STS. Od początku.

MARKUSZEWSKI: Banalnie i, jak zwykle, przez przypadek. Jak wszystko w tym kraju. A tym różnią się może ostatnie czasy od tamtych, że STS został przez ówczesną władzę niejako powołany. W 1954 roku, po śmierci Józefa Stalina, to było czytelnym zbiegiem okoliczności. Byliśmy - ta grupa, która potem znalazła się w teatrze - w tę rzeczywistość bardzo idealowo zaangażowani, ale zarazem tacy byliśmy lewi i tyle mieliśmy przykrości w najmniejszych instancjach zetempowskich uczelni, że w końcu, jako ludzi jednak utalentowanych, przesunięto nas do ZSP. To znaczy nie robiliśmy kariery zetempowskiej, lecz zetespowską, co w hierarchii było jednek trochę gorsze.

DRAWICZ: Myśmy byli typowi "poputczycy" według terminologii radzieckiej, i używano nas do "pracy kulturalnej".

MARKUSZEWSKI: Bo na przykład myśmy cieszyli się życiem - co było wtedy niemożliwe, odwrotnie niż teraz. Władza uważała wówczas, że należy być ascetycznym i wyzbyć się wszystkiego dla dobra ogółu, teraz natomiast uważa, że wszystko już lepsze, byle się ktoś sprawom ogółu nie zajmował.

DRAWICZ: Wracając do STSu...

MARKUSZEWSKI: Byłem wtedy przewodniczącym od kultury w Radzie Okręgowej ZSP, ty natomiast byłeś przedstawicielem ZSP na Uniwersytecie. Studenckimi polonistykami byli wtedy Abramow i Jarecki, Marek Łusztig był na rusycystyce. Abramow zainteresował się wówczas zespołem, który prowadził Henio Malecha, bo to były takie czasy, że każda grupa na uczelni miała swój zespół artystyczny. Przypadek zarządził, że i ja przyszedłem na próbę tej grupy.

DRAWICZ: Nie przypadek, bo ja ci o niej powiedziałem.

MARKUSZEWSKI: W każdym razie pierwsze próba, na którą przyszedłem, by obejrzeć ten zespół, już z perspektywą, że trzeba się nim zająć, była 13 marca 1951 ...

DRAWICZ: ... Na Konopnickiej. Wszliśmy wtedy pierwszy raz do prawdziwych garderób, z jakimś takim nabożeństwem. Potem wszyscy wychodzili na scenę i mówili jakieś takie teksty, któreś ty z nimi z grubsza opracował. I to był moment, od którego liczymy narodziny STS-u. Bo przedtem to był taki zespół, typowy zespół z czasów żetempowskich. Dwie dziewczynki, które śpiewały w duecie radzieckie piosenki liryczne i uniwersalny komik od monologów, Henio Małecha. A jeszcze przyprowadziłeś do tego takiego ostrego recytatora, takiego, co warczał: "brrrr, takie nerrrry, nerrrry, nerrrry, cholera", był taki tekst. To się potem w całość sklepywało konferansjerką albo parodią, gdzie się wszystko już wiązało ze wszystkim. Na przykład: "dziecinie leczą nasze odprutowce, a teraz nasza koleżanka zaśpiewa Szta dziewczeczka do laseczka".

MARKUSZEWSKI: Albo też nawiązywało się do sytuacji międzynarodowej. W jednym z naszych pierwszych przedstawień konferansjer za każdym razem wychodził i rozpościerał mapę - i publiczność już wyła że śmiechu. Nic nie mówił, tylko wychodził, rozpościerał mapę - ryk - i mówił: "a teraz będzie piosenka". Bo też nikogo nie interesowało, jakie będą przesunięcia w Afryce i gdzie zwyciężamy, a gdzie przegrywamy.

DRAWICZ: Nigdzieśmy nie przegrywali.

MARKUSZEWSKI: To prawda.

DRAWICZ: Wnec 13 marca była pierwsza nocna próba w Domu Studenta, a następnego dnia pokaz. Ale, oczywiście, takie zupełnie przypadkowe to jednak wówczas nie było. Powstanie teatru wiązało się z ówczesnym kryzysem świadomości, z którego nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy. Jest rok od śmierci Stalina. Na uniwersytecie "życie kulturalne", rozdymane przy pomocy różnych akcji, jest w gruncie rzeczy całkowicie skompromitowane. Wytworzyła się taka "próżnia ssąca", zapotrzebowanie na formy lżejsze, ale przecież nie na samą rozrywkę: istnienia tej potrzeby dowiodło potem mnóstwo teatrów, które powstały natychmiast po STS-ie. No i jeszcze warto pamiętać, że pierwsza premiera STS-u odbyła się w tym samym miesiącu, w którym ukazał się pierwszy odcinek Odwiliży Erenburga w miesięczniku Znamia, czyli w maju 1954.

MARKUSZEWSKI: Co mogło być czystym przypadkiem, ale z dzisiejszej perspektywy to już tak nie wygląda.

DRAWICZ: A jednocześnie ciągle mieliśmy dziwne problemy. Kiedy umarł Bierut w 1956 roku, w STS-ie rozgorzała szalona dyskusja czy w takiej sytuacji należy organizować zaplanowaną potańcówkę, czy lepiej z niej zrezygnować. Zachował mi się w archiwum taki dokument, list obiegowy, na którym zbierano podpisy. Coś takiego: "Kto się opamiętał i chce urządzić wieczornicę w STS-ie, proszę się podpisać". I pamiętam, że niektórzy z nas mieli wówczas bardzo poważne wątpliwości.

MARKUSZEWSKI: Przeważnie zresztą ci, którzy nie umieli tańczyć, ale to już inna sprawa. Bo tego typu inicjatywy rodzą się zwykle z tego, że ktoś nie umie tańczyć. A taniec, uroda - to były rzeczy tępione. Dziś może trudno miie zrozumieć, gdy mówię o kimś: "nie mogę go słuchać, bo jest p a s k u d n y. Niech napisze, to przeczytam". A mnie to zostało z młodości, bo za naszej młodości kariery robiły tylko brzydkie dziewczyny. Zwłaszcza w organizacji. Jak która zasiadała w prezydium, to zęby mogły wypaść.

DRAWICZ: A im brzydsze, tym bardziej pryncypiellne, zaclęte. Jedna taka o mały figiel byłaby miie nie przyjęta na uniwersytet w 1950 roku. Bardzo dbała, żebym się naleyście odciął od błędów ojca,

który był senatorem, zresztą raczej średniego szczebla.

MARKUSZEWSKI: W tamtych czasach człowiek, który był dobrze ubrany, ładny, czysto umyty, budził z natury rzeczy niepokój. Jeżeli był w dodatku elegancki i na przykład ustąpił miejsca kobiecie, to już było bardzo podejrzané. Zresztą my sami w STS-ie też nie umieliśmy się od takiego nastawienia uwolnić. Na przykład nie przyglądaliśmy się dziewczynom. Naprawdę ładne dziewczyny pokazał dopiero Bim-Bom. A myśmy o tym nie myśleli, nie dbaliśmy o dziewczyny, tylko o treści. Ale jednocześnie nasze narzeczone były nieporównanie piękniejsze od naszych koleżanek z teatru.

W ogóle stosunek do estetyki był, prawdę mówiąc, w STS-ie dosyć osobliwy. Znadto byliśmy skupieni na treści. Poza przekazywaniem własnych myśli i poza atakowaniem wrogów nas właściwie nic w ogóle nie obchodziło, myśmy nad niczym więcej się nie zastanawiali. Mogła być gazeta, mogła być fabryka, mógł być teatr.

DRAWICZ: Bo myśmy nie robili teatru, tylko politykę.

MARKUSZEWSKI: Myśmy byli przede wszystkim politykami. W tym sensie, że - jak żadne chyba pokolenie przedem i potem - mieliśmy poczucie, że władza pozostaje do naszej dyspozycji. Nie w tym sensie, że sami mieliśmy ją sprawować. Ale nigdy nie mieliśmy problemu z tym, żeby do kogoś dotrzeć, do kogoś się dostać. Jeżeli nam zabrakło żarówek, bo były reklamowane i prawie niedostępne, to odbywaliśmy telefon do ministra i minister w ciągu godziny nas przyjmował, dawał żarówki i jeszcze się tłumaczył. A jeżeli się coś odbywało w Zarządzie Głównym ZMP, to też nie było żadnego problemu: szło się i robiło awanturę. Myśmy wówczas nie znali lęku. I dlatego mogliśmy dość długo zachować przekonanie, że jeżeli się dostatecznie ostro netrze, jeśli się będzie miało odwagę mówić do końca i być konsekwentnym - wszystko da się załatwić. To się, oczywiście, skończyło, ale dopiero wtedy, kiedy Gomułka zdradził. Kiedy objął władzę i miał wlec pod Pałacem Kultury. Ja wtedy przeżyłem wstrząs.

DRAWICZ: Co dla dzisiejszych czytelników może wyglądać na paradoksa. I co trzeba dokładnie wytłumaczyć.

MARKUSZEWSKI: Przez rok 1956, kiedy różne rzeczy się w Polsce działy, STS nie miał się czego wstydzić. Czuliśmy się wtedy zwycięzcy. A potem niektórzy nadal czuli się zwycięzcami, ale inni już nie. Była w STS-ie taka dyskusja, w której nagle my dwaj znaleźliśmy się po jednej stronie, po stronie pesymistów. Ale to było już w pół roku po dojściu Gomułki do władzy. Natomiast na wlecu pod Pałacem Kultury byłem z Andrzejem Jareckim, widzieliśmy, jak ludzie cieszyli się, jak śpiewali "sto lat", ale przede wszystkim, jak chcieli wchodzić na mównicę, jak chcieli się wypowiedzieć. I pamiętam jak dziś, że z trybuny wołano do wszystkich: "Kto kocha towarzysza Gomułkę, niech pójdzie do domu".

DRAWICZ: Dostownie: "kto kocha"?

MARKUSZEWSKI: "Kto kocha towarzysza Gomułkę, niech się uda do domu". I wtedy zrozumieliśmy, że coś jest nieklawo. Z miłości do towarzysza Gomułki to powinniśmy mówić, a nie iść do domu, powinniśmy chodzić po mieście, dyskutować, robić dalej rewolucję. Przecież wtedy dopiero coś się zaczynało. Dla nas, ludzi zajmujących się teatrem, miało to jak gdyby walor spektaklu. I ktoś spektakl przerwał.

DRAWICZ: A przedtem ten spektakl odbywał się dla nas według formuły: komunizm wojenny + ilirya. I wtedy, kiedy zaatakowaliśmy z furją, taką typowo lewacką furją zjawiska, odwiłży en bloc, to oczywiście podcinał się gałąź, na której sami siedzieliśmy, ale z tego

nie zdawaliśmy sobie jeszcze sprawy.

MARKUSZEWSKI: Bo w ogóle warto powiedzieć coś, co jeszcze nigdy nie zostało powiedziane: my, STS, byliśmy właściwie przeciwko odwilży.

DRAWICZ: Kiedy czyta się teksty STS-u, okazuje się, że przez rok 1955 i prawie cały 1956 główny kierunek naszego natarcia zwrócony jest przeciw odwilży jako niebezpieczeństwu ideologicznemu. Jakbyśmy się bał, że nam się to wszystko rozmyje, rozpuści, przepadnie. No właśnie: "towarzysze, czy w naszej krwi nie za mało czerwonych ciątek?". I pod tym hasłem rzucaliśmy się na kluby inteligencji, na to, na tamto, na dziesiąte, na towarzyszy, którzy kabarety lansują, na niebieskie fraki, na mnóstwo innych rzeczy.

MARKUSZEWSKI: Niebieski frak wziął się stąd, że do Polski wprowadzono wtedy ze Stanów aranzera, który zorganizował tu trzystuosobowy zespół ubrany w błękitne fraki. A myśmy byli przeciw, bo to w tym znówu jakiś kłajster. Jazz wprawdzie wychodził z podziemia, ale prawdziwym jazzem nikt się nie zajmował, natomiast trzysta osób w błękitnych frakach grało Gershwin'a i to stałob Z jednej strony starszy aparatczycy, którzy nie chcą wypuścić władzy z ręki, a z drugiej strony w sukces im przychodzą wyfraczeni klezmerzy.

DRAWICZ: Ale w naszym ówczesnym młotaniu się dwa elementy przynajmniej były racjonalne. Jednym był atak na cwaniactwo, na oportuizm, na btyaskawiczną zmianę orientacji, na to, że ludzie, którzy jeszcze wczoraj nam prawili o "umiarze w ostrej konfliktowości" / to: było z okazji naszego "kwiatu czerwieni", teraz krzyczą, że kwiat czerwieni jest nieważny, że dziś ważne są tylko fiołki. Byliśmy oburzeni żatwością, z jaką ci, którzy potrząsali niedawno maczugami, chwytają teraz pałeczki i dyrygują orkiestrami jazzowymi. A drugi element racjonalny był chyba taki: może pierwsi zauważyliśmy, że społeczeństwo cały ten luz zabawowo-rozrywkowy rzuca się jako ochłap, jako kość. Tak samo jak dzisiaj, dwadzieścia lat później.

MARKUSZEWSKI: Dlatego tamte teksty STS-u są jeszcze aktualne, można je dzisiaj wystawić!

DRAWICZ: Bo dziś także władza w sposób niestety chęć cyniczny chce odwrócić uwagę ludzi od spraw zasadniczych.

MARKUSZEWSKI: To powiedz, co wtedy było dla ciebie sprawą zasadniczą.

DRAWICZ: No, zmienianie ustroju, i światła na lepsze w ramach komunizmu. To było oczywiste, należało wszystko zrobić jeszcze raz od początku. Wszystko przewijać, trzyć, wszystko przewentylować według najlepszych zasad rewizjonistycznych.

MARKUSZEWSKI: Mówisz teraz o tym, co było jeszcze przed XX Zjazdem?

DRAWICZ: Tak. A wracając jeszcze do owych racjonalnych elementów w naszej postawie. Było tam jeszcze i takie nastawienie. Skoro po długich i ciężkich cierpieniach i ciągłe jeszcze z zastrzeżeniami zostaliśmy w końcu uznani za swoich, zaakceptowani przez prawdziwych marksistów, przez ten rzeczywisty ruch rewolucyjny, przez tych rzeczników robotników i chłopów - no to my też bardziej musimy okazać się tej akceptacji godni, musimy pokazać, jacy jesteśmy ideow!

MARKUSZEWSKI: Na tym polegał nasz numer, dlatego władza długo z nami nie mogła sobie poradzić. Bo myśmy to wzięli na serio. Potem już cynicznie na serio. Jeżeli władza mówiła, że każdy ma prawo zabrać głos, to myśmy go zabierali.

DRAWICZ: Ale to już potem. Na razie jesteśmy ciągle przy pierw-

szym programie. A ten pierwszy program prawie cały oparty był na tekstach wypożyczonych od teatru Satyryków. Zaś zawodowa satyra - wtedy, to były takie teksty: "nerrrry, nerrrry, cholera, nerwy", albo "każdy z nich jest babiarz i, szkoda gadać, nie poprzerablasz!".

MARKUSZEWSKI: Albo: "uśmiech, uśmiech zawsze się optaca".

DRAWICZ: "Optaca, przełamuje, pierwsze lody". Oraz piosenka, która nadała tytuł programowi: "To idzie młodość", piosenka Mazowska, zresztą.

MARKUSZEWSKI: To była pierwsza premiera: prawdziwe kurtyny, muzycy, artyści, prawdziwy teatr. Wszyscy byli za kulisami. Tylko my nie graliśmy w tym przedstawieniu. Ubrałeś się w granatowy garnitur, który ktoś ci przysłał z zagranicy....

DRAWICZ: .. Ale nie przyznawałem się do tego nawet przed samym sobą...

MARKUSZEWSKI: ... I zasiadałeś w łoży dyrektorskiej. A ja obok, bo wprawdzie miałem być za kulisami, ale mnie próżność poniosła. I czekamy. Bo powinien zabrzmieć gong, a potem miał zaraz grać pianista, który - tak to nowoczesnie wyreżyserowałem - siedział między pułkowniczością. No i oczywiście: światło na kurtyne, powinien rozleć się gong, zawiadamiając pianistę, żeby podszedł do fortepianu, gongu nie ma, pianista nie podchodzi. Mija minuta, dwie, ty spocony, ja spocony, pot się z nas leje, kiwam do pianisty, który siedzi na widowni, a ten nic. Już się zaczynają chichoty na widowni, biegnę za kulisy. Okazuje się, że blacha nie może przebić trzech kurtyń, wałę w tę blachę jak szaleni, się na widowni nie słychać. Tak się zdenerwowałem, że złapałem tę blachę i palnąłem inspicjenta w łeb. Rozległ się ogromny gong "Bam" i tak się zaczęło pierwsze przedstawienie.

DRAWICZ: Od tego, że huknęli: "Co tak dudni, co tak grzmi" trzesącymi się ze zdenerwowania głosami. Niezbyt dobrze udawali oni to Mazowski. A reszta to też przeważnie były różne adaptowane teksty. Była też taka pantomima, którą ty wymyśliłeś. Nazywała się "Dzień na uniwersytecie"...

MARKUSZEWSKI: Dzień wolny! Dzień wolny od zajęć!

DRAWICZ: Z jednej strony pokazywały się godziny: ósma, dziesiąta, dwunasta i tak dalej. A zdrgulej napisy: zebranie ZMP, zebranie ZSP, masówka, akcja. Przechodzili między tymi studenci coraz bardziej wykończeni, na koniec petzili podpierając się wzajemnie. I to wywoływało niesłychane salwy śmiechu. A kiedy na scenę wszedł garbus też, radość była po prostu niesłychana. Bo nasza postawa była w gruncie rzeczy minimalistyczna: z punktu widzenia zdrowego rozsądku protestować, nawet nieśmiało, przeciw idiotyzmowi. To był ton naszego drugiego programu, który się nawet nazywał "Prostaczkowie".

MARKUSZEWSKI: Tam z kolei numerem popisowym był "Wykład z marksizmu".

DRAWICZ: Było to zrobione całkiem prosto: wykładowca mówił wyłącznie cytatami i między tymi cytatami prowadził konferansjerkę. Ale same cytaty wypowiadał bezgłośnie. Wyglądało to tak: "Jak mówił towarzyszu taki a taki: bbbbb..."

MARKUSZEWSKI: Wcale nie "taki a taki". Wtedy przecież po raz pierwszy w kabarecie, ze sceny satyrycznej padło: "Jak mówił towarzyszu Stalin czy Marks". Szok polegał na tym, że tych właśnie nazwisk użyto, by kogoś ośmieszyć.

DRAWICZ: Była tam również mowa o tym, że Marks i Engels nie mogli się wypowiedzieć na temat legalnego marksizmu, ponieważ w odpowiednim czasie nie było ich w Rosji. A jak nam skądinąd wiadomo, już nie

żyli. Dowcip był więc raczej mało skomplikowany, ale Zapasiewicz, który był wtedy studentem Szkoły Teatralnej, mówił to znakomicie.

MARKUSZEWSKI: A chodziło nam o tych, którzy nie myślą, tylko postępują się cytatałami, tworzą nową Biblię. Już w drugim programie nas to zanępkowało.

DRAWICZ: Ale jednocześnie przestraszyliśmy się własną odwagą i po tym tekście następował komentarzyk stawiający kropkę nad i: "kochani glindziarze i cytatołodzi, to, co mówicie, nie ma z marksizmem nic wspólnego". I wtedy publiczność protestowała, żeśmy tak ten pedał docisnęli.

MARKUSZEWSKI: Zwłaszcza w porównaniu z tym, jak ludzie przedtem byli zachwyceni. Takiej reakcji, jak na ten numer, dzisiaj nawet nie można sobie wyobrazić.

DRAWICZ: Ale największy sukces pod tym względem to była ballada o królowej belgijskiej. Bardzo zresztą charakterystyczna dla naszej ówczesnej postawy. Dla naszej lewackości. Choć oczywiście chodziło tam także i o ten oportunizm, który się przy okazji wizyty królowej ujawnił.

MARKUSZEWSKI: Nie podobał nam się Iwaszkiewicz, który wówczas towarzyszył królowej, nie podobało nam się, że wszyscy jak w dym pognali do kościoła, żeby zademonstrować, jaki to normalny kraj, ta Polska. A myśmy się denerwowali, bo sądziliśmy, że jeśli jesteśmy krajem nienormalnym, który buduje nowe życie, to właśnie nasza nie-normalność trzeba by królowej pokazać. Natomiast oni wszyscy... I stąd powstała ballada, której sens jest dzisiaj nie całkiem jasny. To znaczy, jasny jest i głupi - a jednak wówczas nasza publiczność nas poparła. Ludzie czuli, że nie wolno wszystkiego ni stąd ni zowąd wyrzucać na śmietnik. że w wartościach, które przedtem wszyscy wyznawaliśmy, było jednak coś cennego.

DRAWICZ: A "Po prostu", nasz przecież z obiektywnego punktu widzenia naturalny sojusznik, też był przez nas podktywany dość ostro. Właśnie z pozycji czystości wojennego komunizmu. Wydawało nam się, że już zanadto i bez zastrzeżeń akceptują wszystko, co niesie ze sobą odwilż. Także i brudną pianę. Oczywiście, wiele było w tym przesady, roli "Po prostu" nie można nie doceniać bez względu na to, jak się dzisiaj patrzy na dalsze dzieje tamtych ludzi. Ale myśmy się im dosyć ostro dobierałi do skóry i oni zresztą mieli nam to potem przez dłuższy czas za złe. Na przykład tekst, który się nazywał "Ekskluzywny smok". Chodziło o klub młodej inteligencji; była to wtedy jedna z ich głównych akcji, żeby troszeczkę ożywić to nasze pozacen-tralne, prowincjonalne życie. W końcu akcja na pewno sensowna - i, jak wszystko, mająca czasem szkodliwe efekty uboczne. Myśmy się do tych efektów ubocznych przyczepili z niesztychaną ostrością, bo nam się z kolei widziało, że nam tutaj tę rewolucję zdradzają, że zalewają ją falą drobniomieszczanstwa i burżuazji.

MARKUSZEWSKI: Dzisiejszy nasz stosunek do "Po prostu" to sprawa bardziej złożona. Natomiast wtedy pretensje można by streścić tak: nam się wydawało, że my, próbujemy iść do końca, dotrzeć do sedna sprawy, podczas gdy ludzie z "Po prostu" wybitają najłatwiejszą drogę. I to nas bardzo drażniło. Więc na przykład my byliśmy, oczywiście, za nowoczesną plastyką, chociaż nie całkiem umieliśmy ją sobie wyobrazić, natomiast oni wylansowali najbardziej hochsztaplerskiego malarza: Kupczyńskiego.

DRAWICZ: Podczas gdy nasz malarz to był Andrzej Wróblewski.

MARKUSZEWSKI: Cała ta plastyka z Arsenatu. Cełnikier, Basia Jon-scher, Oberländer, to byli nasi malarze. Ale nie Kupczyński.

97
DRAWICZ: Inna rzecz, że to myśmy sami rozdęli tego Kupczyńskiego, tak się o nim ciągle mówiło, pomawiano....

MARKUSZEWSKI: Ale oni też go rozdymali. I teraz dla nas Kupczyński jest jakby kryptonimem dla "po prostu". Nie chcę oceniać wszystkich tamtych ludzi - ale to jednak byli trochę Kupczyńscy.

Inna rzecz, że myśmy byli wówczas dość niewykształceni. I w sprawach plastyki, i nawet w sprawach teatralnych. Niby znaliśmy trochę nazwisk, słyszeliśmy, że był Brecht, że był Piscator, Ale to raczej były nasze przeczucia, niż nasze wzory.

DRAWICZ: Żywiołowe sympatie.

MARKUSZEWSKI: O Brechtzie wiadomo było, że nasz kolega, Konrad Swinarski, pojechał do niego na stypendium. I że jest to taki teatr rewolucyjny.

DRAWICZ: A przy tym umowy. I śmiały, bo się kurwy na scenie pokazuje.

MARKUSZEWSKI: I że się tam nawet najwybitniejsza dziesiąta próbuje dostosować do wymogów naszej ideologii.

DRAWICZ: A jednocześnie, że socrealiści go koszarnie nie lubią, bo w czasie występów teatru Brechta w Warszawie wybuchł straszny skandal, że to w gruncie rzeczy formalizm.

MARKUSZEWSKI: I nie tylko formalizm, mówiono jeszcze, że to ekspresjonizm, co wówczas było jednoznacznie obelżywe. Więc myśmy przez przekorę uznali, że sami robimy dokładnie tak, jak Brecht. Ja naprawdę byłem przekonany, że go naśladowę.

DRAWICZ: Czarne światło, naga scena, punktowiec.

MARKUSZEWSKI: Właśnie. A z Piscatorem było tak. Kiedyś, na jakimś pokazie, widziałem film "Bunt rybaków w San Sebastian"...

DRAWICZ: ... W Santa Barbara..

MARKUSZEWSKI: Właśnie, w Santa Barbara. Ogromnie mi się ten film spodobał, a chodziło o to, że w napięciu rewolucyjnym już się nie mówi, tylko śpiewa. W filmie trudno to osiągnąć, żeby wyglądało prawdziwie, a tam było prawdziwie, czyli mieliśmy do czynienia z wielkim artystą. I wtedy zaczęliśmy szukać, kto to właściwie był Piscator. Włock Ronisz, pamiętam, przyniósł taki zaczytany egzemplarz książki "Das politische Theater".

DRAWICZ: Ale estetyka nas w gruncie rzeczy mało obchodziła. Myśmy byli ideolodzy.

MARKUSZEWSKI: Rewizjonisci ...

DRAWICZ: Z tym, że już na początku lat sześćdziesiątych zaczyna się nasze odchodzenie od wczesnych złudzeń ideologicznych. Chociaż oczywiście przy zachowaniu pewnych, nazwijmy to tak, rudymentów. Ale pojawia się wówczas zespół takich hasel ogólnoludzkich i trudno uchwytnych: żeby zachować pewne minimum przyzwolności, żeby zachować twarz, "róbmy coś, żeby coś zależało od nas" i tak dalej. Jakby rzeczystwo, ograniczając nas coraz bardziej i spychając, zmuszała nas do manewrowania, do wyszukiwania różnych szczelin, tych miejsc pod sufitem, w których jeszcze było trochę powietrza.

MARKUSZEWSKI: Ale to było potem. A teraz jest jeszcze rok 1955.

DRAWICZ: Niby odwiłz. Choć właściwie jeszcze nie się nie dzieje, albo raczej nie wiadomo, że się dzieje. A jednocześnie wszystko aż drży. I to oczywiście była woda na nasz młyn. Na festiwalu w Warszawie wzięliśmy drugie miejsce po Bim-Bomie...

tłumacza, żeby mu to powtórzyć.

DRAWICZ: Żeby to zrozumieć, trzeba pamiętać tę atmosferę, te namioty, w których stoły uginaty się od żarcia, te misy kawioru, którym młodzieżowi aktywiści zażerali się jak kasza. A wszystko to w kraju, w który wystarczyło się tylko trochę zagłębić, by zrozumieć, .. Wiadomo przecież, jaki to był kraj, wtedy, w 1957 roku.

MARKUSZEWSKI: Wróciliśmy stamtąd jako antykomuniści. W tym sensie, że rozumieliśmy, że t a m jest niedobrze. Mogliśmy jeszcze wierzyć, że w Polsce zbudujemy komunizm, natomiast byliśmy już pewni, że w Związku Radzieckim on się niestety nie udał. A STS wśród wielu innych zastug ma także i tę - ogromną: że na festiwal do Moskwy przez władze polskie i radzieckie nie został dopuszczony. Dopuszczony był Bim-Bom. A myśmy pojechali oddzielnie, w rozmaitych delegacjach.

DRAWICZ: Ale odnaleźliśmy się ...

MARKUSZEWSKI: I postanowiliśmy wykonać występ w Związku Literatów. Pamiętam przy tym mój opór, bo wówczas Siemion postanowił wyrecytować "Poemat dla dorosłych" Ważyka. A ja za tym wierszem nie przepadałem. Bo nie lubiłem tego schematu: że ludzie, którzy najpierw rollili ten zacisk, teraz na fall odwilży robią taki rozkurecz, że się wszystko wylewa. Ale wtedy w Moskwie zgodziłem się na Siemiona. Bo uważałem, że w Moskwie nasze wewnętrzne spory są nieważne, zaś ten poemat może zrobić wielkie wrażenie. Zresztą był to wspólny występ: pełna sala, na sali ludzie, którzy całe życie kochali polską literaturę i którzy tłumaczyli na żywo nasze teksty Rosjanom nie znającym polskiego. Pomyśleć tylko: nasz t a j n y występ w Moskwie, w Związku Pisarzy, w 1957 roku! Przecież to coś niewiarygodnego!

DRAWICZ: Bardzo różnych rzeczy myśmy się dzięki teatrowi nauczyli. Każdy z nas chyba wspomina czasy STSu jako swego rodzaju akademie wiedzy politycznej i społecznej. Pamiętam, że zazdrościliśmy Brechtowi czegoś, co znaleźmy zresztą tylko z opowiadań: że mógł swój teatr określić jako własną partię i własne państwo. My również - toutes proportions gardées - staraliśmy się ze pośrednictwem teatru przerabiać, przetrawiać to, co dochodziło do nas z zewnątrz, szukać wspólnego stanowiska, wspólnej formuły. I - z dalszego punktu widzenia - mimo całej naiwności, mimo wszystkich lewackich przebiegów, to jednak kardynalnych błędów nie popełniliśmy. I tak bardzo nie mamy się czego wstydić.

MARKUSZEWSKI: Może w ogóle jesteśmy bezwstydni....

DRAWICZ: Pewnie, za tradycję STSu każdy ma prawo uznać to, co mu się podoba. Inną tradycję STSu ma nasz kolega, Andrzej Jarecki. Dla niego tradycja jest to, że się gra w tym samym gmachu, że afiszują się podobne i podobne kostiumy. Ale w głębszym sensie prawdziwa tradycja STSu jest działanie. STS był grupą działającą, grupa działająca przede wszystkim. Mówiliśmy już, że sprawy artystyczne zawsze były dla nas drugorzędne...

MARKUSZEWSKI: Estetyczne, powiedzmy.

DRAWICZ: Za to zresztą nas błito, i szczęśliwo słusznie. Ale główną tradycją STSu jest aktywne działanie grupy nieformalnej, żyjącej w określonych warunkach i zmierzającej do zmiany tych warunków na lepsze. A tej tradycji STSu trudno byłoby nawet szukać w dziełach innych teatrów czy kabaretów. Mogły być świetne, były także niedłonekrotnie. Działo się szereg ciekawych rzeczy, ale już niejako na innym szczeblu. Już raczej działanie pewnych grup nieformalnych w ostatnim okresie, w okresie ostatnich dwóch lat, bardziej przypomina atmosferę STSowską. Tylko że tym razem jakby na wyższym szczeblu

blu: przedtem to jednak była zabawa, teraz chodzi o życie, o sprawy rzeczywistości poważne. Ale jakaś wspólnota, jakaś ciągłość istnieje. I może w przyszłości, kiedy znowu jakieś grupy społeczne będą czuły wyraźnie swoją solidarność, będą się angażowały w aktywne zmienianie sytuacji, to jakoś będzie to kontynuacja naszego STSu. Niekoniecznie w sferze estetycznej, nawet niekoniecznie musi to być w ogóle teatr.

MARKUSZEWSKI: Tradycja STSu była ideaowa, nawet lewacka. Ale kierunek naszych zainteresowań szedł ku takim ludziom, jak Morawski czy, powiedzmy, Kołakowski. Ludziom, którzy uważali, że jeśli cokolwiek da się uratować z tego interesu, to nie przez powołanie do życia inicjatywy prywatnej, ani przez powrót do ortodoksyjnego marksizmu. że trzeba skorzystać z talentu i uczciwości ludzi tworzących to społeczeństwo.

DRAWICZ: Nas porwał nurt, bardzo wówczas silny nurt życia społecznego. Rok 1956 to jest taki potok, który rwie obalając wszystko po drodze. Płynęliśmy po prostu w tym nurcie, była to dla nas najbardziej naturalna forma ekspresji. Może też warto przypomnieć z tego okresu pewien moment, dość istotny w naszych biografjach. Trwały permanentne wiece i w Politechnice, a jedyną cześcią artystyczną, którą tam wykonywano między przemówieniami, były nasze skecze z "Agltki". Ludzie byli rozgorączkowani, chcieli wyjść na ulicę, chcieli iść pod ambasadę radziecką - no, a myśmy uważali, że to nie byłoby najmądrzejsze, więc żeby ich zatrzymać, żeby ich zabrać, graliśmy dla nich "Agitkę".

MARKUSZEWSKI: I wcale nie brzmiało to wtedy anachronicznie.

DRAWICZ: Przeciwnie, było świetnie przyjmowane. To była zresztą jedyna rzecz, którą ta sala chciała przyjąć - poza czystą publicystyką polityczną - z trybun.

MARKUSZEWSKI: Czyli nasz teatr był jedynym, który nie musiał w październiku zmieniać repertuaru. Co oczywiście musiało się potem obrócić przeciw nam. Toteż my chyba pierwsi w Polsce, zaraz po 1956 roku, zaczęliśmy mieć trudności cenzuralne.

DRAWICZ: Myśmy sobie wyobrażali, że skoro tak się dobrze zaczęło, to tak samo pójdzie dalej. A tymczasem od razu nam powiedziano: "No, towarzysze, skończyliśmy zabawę, zabieramy się do normalnego życia." Koniec.

MARKUSZEWSKI: Cała sprawa z STSem polegała na tym, że zaczęliśmy od akceptacji ogólnej idea, która wydawała nam się niepodważalna. Wzięliśmy serio wszystkie hasła komunistyczne, wszystkie hasła, które głosił towarzysz Stalin. że ma być równość, że ma być sprawiedliwość, że wszyscy biorząmy udział we władzy. Myśmy naprawdę uważali, że tak być powinno. Wobec tego szukaliśmy w rzeczywistości tego wszystkiego, co się nie zgadzało z tą normą. Zachowując przy tym wierność wobec ideologii, wobec filozofii marksistowskiej. I to się stało przyczyną naszej kłębki. Ponieważ władzy ideologia zupełnie nie interesowała. Mogliśmy sobie do woli deptać marksizm, leninizm i stalinizm, gdybyśmy tylko nie używali tych nazw; natomiast nasz atak na objawy okazał się dla władzy nie do przyjęcia. Dla tych, których mandatem do władzy jest właśnie realizacja ideologii. Przeciw nim, przeciw średniemu i wyższemu aktywowi STS skierował swój atak. I oni w końcu nas dopadli.

DRAWICZ: Chociaż usiłowaliśmy dyplomatyzować.

MARKUSZEWSKI: Ale dopadli nas od razu po październiku. Bał się skończyć, powiedziano mnóstwo rzeczy, po czym tacy sami macherzy nadal robili to samo. Już to, niestety, parę razy w życiu widziałem:

każdy przewrót w tym ustroju kończy się w taki sam sposób. I dzisiaj już nie mam złudzeń, ale wtedy sądziiliśmy inaczej. Chcieliśmy nadać walczyc, odkrywać zło, piętnować błąd - w nadziei, że wszystko, co zdołamy powiedzieć, będzie wykorzystane do budowania - jakby później odstępstwa, matactwa, zakrywanie się Ideologią, naraziłiśmy się aparatowi, który zaczął nas słyszać w coraz większy przesmyk, nie likwidując nas - na razie, bo na to nie miał odwagi.

DRAWICZ: Była to klasa miłośnierna, rozłożona w czasie, ponosiłiśmy ją w ciągu wielu lat.

MARKUSZEWSKI: I zaczęliśmy się do niej przyzwyczajać.

DRAWICZ: I za każdym razem szukaliśmy sposobu wyjścia "z honorem".

MARKUSZEWSKI: Ale nigdy nie próbowaliśmy zmieniać formuły. Główną sprawą w STS-ie było zawsze wspólne określanie formuły: naszego stosunku do rzeczywistości. Nie sądzę, by jakikolwiek teatr w Polsce zdobył się dziś na coś takiego.

DRAWICZ: Określanie formuły trwało czasem kilka wieczorów, kilka dni. Mówiliśmy szczerze, nie mieliśmy wobec siebie żadnych oporów, żadnych wahań, żadnych ograniczeń. Te rozmowy były właściwie najważniejsze z całego naszego robienia teatru. Powtarzaliśmy sobie wszystkie informacje, co to ich nie było wolno powtarzać, a potem zastanawialiśmy się, co to wszystko znaczy. W co nas chcą wrobić, jak nas chcą uwinąć. I jak się nie dać uwinąć, a jeszcze tamtym przypieprzyć. A we władzach nie wszyscy byli jednego zdania, a znowu my jako środowisko byliśmy towarzysko nie do pogardzenia, to rozmaitych informacji mieliśmy zazwyczaj sporo i nawet mogliśmy liczyć na pewnych sojuszników. Niestety jednak, ponieważ atakowaliśmy władzę dość celnie, od peździernika żaden program nie poszedł bez trudności i bez skrupulatnej cenzury. Kiedy na piętnastoście zrobiliśmy "Raz się żyje", program został zdjęty w całość. A więc po piętnastu latach istnienia stać nas było na taki strzał, że władzy wydał się on zupełnie nie do przyjęcia.

MARKUSZEWSKI: Przed rozpoczęciem prób odbywały się zawsze długie rozmowy w cenzurze. Najpierw nad tekstami, co kończyło się zawsze tak samo: cenzor zastrzegł sobie prawo zobaczenia na scenie tego, czego nie zdjął od razu.

DRAWICZ: Był taki ojcowski cenzor, towarzyszył Rusinow, z którym przynajmniej można było pogadać, chociaż nam kiedyś serdecznie porodził, żebyśmy może rozwiązali się sami. Stuszenie radził. Było to w roku 1957, przyszliśmy do niego z nową składanką, a on odsunął taksty i powiedział: "oi kochani, zrobiliście swoje, wasze osiągnięcia są poważne, nikt nie neguje waszych zasług, wszystko jest w porządku, przyczyniliście się i tak dalej. Ale sami rozumiacie, sytuacja się zmieniła, koniec, nie ma już na was zapotrzebowania. Wszystko już zostało dokonane, towarzyszył Sometka odniósł sukces, właściwie jedynym wyjściem jest rozwiązanie waszego teatru. W zmiennej sytuacji tego rodzaju teatry nie mają już racji bytu".

MARKUSZEWSKI: I zajął się słowem "dupa", jak dziś pamiętam. Powiedział: "Bądźmy poważni, tutaj w tekście jest słowo dupa, rozumiam: "dupa" w roku 1955, ale teraz? Co znaczyło, że "dupa" w roku 1955 mogła mieć funkcje wyzwalającą, oznaczała zerwanie z pruderią. A teraz to wszystko mamy już za sobą.

DRAWICZ: Kiedy w 1955 odbył się pierwszy strip-tease w podziemiach Wydziału Architektury, to też było wydarzenie. I zerwanie z czymś, i początek czegoś. Ale bardzo szybko to wszystko upaństwowiono. Strip-teasy, dyskoteki, knajpy. I tę późniejszą sytuację myśmy wówczas jak gdyby antycypowali.

MARKUSZEWSKI: Witek Dąbrowski chyba pierwszy dostrzegł, że jeśli się zaczynało od Broniewskiego, to trudno od razu entuzjazmować się tym całym "nowoorleanem". Nie chodzi tu oczywiście o te przykłady, lecz o mechanizm, który nas zaskoczył, a który wydał nam się niestęchenie drastyczny i brutalny. Oburzyła nas próba zwększenia uwagi społeczeństwa na tory rozrywki, modelu rozrywkowego. Trzeba pamiętać, że my od początku operowaliśmy kolorem czerwonym jako kolorem naszym, że to miało dla nas kolosalne znaczenie. Nasz program "Myślenie ma kolosalną przyszłość" szedł pod takim rewizjonistycznym niby hasłem, ale jeszcze ciągle utrzymany był w duchu "komunizmu wojennego". Bo pointa była taka: rozwieszaliśmy czerwony transparent, a ty, Andrzej, przynosisz kubek i pędzle. Na znak, że powinniśmy na transparencie wypisać nowe hasła. Że to nie sama czerwień straciła aktualność, tylko hasła na niej wypisane.

DRAWICZ: I tego chcieliśmy się trzymać wtedy również, gdy Gomulka nas zdradził, gdy wycofał się z tego wszystkiego i zwrócił przeciw swoim sojusznikom.

MARKUSZEWSKI: Wydawało nam się wtedy, że nas sprzedano, że Gomulka nas po prostu wymienił na drobne. Kursował wtedy taki dowcip, że Gomulka pojechał do Związku Radzieckiego i z powrotem przywiózł mnóstwo kubków, żeby było w czym mordę trzymać. A tymczasem cała inteligencja polska ciągle jeszcze uważała, że da się coś załatwić. I wtedy właśnie zrobiliśmy nasz program "Siódmy kolor czerwieni". Bo zaczęliśmy się zastanawiać, jaki właściwie odcień ma ta czerwień. W tym programie był taki tekst Andrzeja Jareckiego, że za chwilę odbędzie się ostatni wystrzał z Aurory, i wtedy z boku padało pytanie: "a w kogo trafi?" Co świadczy, że już wtedy mieliśmy pewną świadomość i świadomość własnej sytuacji. I od tego czasu musiało zacząć się kombinowanie.

DRAWICZ: I szamotanie z ideologią.

MARKUSZEWSKI: Nasze zdobywanie samoświadomości miało jak gdyby dwa etapy. Pierwszym była dyskusja, w której zaraz po 1956 roku zastanawialiśmy się, kto jest teraz naszym wrogiem podstawowym. Bo pierwsze programy były kierowane przeciw publiczności, która nie zdaje sobie sprawy ze swoich praw. A potem uznaliśmy, że nie ma się co czepiać publiczności, bo ona tych praw po prostu nie ma. I wtedy właśnie odszedł od nas Witek Dąbrowski, który domagał się dalej tego komunizmu wojennego, domagał się, by od publiczności nadal żądać wyrzeczeń. Drugi szok nastąpił, kiedy zdecydowanie i ostro wystąpiliśmy przeciwko "warszawce". To znaczy przeciw tym, którzy stale powtarzali, że trzeba się zachowywać spokojnie, żeby nie utrudniać nastrojów nowemu władcy. Zdjeto nam wtedy program pod tytułem "Salon warszawski". I to był wielki wstrząs. Bo wtedy myśmy zrozumieli, że w nową rzeczywistość nie zmieścimy się już ani z naszą rewolucją, ani z naszą liryką. Że musimy przejść do opozycji.

DRAWICZ: I w efekcie pojawił się na miesiąc kolejny tytuł: "Uśmiechnięta twarz młodzieży". A wiadomo było, że wszystko już zgłajchszaltowano.

MARKUSZEWSKI: Ale jednocześnie odbył się jeszcze epizod włoski, kiedy reprezentowaliśmy obaj polski ruch amatorski, a tymczasem okazało się, że reprezentujemy Polskę. Przywieźliśmy tam przedstawienie, które już nie operowało kolorem czerwonym jako kolorem idei, tylko kolorem czerwonym jako jednym z wielu kolorów, takim samym jak niebieski, żółty, biały i fioletowy. Ale zczynaliśmy przedstawienie od czerwonej kurtyny i to wzbudziło z jednej strony szalony aplauz, a z drugiej sprzeciw. I nagle w tym przedstawieniu poczuliśmy się za tę kurtynę jak gdyby w pewnym sensie z powrotem odpowiedzialni. Zaś radio rzymskie i Wołna Europa protestowały: "Dlaczego wpuszczono tych propagatorów marksizmu na teren wolnych Włoch". Nas samych ta nasza

ponowna identyfikacja z czerwienią zaskoczyła.

DRAWICZ: Zresztą tym reinterpretowaniem wyświadczono nam wtedy przysługę.

MARKUSZEWSKI: Reinterpretowaniem w kierunku komunistycznym.

DRAWICZ: Tak, bo potem tymi recenzjami mogliśmy się zastanawiać w kraju.

MARKUSZEWSKI: Zwłaszcza, że ci, którzy nas wysyłałi, liczyli po cichu, że zostaniemy tam przyjęci entuzjastycznie, a nie właśnie jako oskarżyciele komunizmu.

DRAWICZ: Pamiętam nawet, że jeden z naszych przyjaciół, Włoch, szalenie się dziwił, kiedy tłumaczyliśmy mu, że im gorzej recenzje, tym dla nas lepiej. Nie mógł zupełnie tego pojąć.

MARKUSZEWSKI: A wracając do zasadniczego tematu: jeśli cokolwiek jest tradycją STS, to chyba to, że ludzie, którzy kiedyś - świadomie i ideowo - przez STS przeszli, do dzisiaj mają zaobłążenie i jak to nazwać: jakiegoś uczulenie na sprawy społeczne. Na sprawliliwość społeczną.

DRAWICZ: I jednak pewną niechęć do nacjonalizmu. Nie jest przypadkiem, że nikt z STS w takie akcje nigdy nie włączył.

MARKUSZEWSKI: Myślę po prostu miał taki багаż, który nam to nie pozwalał. Nam to w ogóle do głowy nie przyszło, i kiedy to wszystko zaczęło przybierać kształt bardzo ostry, to pierwszym tekstem przeciw antysemityzmowi w Polsce była piosenka piosenki Agnieszki Osieckiej, nowa wersja "Młosteczka Belsa", gdzie matka śpiewała, że bardzo się smęciła za swojego synka, tylko wołałaby, żeby miał czy niebiańskie, a nie czarne.

DRAWICZ: Młodsze pokolenie patrzy na nas już chłodnym okiem, i jest to zapewne spojrzenie krytyczne. W naszym ówczesnym wpływaniu się w oficjalną rzeczywistość widzi, być może, widzi przede wszystkim oportunizm. Szlachetniejszy, łagodniejszy - jednak oportunizm, próba dostosowania się do czasu, z którym myśmy się wówczas spierali i kłócili. W naszym przekonaniu bardzo drastycznie - a z tego punktu widzenia, jest się okazywać całkiem łagodnie.

MARKUSZEWSKI: W 1948 roku wydany został bardzo skuteczny programiści "Nasze to było". O gwałtownie do tego młodzieży. Pamiętam, że to byłoby trochę abstrakcyjne i wtedy już wtedy nie wystrzelił tego ruchu, który zaczął się przede, czy do tyłu, czy w prawo, czy w lewo od nas, tego to już nie było. Ale był to jedyny program w tym okresie, który miał być odwołany do rzeczywistości.

DRAWICZ: Na 1948 programie bardzo mocno był w tamtym czasie i w tym czasie, było bardzo, nie jest program.

MARKUSZEWSKI:

Jest wojność. Tylko że my naprawdę uczelwie, wbrew swoim prywatnym interesom, chcieliśmy ten wentyl wykorzystać dla krajowców, nie dla zagranicznych turystów. Chcieliśmy korzystać z tego wentyla aż do granicy jego "nieopłacalności" dla władzy. Ale dalej iść nie chcieliśmy, bo uważaliśmy samo istnienie STS-u za coś absolutnie koniecznego. Więc kiedy ciębie już nie było w STS-ie, a programy robić było coraz trudniej, wtedy zorganizowaliśmy kabaret, który w naszym barze odbywał się poza cenzurą. Występował tam Henio Malecha z dziewczynami, Janek Stepiński, robił swoje rewelacyjne wykłady, był też taki genialny kawałek o desancie Amerykanów, było wspaniałe "Pornografia, jej dzieła i kultura", było szereg świetnych rzeczy. Czyli ratowaliśmy się, jak się dało. Ale było to dwuznaczne i więc dzielił się o tym, największa pretensja ma się do tych, którzy zachowują się względnie przyzwoicie. Do nieprzyzwoitych nie ma się pretensji, bo oni nas nie obchodzą.

DRAWICZ: Bo się zachowują zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

MARKUSZEWSKI: A myśmy ciągle parli do jakiegoś działania. A z drugiej strony nie byliśmy idiotami, wiedzieliśmy mniej więcej, jak blisko są granice cenzury. I po prostu od zwyczajtwa października mieliśmy nieustające trudności. Szczególnie przy jubileuszach, kiedy wyrażaliśmy nasze credo z wielu lat. Wtedy nam po prostu zdejmowano programy. Zdjęto nam program na dziesięciolecie i zdjęto nam program na piętnastoletcie. A po piętnastoletciu nas zamknęło.

DRAWICZ: A poza tym - żeby jeszcze o tym kanalizowaniu - przez cały czas powtarzaliśmy sobie: Jeśli znajdzie się jakaś grupa młodych ludzi, którzy przyjdą do nas z programem teatralnym i którzy będą chcieli pójść dalej niż my, będą mieli jakis wystrzał - to proszę bardzo. I jeśli okaże się, że my jesteśmy kośćmi dziadkowie - to w ogóle spleprzamy.

MARKUSZEWSKI: Ale na razie próbowaliśmy robić swoje. Choć i z kłopotami. Więc może wróćmy znowu do cenzury.

DRAWICZ: Wróćmy. Wyglądało to w ten sposób, że - jak już mówiliśmy, najpierw cenzor czytał teksty i pewne rzeczy zdejmował od razu. O niektórych mówił przy tym, że to bezdyskusyjne, z miłą mąrową. A o innych, że się jeszcze zobaczy w inscenizacji. Potem była próba dla cenzury, tutaj zawsze się trzęśli. Ty dawałeś różne wskazówki, żeby coś zmiekczyć, albo uweselić.

MARKUSZEWSKI: Albo słabiej śmiać. Ale to się nigdy nie udaje, bo aktorzy dla każdego chcą zagrać jak najlepiej.

DRAWICZ: Kiedyś wymyślił się taką operetkę: "Sprzedaż Polaki Ludowej"....

MARKUSZEWSKI: Jednym z ulubionych chwytów Gomułki we wczesnym okresie było powtarzanie, że do wszystkiego, co jemy, w czym śpimy, w czym mieszkamy - państwo musi dokładać. Bardzo nas to zmartwiło, że tak ciągle do nas dokładają. Wobec tego wpadliśmy na pomysł - właściwie wpadł na ten pomysł Andrzej Jarecki; że trzeba ten kraj po prostu sprzedać. Jeśli się skrzyżuje, że tak dokładają, no, to sprzedać, skoro się nie opłaca. Wyprzedać po kawałku. Chce ktoś Giewont - niech kupi, chce morze - proszę bardzo, chce granicę polsko-czechosłowacką - niech bierze, jeśli mu się na coś przyda. Według obliczeń pewnego matematyka, okazało się, że każdy Polak między szesnastym a sześćdziesiątym piątym rokiem życia otrzyma w ten sposób milion dolarów. Po czym wszyscy wyjeździemy do Paryża i tam będziemy cudownie żyli. Nikt do nas nie będzie dokładał, nikomu już nie sprawimy kłopotu.... Było to fascynujące.

DRAWICZ: A na zakończenie zostawała jedna wieś pod twórcą,

nikt nie chciał kupić. Aż wreszcie kupował ją pewien amerykański milioner, ale pod warunkiem, żeby nic w niej się nie zmieniło, żeby wszystko było tak, jak do tej pory. I żeby dla nich drukowano nawet "Trybunę Ludu", żeby się nie dowiedzieli, co się z nimi stało. I mieszkający wsi pod łowiczami śpiewali taką arję: "Za prawdę nie bierze nikt cudu, czytamy "Trybunę Ludu", nam więcej nic nie potrzeba, prócz demokracji i chleba". A potem było jeszcze takie cudowne w swym idiozyncie sformułowanie...

MARKUSZEWSKI: Jareckiego...

DRAWICZ: "Ostatnie, już takiej nie będzie, gdzie indziej być może inaczey jest gdzieś, lecz tu jest tak samo jak wszędzie". Otóż nasz cenzor, towarzyszy Rusinow, kiedy doszedł kartkując egzemplarz do tego tekstu, to spłoszył i powiedział: "No, sami rozumiecie, towarzysze"...

MARKUSZEWSKI: A tam były bardzo ładne rzeczy: "Kto kupi partię, kto kupi związek", albo "Nie kupi Niemiec, nie kupi Żyd, proszący bardzo, to żaden wstyd".

DRAWICZ: "Kto kupi system, ale bez nas - taka okazja ostatni raz". Była to w pewnym sensie górna granica stylu STSowskiego.

MARKUSZEWSKI: To może jeszcze jedna rzecz o tym stylu. STSowi nie zdarzało się być afirmatywnym. To nie znaczy, że myśmy tego nie chcieli. Ale euforia trwa zwykle krótko, krócej niż robi się program. Co najwyżej przez negację jednych treści afirmowaliśmy inne. W końcu teatr satyryczny głównie operuje negacją. Ale trzeba powiedzieć, że w ciągu naszej działalności kilkakrotnie zmieniliśmy kierunek natarcia. Napisałeś kiedyś taki artykuł: "Nacleram na kierunek natarcia" - i to chyba było to, co STS robił przez cały czas swego istnienia. Kiedy władze ustalały jakiś kierunek natarcia, myśmy na ten kierunek naclerali w imię czystości intencji. A jednocześnie zmieniał się adresat tego ataku. Jak już była o tym mowa: najpierw atakowaliśmy publiczność, że nie dorosła do idei i nie czerpie z tej idei dość siły, żeby się przeciwstawić złu. Następnie zrozumieliśmy, że publiczność nie ma tu nic do powiedzenia i w imieniu publiczności zaczęliśmy atakować tych, w których rękach znalazła się władza. To znaczy tych, którzy coś zmienić mogli. I próbowaliśmy patrzeć im na ręce. To musiało być szczególnie drażniące. Gdybyśmy patrzyli im tylko w głowy, łatwiej by im było nas oszukać. A myśmy zwracali uwagę na konkretne działania.

DRAWICZ: Formułę dla naszych pierwszych trzech czy czterech przedstawień wymyślił Witke Dąbrowski i nawet nazywaliśmy go naszym politrukiem.

MARKUSZEWSKI: W czym nie było nic pejoratywnego. Politruk w naszym rozumieniu to był człowiek niezłomnych zasad, ktoś, z kim nie można niczego załatwić na lewo, kto zawsze jest pryncypialny i tak dalej. Ale jednocześnie już od trzeciego programu pojawił się nurt bardziej poetycki czy żartobliwy. Jednak Witke ciągle nadawał ton, Apogeum jego wpływu to było "Myślenie ma kolosalną przyszłość", bo chociaż tytuł ja wymyśliłem, sens programu pochodził od Witke.

DRAWICZ: Tam był ten jego wiersz: "Towarzysze, czy w waszej łrwi nie za mało czerwonych ciałek".

MARKUSZEWSKI: Witke nadawał ton także w "Agitce", choć pod względem literackim na czoło zaczął się już wysuwać Andrzej Jarecki. I wtedy przyszedł październik. No i zaczęto mwiać, że jest mała stabilizacja i że lodówka jest wszystkim. Ludzie przyjęli normalnie, ale dalej nie czuli się nasyćeni. Witke proponował dalej prowadzić atak na publiczność z punktu widzenia komunizmu wojennego, ale nam już wtedy wydawało się to idiotyzmem. Zdawaliśmy sobie sprawę, że

naród - w roku 1955 i 1956 - zachowywał się znakomicie, byliśmy pełni podziwu dla robotników z Poznania i na Żeraniu. I uznaliśmy, że nie ma sensu im dokuczać za to, że chcą żyć trochę lepiej. Doszło do wielkiej dyskusji: czy atakować publiczność, czy w imieniu publiczności atakować władzę. I wtedy Wittek odszedł.

DRAWICZ: Wittek odszedł, że tak powiem, pryncypialnie. Wielu ludzi zresztą odchodziło od STS-u na różnych zakrętach. Czasem z powodów zasadniczych, czasem z czysto prywatnych, jak to na przykład było ze mną.

MARKUSZEWSKI: Ale po odejściu Witka staliśmy się jakby mięksi..

DRAWICZ: W latach sześćdziesiątych koncepcją odłna była taka, żeby razem ze wsz kimi zastrzeżeniami wchodzić jakoś w każdy kolejny układ. Więc zaczęliśmy trochę kunktatorzyć, zaczęliśmy stosować różne uniki, kombinacje, starając się nie traścić twarzy. I wtedy niektórzy nasi dawni kibice i przyjaciele próbowali nas docisnąć: "co jest, chłopczy, bawicie się teraz w różne rewie leśne i myśliwskie i to trochę zaczyna być celem samym dla siebie, przestaje być przestogą traści poważniejszych". Co czasem bywało dość bliskie prawdy, tylko że takie były ówczesne realne warunki.

MARKUSZEWSKI: Ale z drugiej strony jedno można powiedzieć na pewno: STS nigdy nie przyłożył ręki do jakiegokolwiek zmian w gorsze w tym kraju. Możliwe natomiast, że przy kolejnych zmianach na gorzejże zasądto starał się zmieścić, przetrwać - w nadziei, że uda mu się pokazać ludziom, co jest złem. Jednak to odchylenie od pryncypłów było tak powolne, że myśmy go w ogóle nie zauważyli. Może dlatego, że tak wiele mieliśmy trudności. Po zamknięciu STS-u "amatorskiego" zrobiliśmy "Pustelnię" Horaka, tekst polskiego, śląskiego pisarza, o faszyzmie. Zrobiliśmy ten program za własne pieniądze: to też ciekawe: kiedy teatr "amatorski" zamknięto i przez pół roku nie można było doczekać się decyzji, zrobiliśmy w ten sposób dwa programy: jeden sfinansowała Agnieszka Osiecka, na drugiśmy się zrzucili. A w "Pustelni" grali tacy aktorzy jak Zapasiewicz czy Matyjaszkiewicz. I ta "Pustelnia" miała osiem pokazów dla cenzury. Aż w końcu ostatni cenzor mi powiedział: "Panie, gdyby to zrobił August Kowalczyk, to by dostał nagrodę państwową. Natomiast pana podejrzewają, że pan to robi o nich". To jak mogłem się poczuwać do konformizmu?

DRAWICZ: Poza tym w STS-ie zawsze byliśmy silniejsi w odcinaniu się od nieprzyjaciół, niż w gromadzeniu wokół siebie sprzymierzeńców. Może dlatego, że było w nas sporo zadufania, może przecenialiśmy wartość naszego własnego oglądu sytuacji. Do pewnych ludzi, do pewnych postaw - właśnie takich postaw, które dzisiaj są nam bliskie - było nam wówczas znacznie dalej. W ogóle jest tak, że pewne nurty oglądane z daleka wydają się sobie bliskie i działające współbicie, tymczasem w rzeczywistości bywa zazwyczaj tak, że to one najzacieśniej rywalizują między sobą. Nie chcę powiedzieć, że dokładnie tak było w naszym wypadku, to byłoby nieścisłe. Zawsze odczuwaliśmy sympatię do bardzo szerokiego kręgu polskiej - powiedzmy lewicy intelektualnej. Ci ludzie stanowili ważną część naszej publiczności, bywali u nas, potem, po moim wyjściu z STS-u jeszcze się te kontakty zacieśniły, wytworzyły się ściślejsze związki personalne. Ale wcześniej te myśli i idee przenikały się i sąsiadowały ze sobą, ale ściślejszego współdziałania nie było i być wówczas nie mogło. Pole manewru było jeszcze dostatecznie szerokie, był pewien luz. To dopiero dziś jest tak, że musimy wszyscy działać w ściślejszej łączności niejako czując się łokciami. Dzisiaj chciałoby się, żebyśmy wtedy byli mądrzejsi, niż byliśmy w istocie, i - powie-

dzmy - bardziej świadomi finalnego celu. Tymczasem jednak trzeba powiedzieć, że myśmy wtedy nie poczuli się do specjalnej łączności z tymi, o których ex post wiemy, że nam byli bliscy. Mieliśmy dla nich sympatię, a oni mieli ją dla nas, lubiliśmy ich utwory, ale do programów staraliśmy się brać przede wszystkim "samo życie", nie lektury. I formuły do programów szukaliśmy potem sami.

MARKUSZEWSKI: I coś jeszcze chciałbym podkreślić. Mówiliśmy dużo o małej stabilizacji. Ale właśnie to w ogóle nas nie dotknęło, od początku nam się wydawało, że jest to pic na wodę. Fedeki i Jarecki napisali operetkę, w której był taki refren: "Czy czujesz tej przemysłowski wiew, to pachnie nasze NRF, nasze mała, stódkie NRF bez pleniędzy". I na naszych zebraniach powtarzaliśmy, że największy prezent robią Gomulce ci, którzy atakują małą stabilizację jako coś rzeczywistego. Bo przecież żadnej stabilizacji nie było. Bo żeby była stabilizacja, musi być pewna ilość towaru, a tego towaru nie było. Był tylko bluff.

DRAWICZ: Dla epoki gomulckowskiej - zwłaszcza późnogomulckowskiej - charakterystyczna było przede wszystkim poczucie bezwyjściowości. I żadnych dłuższych perspektyw nie można było wymyślić, bo to był błędny krąg zamknięty całkowicie - i myśmy sobie z tego zdawali sprawę. Więcej - wiedzieliśmy, że zdają sobie z tego sprawę wszyscy, aż do przedostatniego szczebla aparatu partyjnego, że tam też widzą, że źle się dzieje i że tak dłużej działać się nie może. Natomiast nie było żadnej formuły wyjścia. I nieprzypadkowo okazało się, że zanim się coś zmieni, musi się połać krew. Bo bez tego nie można było wymyślić programu.

MARKUSZEWSKI: Może w 1956 roku można było zrobić więcej. Nie wiem. Wydaje mi się w każdym razie, że w 1956 napięcie narodowe było nieporównanie większe niż po dalszych dwunastu latach niszczenia społeczeństwa. Rozbijanie solidarności z roku 56 trwa do dziś. I wszystkie ruchy, które próbują coś naprawić, które usiłują narzucić temu narodowi jakąś moralność - ciągle nie osiągają tamtego pułapu, tamtych możliwości.

DRZEWO WYGNANIA

Artur Miedzyrzecki: Wygnanie do rymu. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, s. 48. Okładkę i okładkę projektował Henryk Tomaszewski.

Sztukę poetycką Artura Miedzyrzeckiego cenilem zawsze wysoko, muszę jednak przyznać, że dopiero lektura "Wygnania do rymu" stała się dla mnie prawdziwym odkryciem. Na tie posuchy, jaka panuje ostatnio w oficjalnych wydawnictwach, comil ten oczywiście wybiją się tym wyraźniej. Ale i w normalniejszych warunkach wiersze te, ze swoją formalną wirtuozerią, cienkim i melancholijnym dowcipem, chłodną i pełną ironii elegancją stylu, składałyby się w odczuciu czytelnika na książkę indywidualną, ważną, nie dającą się zapomnieć.

Rzecz zresztą nie tylko w walorach formalnych. "Wygnanie do rymu" - przy całej prywatności dającego się w nim słyszeć głosu poety - to książka traktująca o podstawowych sprawach, jakimi żyje poezja naszego czasu. Tytułowe słowo "wygnanie" zwraca tu uwagę jako szczególnie obciążone znaczeniami:

To drzewo wygnania to drzewo
Po co było to drzewo naszym śpiewom
Ta korona promienna bez cienia
Martwiejąca na drewno czarne
To szumiące drzewo cierpienia
Porąbane na kłody polarne

/Drzewo/

Nie pomyliły się, odczytując ten wieloznaczny fragment jako - między innymi - polemikę z arkadyjską koncepcją sztuki. "Wygnanie" to codzienny los dzisiejszego twórcy, który w pewnym sensie nie może już sobie pozwolić na błogi spokój jakiegokolwiek azylu. Dlatego właśnie symbolicznym bohaterem wierszy Miedzyrzeckiego staje się Osip Mandelstam / świetne utwory "Powolny krok centurii przygłuszał skowronki" i "A na północ półnagi półbosy..."/. W jego biografii twórczej bowiem dokonano znamienne dla całej naszej epoki zastąpienie arkadyjskiego mitu i zastąpienie jego "promiennej korony" - "szumiącym drzewem cierpienia". W tym znaczeniu "wygnanie" było udziałem Mandelstama nie tylko dosłownie. Było to również wygnanie z kultury śródziemnomorskiej, z całej dotychczasowej tradycji naszego świata. Dla współczesnego poety obszar ten nie może już stanowić żadnego azylu - napór okrutnych faktów, składających się na naszą epokę, sprowadza twórcę bezustannie na ziemię ludzkiego cierpienia, przypomina mu o jego nieodłączności od dokonującej się tu i teraz zastydy:

To nie gazony szumią to szumi gaz
Nie na kogoś dybie los to na ciebie/.../
I nie za borem-lasem nie za groblą
Ani gdzieś tam ani kiedyś tam

/To nie Orfeusz śpiewa to pisk myszy/

W gruncie rzeczy zresztą tego rodzaju czył nie istniał nigdy. Jeśli widzimy w śródziemnomorskiej tradycji oszę harmonii, padamy tylko ofiarą idealizacji i błędnej perspektywy:

Kiedy myślą o przeszłości są wybrańcami losu

Żaden nie bywa nigdy

Skazańcem pożerany przez lwy

Więźniem tyрана /.../

Rozprawiają o upadku obyczajów

Starożytnę harmonii

Nigdy o swoich dzikich przodkach

Najeźdźcach rozrąbujących posąg

/Kiedy myślą o przeszłości/

W tym fragmencie swojej wizji Międzyrzecki bliiski jest Herbertowi z jego ironicznym rozumieniem antyku i mitologii. Dodaje jednak do tej koncepcji nowe elementy. Schronieniem pozornym i nieatrwalym okazuje się bowiem w jego wierszach nie tylko kultura, ale i natura. Człowiek nie może szukać w niej ucieczki od trosk i cierpień, jakie niesie mu świat cywilizacji - nie może mimo, a raczej właśnie dlatego, że w gruncie rzeczy jest fragmentem świata natury. I "jeśli ją niszczy - jest jej samozniszczeniem" /wiersz "Historyk bołaje nad naturą"/. W trudnej sztuce "gospodarzenia się samym sobą" /wiersz "Habeas corpus"/ człowiek nie znajduje znikąd pomocy.

Cóż pozostają jeśli twórczość, to nie każda i nie wszystko jedno jaka. Międzyrzecki - w poprzednich swoich tomach ironicznym przedrzeźniacz afektowanych "pohatów" - również i w ostatniej książce przypuszcza bezlitosny atak na pozycję tej poezji, która "na wstrząśniętym skrawku tej ziemi głodu" i "pod niabem katastrof" poprzestaje na "literaturze uspokajających faktów", "letniej wodzie w sztucznym basenie".

Prowadzą ci książki:

Twoje martwo narodzone nowoletki o niczym

Twój księgowy w masce wykiętego artysty wie co zamierzasz i podaje ci hasła dnia

Publikuj albo gin i nie wysilaj się na oryginalność

/Titivullius/

W pozornie łagodnej, dobrodusznej ironii Międzyrzeckiego czai się katastroficzna determinacja. Jest to nie tylko - jak można by sądzić na podstawie kilku wierszy - popularny dziś katastrofizm "ekologiczny". W liryce tej zagrożenie ogarnia oprócz świata biologicznego także nasze życie duchowe. Nasze czasy widzi dziś autor "Wygnania do rymu" - podobnie jak m.in. Wł. Sława Szymborska w swoim niedawno wydanym, równie przejmującym tomie - jako epokę "wielkich liczb", w których ogromie ginie pojedyncza tożsamość ludzkiego losu:

Los-kancelista zastąpił się nowym regulaminem

Był zarządzeniem żywiołów jest zarządzeniem władz

Trudno uwierzyć że był kiedyś osobisty jak dusza

Znał po imieniu tych nieszczęsnych królów z pętlą na karku

Zbiurokratyzował się i odrętwiał

Po dawnemu wycina las. albo. naród
 Ale na chybił trafił i ratuj się kto może

/Los-kancelista zastania się nowym regula-
 minem/

W takiej sytuacji "wygnanie" artysty jest rzeczą niajako natu-
 ralną. Ale rzecz znamianą, że w ujęciu Miedzyrzeckiego jest to nie
 tylko wygnanie skądś - z mitu, z tradycji, z azylów kultury czy na-
 tury - lecz jednocześnie wygnanie dokądś. Właśnie tytułowe "wygnanie
 do rymu":

Wygnanie z wygnania w wygnania /.../

Wygnanie w przedrzeźnianie

W zaklinanie żywiołów śmiechem

W Niniwy gruz prawdziwy

W Ironię magiczną

/Roztąki/

W istocie "magiczna ironia" okazuje się nieraz jedyną bronią
 twórcy. Zalecając w przasmięsznym - ale i smutnym bardzo wierszu
 "Pod jaskinią" metody osławiania troglodyty:

? / Trzeba tylko umiejętnia postępować

Zachować cierpliwość /.../

To inna konfiguracja Innej kultury

Trzeba mu dać odczuć że umiemy ją uszanować

Okazać uprzejmość i sympatię

Nia prowokować

- Miedzyrzecki daja równocześnie pokaz postęgiwania się tą bronią.
 "zaklinania żywiołów śmiechem": nie tyle po to, aby je zupełnie ob-
 taskawić /bo wie dobrze, że to niemożliwe/, ile aby im przeciwsta-
 wić coś więcej od nich wartago: kruchą i haroliczną niezawistość ar-
 tysty.

na których już ze dziesięć lat
 będziemy wyglądać jak dziesięćnastowieczni
 studenci uniwersytetu w Dorpacie lub Grazu
 niewiarygodni aż do przesady
 /Opalen! maturzyści oto kim byliśmy
 Błyszcząca czerwone krawaty
 jak obłędnie lepszego życia/
 I co powiemy tłumacząc się przed nimi
 ponieważ na pewno zapytają
 nas z niechęcią ale jak mogliście
 w ten sposób żyć

I właśnie ci robiący sobie dziś zdjęcia młodzieńcy powinni
 wiedzieć, że sami się u siebie kiedyś upomną o swoje życie, że
 ich młodość wróci kiedyś jak niem wyrzut sumienia. Nasza przys-
 tość bowiem decyduje się teraz, a wiek dojrzały będzie sprawdza-
 nem naszej dzisiejszej wrażliwości.

Kim est bohater wierszy Zagajewskiego? Co go ukształtowało?
 W jakim żyje czasie i w jakim miejscu? Nie są to, wbrew pozorom,
 pytania jedynie retoryczne - przeciwnie: próba odpowiedzi na nie
 może okazać się dość skomplikowana. W "Skardze młodzieńca z daw-
 nych lat" czytamy:

Po raz pierwszy płakałem po śmierci Stalina
 dyktatorzy noszą przy sobie cukierki dla dzieci /.../
 W wieku lat dwudziestu straciłem wiarę
 ale udało mi się to ukryć

I niby wszystko jasne - jesteśmy tu i teraz, w drugiej poło-
 wie wieku dwudziestego - dziecko płaczące po śmierci dobrego dzie-
 dź Stalina. Ale oto przecież, również w drugiej połowie naszego
 wieku "W encyklopedii znowu zabrakło miejsca dla Osipa Mandelstam-
 a":

Zamykasz książkę huk wystrzału i biały
 papierowy kurz łaskocze nos jest włączór
 łaciński pada śnieg nikt już nie przyjdzie dziś
 pora snu lecz gdy zapuka do twych cienkich drzwi
 otwórz mu

Bezdomny Mandelstam pod moimi drzwiami, przestrzelona
 czaszka anonimowego zesańca kłania się w progu, "łaciński pada
 śnieg"... I oto jak w powieści Bochańskiego o Owidiuszu odbywamy
 podróż w czasie, przeszłość przenika nasze teraz, wynurza się z
 ciemnego mroku zbiorowej pamięci. Tak jak - inaczej jeszcze:

W kwaśnym zapachu wódki
 w połowi naszych lat przydziesiątych /.../
 zaraz się szklane drzwi otworzą
 wyleci szyba i na wezwanie
 w wysokich butach i w peruce
 zjawi się demon lat czterdziastych

/"W kwaśnym zapachu wódki"/

I oto już nie wlemy, w którą stronę czas płynie, czy to my, dziś trzydziestoletni, boimy się "demonia lat czterdziestych" naszego wieku, który powróci /historia się powtarza/, czy też w "powstanie lat trzydziestych" naszego wieku ukazuje się, jak katastrofistom wileńskiej awangardy, czas przyszły, lata czterdzieste, czy też wreszcie to my sami siebie widzimy "w kwaśnym zapachu wódki" za lat dziesięć.

Mieszają się czasy, pamięć przenosząca przeszłość przerasta w wizję przyszłości, żyjemy tu i teraz, żyjemy poza czasem, ponad nim lub też on w nas żyje.

3.

Podróże, zwłaszcza w czasie odbywane, kształcą. Okazuje się oto, iż wśród zmiennych, choć czasami podobnych, niemal identycznych sytuacji, wśród nich i ponad nimi funkcjonuje sfera naszego istnienia niejako niezmienna /choć i to okaże się względne/, stonująca jak gdyby punkt odniesienia dla tego wszystkiego, co w czasie naszych podróży oglądamy. Jest to sfera wartości. I do niej się - w ostatecznym rachunku odwołujemy w próbach opisu naszego "tu i teraz", i dzięki niej też wychwytyjemy owe podobieństwa i analogie, które następnie wykorzystujemy w wielkim, toczącym się poza i ponad czasem dialogu kultury, dialogu, który wycisza bojowe okrzyki wstępujących pokoleń, który do krzyku podnosi szept samotnych modlitw.

Jak to się dzieje, jak następuje owa zmiana tonacji, przekład racji na emocje. I zmiana emocji w racje, na czym polega owa dziwaczna dialektyka. I czyż nie jest jej ironicznym opisem otwierający tomik Zagajewskiego wiersz "Ilość":

Zgodnie z prawami dialektyki
 ilość przechodzi w jakość
 Niekiedy jednak zdarza się
 że przemiana ta nie dochodzi do skutku
 Wówczas taka nadmierna, tęga ilość
 przypomina starą pannę,
 płacze i śmieje się bez powodu.

Owo "zdarza się" jest tu wychwyceniem swoistego "bezprawia dialektyki", które, rzecz jasna, niewiele zmieria w historii, lecz za to odczuwalne jest, nieraz bardzo dotkliwie, w życiu. Bo gdy taka "nadmierna, tęga ilość" zaczyna śmiać się i płakać bez powodu, wówczas bywa, iż uczestniczymy w tragedii lub komedii, najczęściej zaś w tragikomedii odnotowywanej /jeśli w ogóle tam się zmieści/ w podręcznikach historii jako "wydarzenia", "wypadki" lub jakoś tam jeszcze, co dla nas, tu i teraz żyjących, ma zgoła inne znaczenie niż dla tych, którzy na lekcjach historii dostaną czwórkę miast piątki, bo przekroczyli granicę błędu myśląc się w określeniu ilości zagazowanych w Oświęcimiu o sto tysięcy...

inaczej bowiem działają prawa dialektyki w historii, inaczej w życiu, które na ową historię się składa. Dlatego też bohater tych wierszy nie bez sarkazmu zauważa:

Jestem chyba zwykłym mieszczchańskim
 obrońcą praw jednostki, słowo wolność
 rozumiem bez nadzwyczajnych klasowych
 ograniczeń

/ "Ogień" /

W obliczu rozpryskujących się systemów wartości, w świecie względnych racji i bawzwiądných konieczności przyszłość jawi się w wierszu nawiązującym do słynnej "Pieśni" Borowskiego - jako czas terazniejszy niedokonany, jako niespełnione marzenie o świecie "umebłowanym dniami i nocą osłoniętym" /"Spróbuj odpowiedzieć"/:

W tak wiotkie kartki otuleni
w mięciutkie kołnierzyki stron
w tekturze i plastiku
z erratą która jak najszczęszyć list
poleca się pamięci
Zostanie po nas rozsypany
drukarski skąd
i wyptowiały szkic nadziei

/"Zostanie po nas"/

Teśnkota do świata harmonii w świecie, w którym "encyklopedii zabrakło miejsca dla Osipa Mandelsztama" ocalającego w swych wierszach owe stare miary, a więc w świecie, w którym dialog zastąpiony, a raczej wyteplony został przez monolog "zażywej urzędniczki, która trzyma w ręku zwyczajne nożyczki" /"Mała piosenka o cenzurze"/, w tym świecie owa teśnkota wydaje się anachronizmem, dziwactwem "zwykłego mieszczkańskiego obrońcy praw jednostki". Stąd też zarkazm tych wierszy, skądinąd spokojnych i wyważonych. Bo oto nawet świadomość własnej tożsamości zostaje tu podważona:

Ten kto czyta moje listy
Jest niecmał mną
Jak nieznaný przyjaciel
I wynalazca nowej ortografii
Pedant on lepiej wie
Kim jestem i czego chcę

/"Ten kto czyta moje listy"/

4.

Alie to, co najbardziej uderza w nowych wierszach Zagajewskiego, to nie trafność opisu własnej sytuacji, czujność wobec otaczającego świata, jacz wyrosta ze zderzenia praw życia z prawami czasu autoironia, dystans wobec własnych sądów i marzeń, ta swoista pogoda, która staje się efektem oświecenia naszego "tu i teraz" - promieniem ponadczasowości. Stąd mimo wszystko "zostanie po nas" jeśli nie głos nasz, to echo tego głosu powtórzone, przeniesione ponad strefę milczenia i kłamstw tak, jak przeniesione zostały nad czasem strzępy pism Heraklita, strzępy, z których umiemy przecież odbudować jego wizję świata.

Ars longa, vita brevis: a więc przypadłość czasu, w którym przyszło nam żyć, jest przypadłością, która przeminać musi, gdyż choć "przygarnie nas kłamstwo które zawsze czeka i małość niezbędnych przyzwyczajień", to przecież "ostry smak myśli znów rozbudzi rozum" /"Wiemy wszystko"/. I stąd też apel:

Nie pozwól rozptynąć się skupieniu
Niech nieruchomo trwa blyszcząca chwila
choć kończy się kartka i migoce płomień
Jeszcze nie dostajemy do siebie

powoli jak zab mądrości rośnie wiedza /.../

Nie pozwól rozpuścić się skupieniu

W suchym twardym materiale

prawdę masz utrwalić

/"Nie pozwól rozpuścić się skupieniu"/

Zostanie więc po nas prawda, w najgorszym razie jej echo. Zostanie, jeśli potrafimy ją zatrzymać w twardym materiale znieruchomiałej, błyszczącej chwili, gdyż "to co miją nie w próżnię się obraca". Życie zatem trzeba w nieustannym skupieniu, by ta "chwila" naszego istnienia przeniosła prawdę o czasie, w którym przyszło nam to życie spędzić.

PAŃSTWA ŚWIATŁY KÓŁO + I ŚWIAT PRZEZWIĘTY

Stanisław Barańczak: *Ja wiem, że to nielustownik*, Warszawa, Biblioteka Kultury, 1977; Warszawa, Wieloletnia Oficyna Wydawnicza, 1978

Od pierwszych słów tomiku jasno się to widzi, że + I od pierwszych słów wiemy, że to nie publikacja popularna, a nasz codzienna rzecz: wstąpił Płk. "Świat tych wierszy, co świat, w których żyjemy naprawdę" + plusz o przedmiotach przedmiotach rzeczy, Adam Michnik. Między! Jednak warto spojrzeć na to jeszcze, "w których żyjemy naprawdę", to właśnie naszym powstaniu słowa wierszy świata "zakazano mówienia" jest paradyks, że świat, w którym żyjemy naprawdę, to świat, którego nie ma na przykład "Wieloletnia Oficyna Wydawnicza" + ten brzozyński tytuł sam się narzuca, świat dany nam przez media naszego świata i sławny, to świat, od którego dopiero trzeba się wywinąć, by się od niego uwolnić nie naszywaństwo, świat prawdziwy, do którego trzeba dopiero dobrać za wszelką cenę, wywołując się o palce i język.

Gdy przedtędy polskie nie w krytyce same pojęcia "poezji lingwistycznej" + wywołanie się, że wzięliśmy się do tego w niekto, lecz idąc o jakiegoś, który nie w swej (chociaż) zabawie w "bucki-kiucki", w burzenie językowych zasadach przez praktyk frazeologii, stworzenia itd., by składać następnie z uwiecznionych elementów nowej kombinacji zaskakującej + przez to zachoceni jako odwołujący świat, jakby od kryjącą nowy aspekt rzeczy, lecz zarazem nie zakorzenione w żadnej innej autonomii, jak tylko ludzkiego języka.

Końcówka śladzi drogą samą samą poetyckich XX wieku, wiadomo, że przede, że jedna odkrycie dokonane na tym obszarze wie chodzą sebie luzem i nie było samo w sobie i nie słabiej. Wszystko co istotne w sztuce wiąże się z nią i wiedza z potęgą, choć często trudno dostrzeżalnymi na charyzmatycznej powłóczki i jawnie kultury, przedmi poznawania o zasadniczej wadze i znaczeniu. Wiek XX przyniósł i w nauce, i w sztuce, i w filozofii ogromny wzrost uwagi dla narzędzi poznania i narzędzi wyrazu - podobać gdy trądyje XIX wieku była "herdona" merytoryczna, a dalej wstrząsowa. Niezależnie od tego, że to nie dzieje się: wiek XIX - wiek XX, jeśli już symbolizuje i by pozostać przy poezji/ rozpoznać to tendencje w sztuce. Gdy więc wykultura "poezja lingwistyczna" - dla bystrzejszych obserwatorów było widoczne, że ona swa miejsce w nurcie, którego sens historyczny nie pomógł się w dziedzinie rozrywki myślowych. Ale na rozrywki myślowej mogłoby jednak wszystko się skończyć, na koniecznych uwzględniając, o funkcji niekoniecznie przesła humanistycznej (choć warto dodać, że praktyka poetycka Mirosła Niewszewskiego, bez którego eksperymentalizm nie nurt byłby ubogi i kłóci, którego świadcząją "poezji lingwistycznej" szczególnie dużo - na własną ścieżkę duży ładunek humoru; rzadko kiedy poczucie humoru tak broniła samą naturę poetycką, jak u Niewszewskiego/.

Barańczak, m. in. autor monografii o "Języku poetyckim Mirosła Niewszewskiego", od początku swą twórczość był zapoczątkowany autonomniczną mechaniką języka. Jego to głównie będzie zasługą w historii literatury polskiej - jak się zdaje - odkrycie szczególnie przednich możliwości "poezji lingwistycznej", wyprzedzających tę technikę w świat rzeczywistych spraw ludzkich.

Już Orwell zauważył zjawisko "nowomowy", planowego twórczenia przez totalitarną propagandę nowego systemu semantycznego, rozbiłającego, a raczej zderającego stary. Nowomoda fałszuje poznanie świata, wykoślawia i degeneruje ethos ludzi poddanych jej działaniu, niszczenia postawy podżądane przez jej twórców i zarządca je programuje, staje się rakiem kultury. Orwelle interesowało to zjawisko jako wytwór totalizmu, który przedstawił w "Idealnej" jego postaci - ale trzeba dodać, że analogicz-

na zjawiska mogą być powtarzane poza zasięgiem totalizmu + i na to właśnie wskazuje uwagę krytycy liberalnej w zasadzie i niekonformistycznej kultury zachodu. To dwa odrębne problemy: totalizm wytwarzający konformizm + i konformizm, który może wytworzyć totalizm.

Sądząc, że nie jest bynajmniej to, dzięki rozważaniom dyktanta o konwencjach i zasadach tendencji, których znaczenie odkrywczym posiadaczem jest w naszej literaturze Baranowski. Zrozumienie tego, jak logicznie jego poezja wyrosła z najbliższych tradycji poetyckich i z myślowych tendencji XX wieku - porównanie jest do ocenienia jej oryginalności i funkcjonalności, do sprawiedliwego sądu w niniejszym wykładzie, przed dziesięć laty poświęconym awangardyzmu z obecnością w życiu, co czynią najbardziej liczącą się część tego pokolenia.

Baranowski, który żyje nie w domu, a nie w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku, interesuje wariant totalizmu wytwarzającego konformizm we współczesnym masowym społeczeństwie: interesuje w wielu płaszczyznach, może przede wszystkim w płaszczyźnie poznawczej: zdefiniować latwiej jest stan rzeczy środkami poetyckimi, określić go, określić wizerunek swoje emocje wobec tego stanu rzeczy /w poezji nie ma poznania potoczności/; a w rezultacie i szukając wyznaczenia. Jest to poezja eotariologiczna, choć nie utopijna. Vell pokazywać drogę ku wyznaczeniu, niż pokazywać, co znajduje się na końcu tej drogi. Daleki tętu nie jest natura, choć jest bardziej zmysłowa.

Wywołanie się z wojennymi sloganami, z tego, co sferballizowane w propagandzie przez duże P + musi dokonać się n.in. na poziomie języka, jedne z podstawowych metod języka poetyckiego Baranowska jest zderzenie języka oficjalnych sloganów - z językiem kolokwialnym, codziennym. Wykorzystuje on w tym celu strukturę frazeologiczną języka, by przed ukazać, co mieści się w ciągu analogii frazeologicznych - ostatek zyczeniowej rozprawy, krytyczną powściągliwość. Asocjacja - wyrażony, wyrażony - przeciwności różniące je asocjacje sloganów analogicznych, nie przewidzianych przez propagandyistów, jak to widać w konfrontacji frazeologicznej. Korzysta z nieliterackich frazeologicznych frazeologicznych frazeologicznych /"co jest grane"/; przypominając to np. robocze "nowa strona" w "to prostu"; frazeologia potocznej języka nie sąle dalsz w tym wdrożyć narodów, jak kiedyś wystraszony. Wykorzystuje przesada nie tylko frazeologicznej - choć to przede wszystkim - lecz i słowotwórczo, a nawet współbrzmienia nie warte przez znaczenia ani etymologii. Generalna zasada tego niechcimy jest bawiliem, od najniższych części słowotwórczych po często porównawczą szczyt konstrukcyjną wierzący.

Analiza tych technik wiersza jest obstaranej rozprawy seminaryjnej lub magisterskiej, bądź rozdziałów przyzycznej monografii. Tu nie jest dobre miejsce na ten rodzaj niwizacji, więc tylko garść przykładów ilustrujących.

Wiersz "to nie jest rozmowa na telefon" - np. jeden z kilkunastu wierszy w zbiorze - składa się np. z czterech paralelnych strof /"więc przypuśćmy, że tak" - "więc powiódmy, że tak" - "więc zgodźmy się, że tak" - "więc niech będzie, że nie"/, tu parataksa kontrastująca; następuje czterech paraleli każdej ze strof jest część zdania z użyciem różnych wariantów słowotwórczych zbudowanych na podstawie zdania "to nowa" /"to nie jest rozmowa na telefon" - "to nie jest wymowa na czacie" - "to nie jest umowa na zawsze" - "to nie jest odmowa na serle"/; dominuje oczywiście część frazeologiczna dana w tytule. W wierszu "co jest grane" - błędnym kolozem jest taki, jakbyśmy ze słotek frazeologicznych języka potocznej traktowali z całą doświadczeniem "muzyka ludowa w radio, wojskowe marsze na ulicach, /.../ na estradach pieśni młodzieżowe" itd. w drugim ciągu paralelnych wierszy, kolozę się to zaś z "odgrywanym pantemim" i "graniem w telgra". W wierszu "w zasadzie niemożliwe" jeśli z "odwrotna szta" świąt państwowych kolozę się na zasadzie psa pawłowskiego "a koloz tej jest czerwony" - to zasada paraleli z nieodpartą logiką

po "wielkich portretach malowanych techniką wciérkową" podsuwa: "a kolor ich jest brunatny". Czasami są to tylko asocjacje dźwiękowe /tytuł: "Tłum, który tłum i tłumaczy"; sugeruje to jakąś fantastyczną etymologię, jak w magicznym języku Chlebnikowa/; przeważnie jednak skojarzenia mają wyraźną podstawę semantyczną.

Z punktu widzenia tej techniki i zarazem istotnego sensu poezji Barańczaka modelowym wierszem z zbioru jest dla mnie "Co jest grane". Z metaforycznej zbitki frazeologicznej poeta wyciąga maximum konsekwencji przez udostownienie metafory: jest to udostownienie selektywne - buduje ono poetycki obraz jednego z aspektów egzultującej socjotechniki masowej kultury w wydaniu "socjalistycznym": tu "lingwistyka" niewiele już mogłaby pomóc, gdyby nie wizja wynikająca zarazem ze znajomości realiów ocenianego świata, jak i z koncepcji intelektualnej ich sensu. Ale bez rusztowania stworzonego przez technikę "poezji lingwistycznej" byłoby to nie tylko inny wiersz - lecz też wiersz mniej cenny. Można w tym widzieć "adaequatio rei et intellectus" używaną specyficznie poetyckimi sposobami. Tylko poezja może nam to powiedzieć niezależnie od tego, czy analogiczne treści znamy lub umielibyśmy wyrazić jeszcze inaczej.

"Jeszcze inaczej" - chodzi tu po prostu o niebezpieczeństwo zarcarla granic między poezją a publicystyką. Nie życzyłbym tego ani poezji polskiej, ani Barańczakowi w szczególności, ani sobie, jako poezji miłośnikowi. Tu posunięto się dalej w kierunku "zaangażowania" poezji, niż to się zwykle bezkarnie dla artysty udaje. Sukces poetycki omiñcia rąfę publicystyki zawdzięcza Barańczak właśnie tym różnicznym wynalazkom, których sens da się sprowadzić do tezy, że w naszej epoce bardziej niż kiedykolwiek uwikłaliśmy się w język, że język bardziej niż kiedykolwiek w nas wrósł - i że wyzwolenie w jakiejś mierze musi być krytyką języka dokonaną znów w języku, tym samym i już innym zarazem. Przez tę sieć uwikłań i prób rozwikłań prześwituje dopiero cały nasz bogaty świat ubogiej codzienności.

Język poetycki Barańczaka jest więc z jednej strony barokowo bujny, wówczas gdy żongluje słowem, a nawet jego cząstką, zlepkiem frazeologicznym, kołokwializmem, konstrukcją asocjacyjno-paralelną - z drugiej strony szary /ubogi?/, bo adekwatny do naszej codzienności. To ten świat, któremu piękne świadectwo daje w drugiej części wiersza otwierającego zbiór /"W zasadzie niemożliwe"; "... ludzie, którzy w zimowy przedświt - jadą tramwajem do pracy: ich ręce zbyt są zajęte przytrzymywaniem teczek - z drugim śniadaniem, aby mogły sięgnąć - po książkę, zresztą jest zbyt ciemno" itd./, metaforyka tu uboga /jeśli nie liczyć metafor o funkcjach związanych z frazeologią/, za to olśniewająca celnością gdy się pojawi /krew - "czerwony atrament śniegu"/; obrazowanie - precyzyjne, oszczędne, podporządkowane funkcjom intelektualnym /widać to doładnie w "Fotografii pisarza": cały ten obraz jest tak znaczący w każdym elemencie, że aż wkracza w rejony pokrewnie alegorii; nieautonomiczny do ostatnich granic; ascetyczny w ograniczaniu się do sensu - a widać to tym bardziej, że zaczyna się nieoszczędnie, bujnie, z metaforą rozbudowaną aż ku fantastyce, jak u Saint-Paul-Roux i u Schulza/.

Ma rację Michnik we wstępie, gdy zwraca uwagę na realia polityczne temu i traktuje poezję Barańczaka jako głos pokolenia zwistującego nadzieję. Może lepiej w takim razie byłoby pisać o tej warstwie, a nie aż tyle o warsztacie?

Ranga pisarstwa Barańczaka polega jednak m.in. na tym, że nie jest on, co prawda, poeta zupełnie nie potrzebującym komentarza i gloss /tyczą one sensu odniesień do tradycji intelektualnej i literackiej, co tu zostało załadnie ruszone/ - lecz w tym co mówi bezpośrednio nie potrzebuje w zasadzie komentarza dla swych współczesnych. Mówi jasno i czytelnie, uświadamiając nam tylko, że świat, który do brze znamy, ma jeszcze i ten właśnie aspekt, który on chce pokazać.

Wz bogaca naszą wiedzę o nim, - pozwala obejrzeć go jeszcze raz swoimi oczyma, i liczy na to, że mówi o czymś, co już uprzednio jakoś w zasadzie przeżyliśmy wspólnie. Liczy, że mamy wspólny świat i wspólne wartości.

Wspólne wartości ... Poezja Barańczaka jest moralistyczna. Na ogół nie wzywa wprost: to czyń - a tego nie czyń; ale i nie ukrywa tego, co w tej sprawie miałby do powiedzenia. Miłosz i Herbert zdobywali się na patetyczne "ty" wielkiej retoryki moralistycznej - Barańczak, używając "ty" lirycznego, najczęściej sarkastycznie ironizuje /por. "Ugrzyź się w język"/. Nie zważa to w niczym faktu, że jego liryka jest zarazem i moralistyką; a np. wiersz "To mnie nie dotyczy" można wpisać bez obaw do antologii najlepszych tekstów polskiej poezji moralistycznej obok wierszy wymienionych wyżej wielkich współczesnych.

Na świat, który przedstawił Barańczak, zgadzam się bez oporu, że jest taki właśnie, jak go poeta pokazuje. Mam jednak jedno zastrzeżenie. Wiem, że najtrudniejszą rzeczą z trudnych jest uprawianie moralistyki, której nie wolno przekroczyć skąpo zakreślonych granic patosu. Miłosz i Herbert operują perspektywą całej epoki. Wynika to w znacznej mierze z ich perspektyw biograficznych. Stąd nie muszą hamować tonów patetycznych, jeśli im są artystycznie potrzebne. Totalizm w pełnym wymiarze, a więc hitlerizm i stalinizm, stwarza warunki do takiego patosu. Tymczasem jeśli czytam "Autentyk" w zbiorze "Ja wiem, że to niestuszne" - jestem sceptyczny co do "trzasku drzwí od windy lub kroków na schodach" "podrywających nas ze snu". To już nie to podrywanie. I nie o godzinie powrotu z dancingu. Piękny poetycko wiersz "Gdzie drwa rąbią" /11/" /otwiera się w nim nagle rozległa panorama przypominająca Ustęp III części Dziadów i śmieć Mandalsztama/ - to też patos nie wleży z życia hic et nunc. Trochę, na szczęście, niezupełnie "hic" i niezupełnie "nunc". To już co innego. Zresztą odpukajmy w niemalowane drwa...

Może bezprawnie chce odebrać poecie prawo do panoramicznej syntezy, wykraczającej poza klasne szranki czasu i przestrzeni? Może, Wiem jednak, że patos wiersza "To mnie nie dotyczy" jest z innego arkusza historii, niż patos wiersza "Gdzie drwa rąbią".

Dobrze, iż tomik ten, jednolity w swym stylu i wymowie jak rzadko się zdarza - zawiera jednak również parę akcentów innych. Obecność wiersza "Chciałbym się raz dowiedzieć, co właściwie", zadający "bezzinteresowne" pytania ostateczne - i podobne w jakimś sensie wiersza "Całe życie przed tobą" - nadaje całości głębszą perspektywę. W zbiorze panuje atmosfera zdrowego rozsądku i potoczego doświadczenia. W wierszach tu przytoczonych otwiera się perspektywa inna, metafizyczna i egzystencjalna.

Barańczak podjął wielkie ryzyko. Ta poezja jest w pewnym sensie manifestem politycznym. Miejscami mówi prawie to samo, co publicystyka. Ale jednak niezupełnie to samo - i zupełnie inaczej. Ta sprawa, oczywiście, wielkiego talentu i dojrzałego, świadomego warsztatu. Chodzi jednak nie tylko o to. Coś jest z naszym życiem takiego, co każe analogiczne ryzyko podejmować wielu innym: Krynickiemu, Zagajewskiemu, Błeziniowi i Sułkowskiemu, Dymarskiemu i Pawlakowi oraz nie wymienionym. Różnią się talentami, indywidualnościami, kulturą literacką itd. itd. Łączy ich znamienna więź pokoleniowa, której dominantą jest chyba gwałt wolności i autentyczności, a jedną z cech wspólnych - dyscyplina powściągliwego pisania /często związana z poczuciem humoru/. W tym pokoleniu Barańczak ma miejsce pierwsze. Co więcej - ma już chyba trwałe miejsce w naszej literaturze, gdyż powiedział znakomicie to, co powiedziane być musiało.

LITERATURA. POWIEŚĆ.

Wiktor Woroszyński: Literatura. Powieść. Instytut Literacki

Paryż 1977. Biblioteka "Kultury", tom 281.

Osobliwy tytuł: wydaje się tautologią, a okazuje paradoksem. Potwierdzenie najbardziej oczywistych oczekiwań/"to jest literatura", "to jest powieść"/ jest na tyle ostentacyjne, że aż niewiarygodne; zwracając uwagę czytelnika na gatunkową specyfikę utworu, pozwala mu zarazem spodziewać się jakichś innowacyjnych realizacji. Można równiaż odczytać tytuł inaczej: jako sygnał ważności płaszczyzny metaliterackiej /"powieść o literaturze"/ i autotematycznej warstwy książki. Jeśli odpowiedź na pytanie pierwsze /o genealogiczne własności tej powieści/ zmienia konwencjonalny pogląd na wyznaczniki i rozróżnienia gatunkowe, odpowiedź na drugie /co tu jest nazywana literaturą/ zmusza do skorygowania tradycyjnych przeświadczeń o szczególności przedmiotu posiadającego zespół cech świadczących o jego "literackości". Tendencja do budowania swolstych dokumentów literackich, mieszających konwancje literackie z dokumentalnymi, powieść z formami autobiograficznymi, jest współcześnie dosyć rozpowszechniona: Rynek i Nierzeczywistość K.Brandysa, a bardziej jeszcze Kalendarz i Kłopoty oraz Kompleks polski T.Konwickiego - to natychmiast przychodzący na myśl przykłady spotykanych odmian i możliwości konstrukcji powieściowej, opierającej się m.in. na łączeniu heteronomicznych form, technik i tworzywa. Znaczenie Literatury W.Woroszyńskiego wydaje się dla tych poszukiwań szczególnie istotne; z uwagi na obfitość charakterystycznych rozwiązań, a przede wszystkim dzięki uczynieniu z rysującej się tu problematyki /fikcyjności i prawdziwości, literackiego wyrażania podmiotowości, "istoty literatury"/ zasadniczego tematu poznawczej akcji utworu.

Jednym z ważnych znamion kompozycji tego rodzaju jest świadome przetwarzanie granic autonomii przedstawionego świata, otwarcie tekstu na dwie "zewnętrzności": płaszczyznę rzeczywistości społecznej pewnego czasu i problematykę jednostki uwikłanej w historię oraz płaszczyznę tradycji literackiej z jej zasobem wzorców gatunkowych, konwencji, pełnionych przez literaturę funkcji. W przypadku Literatury tym dwu, porządkom odpowiadają dwie ściśle związane z sobą warstwy książki: wspomnieniowa - wyznaczona przez przywołany materiał, zdarzeniowy skupiony wokół postaci Woroszyńskiego, oraz autotematyczna - obejmująca m.in. refleksje dotyczące podejmowanych przez podmiot autorski czynności pisarskich, ich podobieństwa lub odmienności od innych współczesnych sposobów literackiego mówienia, takich na przykład, jak analogiczna koncepcja kompozycji tekstu zrealizowana w Rynku K. Brandysa:

".../ w popłochu śledziłem konstrukcję tak podobną do mojej, zwierzenia, cofnięcia w czasie, analizy, notatki z lektur, nawet fragmenty fikcji literackiej wmontowane w pamiętnik, tyle zbieżności!.../ To nie tak. Trop pokrewieństw formalnych jest tropem mylnym, on napisal, ja piszę: dwie różne książki, bo jego samotność jest czymś innym niż moja samotność, i jego przekroczenie granic, zespolenie się z tym, co wokół, czymś innym niż moje, współzawodnictwo nie istnieje, nie mamy sobie czego zazdrościć, książka to nie pomysł, pomysł wisi w powietrzu, jest najprostszy z możliwych, książka to ten, który wyrwał się z siebie i wszedł w nią, i stał się, nie piszemy pomysłami, piszemy sobą, nie ma dwóch takich samych" /s. 111-112/.

Żłudna jest jednak prostota tej konstrukcji, zasadniczy problem skryty jest przecięt w "owej drodze ciemnej od siebie wewnętrzznego do

słabie oznaczonego dla innych" /s.111/. Zastugą literatury jest własnie uświadomienie złożoności problemu, niejasnego statusu owego "ja" w tekście. Obraz podmiotu wyłaniający się z lektury książki wydaje się bowiem co najmniej potrójnie zapośredniczony - przez rzeczywistość historyczną, instytucję literatury i świadomość piszącego. "Anegdota o Mistrzu, migawkowe zdjęcia Tadeusza, szukam siebie, pisze o sobie, ale ja to oni, oni to ja, Tadeusz, Włodek, Mistrz, dziewczyna z Paryża/.../ wszyscy weszli we mnie, przeszli przeze mnie, opuścili mnie, we mnie zostali /.../" /s.136/. Relacja pierwsza pokazuje Indywiduum w sieci ról społecznych i interpersonalnych stosunków, w splocie wielorakich czynników motywujących podejmowane decyzje i wyrażane przekonania. Każde z przeszłych zdarzeń zamknięte we własnej czasoprzenności pamięć równoważy i zestawia z innymi. Logika tej skojarzeniowej kompozycji jest "zbiorem ruchowym, którego fragmenty nieustannie przemleszczają się wzajemem siebie, zachodzą na siebie, niekiedy giną bez śladu lub wyłaniają się tuż pod powierzchnią tego, co jest mną dzisiejszym, dobijają się, pęcznieją, znów opadają w dół. W zbiorze tym wszystkie miejsca mogą sąsiadować ze sobą, i każdy "ja", dziecko, młodzieniec, meczynia, jestem sobie równy /.../" /s.16/.

Dystans czasowy i światopoglądowy piszącego opatruje każde z tych przypomnień znakiem cudzościstu, przydaje im status przykłądów, które refleksja krytyczna czy hermeneutyczne zabiegi mają wypełnić sensem, wyjaśnić, ułatwić zrozumienie ich czytelnikowi. Wreszcie piszący stoi wobec wyboru z repertuaru wzorców, konwencji i technik literackich, w których każdy wiąże się z odmiennymi oczekiwaniami odbiorców, sposobem rozumienia tekstu, przynosi odmienne ograniczenia ujawnieniu autentycznej ekspresji podmiotu. "Mogę mówić rozmaicie i milczeć różnym milczeniem, kiedy świat nagabuje mnie tym co wokół, czemu mówię tak właśnie i milczą tak właśnie, skoro innych wariantów nie próbowałem, zatem władza mna coś większego od wyobraźni i nie jestem wolny i skóry nie wybieram?" /s.109/. Ja opisywany - ja piszący - ja będący pisany - figura mówiącego podmiotu, znaczenie owego ja w tekście, okazuje się efektem wzajemnego oddziaływania układu tych trzech elementów, a ściślej mówiąc, kształtuje się w rezultacie uświadomienia wielostronnych uwarunkowań i zniekształceń komunikatu: "prawo sęcha sterujące moim istnieniem w tej książce, jakby to, co na zewnątrz, czytało nie ogłoszoną i spieszycyło na każdy dźwięk odpowiedzieć /.../" /s.110/.

Tematyczna warstwa książki, posiadająca własną logikę następstwa i przemienności narracyjnych sekwencji, podlega również uporządkowaniu ze względu na konstrukcję podmiotu i własności kompozycji. Wprowadzenie postaci o nazwisku identycznym z nazwiskiem autora, jawna autobiograficzność podmiotu, umotywowane zostają także dzięki przywołaniu odpowiednich kontekstów, świadczących o prawomocności i zaletach takiej konstrukcji; narrator opowiadań T. Borowskiego, bohater *Dzienników W. Gombrowicza*, koncepcja podmiotu zrealizowana w *Rynku*, opinie T. Manna i B. Parafina - to zarazem perswazyjne argumenty i autonomiczne głosy, z innych punktów widzenia podejmujące problem literackiej artykulacji podmiotowości. Ujęcie ja mówiącego, jako pewnej roli, wskazuje na związek tego aspektu autotematycznej warstwy utworu z wtkiem teatralnym i rozważaniami o istocie aktorstwa. W końcu kompozycja tekstu i refleksja jej towarzysząca rozwija się w dialogu z innymi pokrewnymi formami /powieść Brandysa/, z własnymi doświadczeniami pisarskimi /*Sny pod śniegiem*, Majakowski/, patronuje roztrząsaniu własności Różewiczowskiej techniki montażu przytoczeń.

Utwór nieustannie odsyła poza siebie: do rzeczywistości historycznej - poprzez wspomnieniową quasi-dokumentalną warstwę książki, do własnej twórczości - poprzez przytoczenia tekstów poetyckich i prozątorskich, a także autokomentarze o nich traktujące; do tradycji literackiej - poprzez mnogość cytatów, aluzji i autotematycznych refleksji. Wynurzająca się z tej sieci międzytekstowych nawiązań luźna, dy-

namaczną strukturą utworu w jaskrawy sposób uzmysławia względność przedziałów między literaturą a dokumentem, artystyczną kreacją a faktycznością zdarzeń i prawdą życiowych doświadczeń. Literackość czy artystyczność staje się tu punktem wdrżenia, jedną z konwencji ujęcia obiektu, zależy bardziej od przyjętej przez podmiot poznawczej perspektywy, niż od wewnętrznych cech przedmiotu. "Te dwie potrzeby, dwie propozycje, możliwości, niemożliwości, tęsknoty, wspólne mianowniki wszystkich ułamków, zawsze one, dwa pragnienia /.../" /s. 153/ - Dwuznaczny status tekstu wytykający ze ścisłego przestrzegania równowagi między porządkiem życiowym i artystycznym, "autentycznym zapieczem" i licencją literatury, tłumaczy paradoksalność tej konstrukcji; w której życiowe przypadki ogląda oko artysty, a sztuka i literatura podlega pozaartystycznym kryteriom oceny. Autonomia sztuki ocalała zostaje na poziomie metafizycznym - bo przecież ta "powieść o literaturze" ma za przedmiot siebie samą; istniejąca w książce antynomia intrawertywnych i ekstrawertywnych napięć ukazuje więc jeszcze inną paradoksalną stronę literatury.

"Próba zapisu: Istotą literatury = sztuki w ogóle? literatury naszego wieku? - jest walka z depersonalizacją - niwelacją? zrównaniem z przyrodą na poziomie grobu masowego? - niezgoda na anonimowość ofiary zbrodni masowej, odczuwającą ją i świadką - obrona każdego pojedynczego życia, które kończy się pojedynczą śmiercią - pamięć o pojedynczej śmierci? - pamięć jako wyraz istnienia - istnienia jako pamięć? literatura jako nieprzemijająca obecność? - nieuległa pamięć każdej istoty przeciw zapomnieniu; zrównaniu, przydeptaniu, spłaszczeniu" /s. 152/.

Ważność tej refleksji dla konkretyzacji globalnego sensu książki nie ulega wątpliwości. Jednak przekonania, które końcowe zwłaszcza zdania fragmentu zawierają, nie pokrywa się z przeświadczeniem wytykającym z lektury całości. Literatura jest obecnością, posiada się tutaj, "sztuka ma ocalić od zapomnienia" - wszakże, jak przekonuje sama literatura, ta quasiobecność podmiotu, nie jest obecnością faktyczną, wierną, to, co pamięć ocala, nie jest tym, co było. W tekście, by sparafrazować słowa Pawłowa, zawsze "widzimy niejasno, jak w zwierciadle", bezpośrednio ekspresję podmiotu skrywa "bezwrotnie hieroglificzny zapis. Wnikliwa refleksja autora odkrywająca złożoność i sztuczność" konstrukcji literackiego podmiotu potwierdza raczej starszą wersję sformułowanego przeświadczenia, które zadaniem literatury czy ni wysiłek ochrony indywidualium, "walkę z depersonalizacją-niwelacją". Jeśli tak trudno okazuje się mówienie wprost, ujawnianie autentycznej subiektywności w pośredniczących systemach, to przecież Woroszyński świadom jest tego, że o istnieniu i suwerenności podmiotu świadczą może dopiero dokonywany wybór i przyjęta za niego odpowiedzialność: "/.../ ja tylko wybrałem i użyłem, domyśliłem się raptem tego, co od dawna niewyraźnie już przeczuwałem, najpierw montując ze świadectw i dokumentów rzecz o życiu i śmierci poety, której tendencyjność ktoś mi zarzucił; chociaż wyrażałem się wszelkimi interpretacjami słowem od siebie, później zaś, już w tej książce tylekroć posługując się zdaniami wydartymi z innych obszarów życiowych i włączonych w ten mój /.../ przeczuwałem to, lecz teraz dopiero się domyśliłem: M o j e s t o w a n i e s a k o n i e c n e, prawie wszystko gdzieś istnieje, starczy wybrać i użyć we własne ciągi, chcę przemówić? przemawiam kiedy wybieram /.../" /s. 176/.

Powiedzieć można, że świadectwa wyborów dokonywanych przez bohaterą wraz z komentarzem im towarzyszącym stanowią drugą, quasi-dokumentalną warstwę książki. Nie jest to teren eksplacji czy rekonstruowanych zachwyków; autorskie starania zmierzają z powodzeniem do zachowania intersubiektywnego spójzenia i krytycznego dystansu, czemu doskonale służy konstrukcja Woroszyńskiego postaci. Rozumiejąca refleksja, wczucie się w sytuację bohatera, krytyczna ocena jego poczynań,

mogą być dzięki temu dokonywane przy pomocy standardowych /tj. psychologicznych, socjologicznych, ideologicznych .../ technik interpretacyjnych. Rozszczęplenie podmiotowości na poszczególne role, jak również liczne przytoczenia zawierające inne punkty widzenia, pozwalają uniknąć solipsystycznych ograniczeń bez wpadania w pułapkę pseudoobiektywizmu. Pluralizm stanowisk, wieloperspektywizm oglądu przedmiotu, umożliwiają pełniejsze jego zrozumienie, bez naruszania personalistycznych, zawsze osoblistych i subiektywnych sposobów mówienia w całym tekście. Właściwości te dobrze zgadzają się ze sceptycznym, umiarkowanie relatywistycznym stanowiskiem światopoglądowym podmiotu, które da się odczytać z Literatury.

Niewątpliwie można by zaproponować wiele innych sposobów odczytania książki, wybrać inne przekroje semantyczne tekstu - jak np. nasuwającą się od razu lekturę aluzyjno-dokumentalną, gdzie czytający rozszyfrowuje, sprawdza, ocenia prawdziwość opisów i przeświadczeń wyrażonych wspomnianym trybem przez autora. Wydaje się przecież, że każda z tych możliwości odbioru, a wymieniona w szczególności, uwzględniając musi ową metaliteracką i autokomunikacyjną perspektywę, nadającą pisanu Literatury wartość autentycznego i głębokiego poznawczego wysiłku, a jej lekturze znamion - prowokujących czytelnika do podobnego, lecz już na własną rękę podjętego trudu - znamion przestania: de te fabulam narrat.

BRATNY RAZ JESZCZE

Najbardziej niecenzuralna książka polska lat ostatnich nie została opublikowana w Bibliotece "Kultury" paryskiej ani w krajowym wydawnictwie "Nowa". Opublikowano ją w oficjalnym wydawnictwie "Czytelnik", w ładnej szacie graficznej, lakierowanej okładce i nakładzie 20.000 egzemplarzy. Który to raz już powtarzamy, że rzeczywistość PRL jak żadna inna obfituje w cuda, paradoksy i niewyjaśnione zagadki? Żeby było jeszcze śmieszniej i dziwniej, autorem tej sensacyjnej publikacji jest nie kto inny jak Roman Bratny.

Rzecz jest drażliwym i szklcowanym grubą krechą portretem typowego pisarza-konformisty, którego biografia twórcza nakłada się na 33-letni okres dziejów PRL. Jako młody człowiek bohater książki uczestniczy w działalności AK i w Powstaniu Warszawskim. Już w obozie jeńcockim ogłasza "zmianę orientację klasową" i "staje na gruncie nowej rzeczywistości": pisze "studium o obłudzie politycznym Podziemnej Polski, o "nieudacznictwie" inteligencji" roszczącej sobie mesja-

niczne prawa do przewodzenia narodowi". Uważając, że "sam los walki wyznaczył nam drogę historycznego braterstwa ze Wschodem", wraca do kraju i bierze się za działalność publicystyczną, w której demaskuje londyński ośm konspiracji jako "obóz politycznego błędu". Staje się jednym z ówczesnych "wściekłych" dwudziestolatków; redaguje pismo, pisze artykuły, opowiadania, agitacyjne wiersze, jednoaktówki dla zespołów świetlicowych. Wstępuje oczywiście do partii, choć jako były AKowiec i syn przedwojennego oficera musi w tym celu przełamać różne przeszkody. Szybko przystosowuje się do narastających pod koniec lat czterdziestych dogmatycznych ograniczeń literatury i publicystyki. Jego "Wielka Akceptacja" zmienia się na Małą Akceptację". Bohater wie już, jak poprawić artykuły, żeby zaakceptowała go cenzura, wie, gdzie można łatwo i szybko zarobić duże pieniądze /pyszna anegdota o honorariach wyptaczanych przez ORMO/. Mimo swej ignorancji w sprawach nauki kończy studia na Akademii Nauk Politycznych i tylko przez fatalny zbieg okoliczności nie udaje mu się zostać asystentem. Pisze coraz bardziej "po linii", nieraz wbrew własnemu sumieniu /reportaż z pokazowego procesu torturowanego Doboszyńskiego/. Niestety, jest podobnie jak jego rówieśnicy - nieco zbyt "gorący"; toteż partia co pewien czas przywołuje go do porządku i bohaterowi zdarza się parokrotnie popaść w okrasową niełaszkę. Przychodzi jednak śmierć Stalina, a potem październik. Teraz nasz bohater może zdyskontować to, co dotąd stanowiło przeszkodę w karierze: swoją przeszłość AK-owską. Pisze obszerną powieść o AK-owskiej młodzieży. Wielki sukces w czytelników: publiczność czekała na podjęcie tego tematu. Nikt jakoś nie zauważa, że potraktowano go w powieści dość powołicznie, nasz bohater porasta w pierze; samochód, połowania, podróże zagranicę, znajomośći wśród ministrów, kołacje z sekretarzami KC. Takie sprawy jak Budapeszt 1956 czy później polski Marzec, nie mają jego dobrego samopoczucia: o Budapeszt niech się martwią Węgrzy, zaś Marzec miał swoje dobre strony - wyniosło się po nim z Polski wiele niesympatycznych osób. W ostatnich latach dominuje w naszym bohaterze niechęć do wszelkiej maści liberatów i naprawiaczy, zwłaszcza jeśli są kolegami po piórze: "Mówi się o potrzebie "obywatelskiej" postawy pisarza, sądzę, że ta obywatelskość przejawić się może i musi tylko jego pisarstwem, nie doraźnym wyżywaniem się w epistołach ostentacyjnie kierowanych do władz". Bo przecież wszystko jest w porządku w naszym polskim życiu.

A więc portret konformisty malowany z plekiełną przenikliwością, prawdziwy w najdrobniejszym psychologicznym szczególe, przedstawiony ponadto na tle epoki, która wygląda w tej książce jak jedno wielkie współzawodnictwo w kłamstwie, spodieniu, i oportuniźmie. Pomijając

już ów ton ogólny, trzeba powiedzieć; że informacji, które przynosi czytelnikowi książka Bratnego na temat takich zjawisk jak stałnówskie procesy pokazowe, wzajemne prowokacje i walki podjazdowe partyjnych dygnitarzy, działalność cenzury i wydawnictw /"tajniacy krytyczni" - coś za piękne określenie! - takich informacji nie przepuściłaby cenzura w żadnej innej książce. To samo tyczy się złośliwości i demaskatorskich wycieczek pod adresem mniej lub bardziej historycznych postaci w rodzaju J. Bermana, P. Hoffmana, A. Starawicza, H. Jabłońskiego, W. Sokorskiego, R. Werfla i wielu innych. Jest to istotnie najbardziej niecenzuralna książka ostatnich lat.

Cisnie się jednak na usta pytanie: skąd taka przenikliwość, drażliwość i odwaga właśnie u Bratnego? Jak to się stało, że po wszystkich swoich powieściowych półprawdach pisarz ten rąbnął nagle prawdę tak szokującą?

Otóż zapominałem zdradzić na wstępie, że książka Bratnego nie jest powieścią. Nie zawiera w ogóle fikcji literackiej. Nosi tytuł "Pamiętnik moich książek" i ma charakter autobiograficzny. Jednym słowem, głównym bohaterem jest tu po prostu sam Bratny.

A więc sam Bratny się demaskuje i oskarża? Na Boga, jak do tego doszło, co go do tego skłoniło? Czyżby nagle przejrzał? - Spokojnie, spokojnie. Bratny może się i demaskuje, ale nie oskarża. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że stara się być szczerzy i w "Pamiętniku swoich książek" nie przemilcza tych utworów i dokonań, o których zapewne wolałby zapomnieć. Nie ma w tym tonacji samooskarżania, ekspiacji czy choćby mglistego poczucia błędu. Przeciwnie, można by odnieść wrażenie, że "Pamiętnik..." został napisany, na dobrą sprawę, głównie dla celów autoafirmacji. Robiłem i pisałem różne rzeczy - zdaje się mówić Bratny - z niektórymi się dzisiaj nie zgadzam, ale mimo to zawsze miałem jakąś tam swoją rację i per saldo wypadłem korzystnie.

Prześledźmy logikę owego samorozgrzeszenia: bo w gruncie rzeczy samorozgrzeszenia więcej jest w tej książce niż właściwej spowiedzi.

Argument główny: miałem rację, bo miała ją Historia. Historia przez duże H to pojęcie mgliste, toteż bliższy istocie rzeczy jest Bratny wtedy, gdy pisze nie o Historii lecz o politykach: "/.../ oni wybrali za nas, gdy nadzedł czas wyboru Wschód-Zachód, i wybrali słusznie. Bo słusznie jest się zgodzić, że jest się tam, gdzie się jest naprawdę". Z ostatniego, trochę enigmatycznego zdania, wynikałoby, że "naprawdę" Polska leży bardziej na Wschodzie niż na Zachodzie, co jest teza, ogólnie mówiąc, dyskusyjna. Nie chodzi jednak o szczegół. W cytowanych zdaniach objawia się jak na dłoni cała mizéria intelektualisty, który scedował na rzecz tak zwanej Historii swój obowiązek samodzielnego decydowania, co dobre, a co złe. Umówmy się wreszcie, że kończymy z tym heglizmem dla ubogich, że nie ma niczego takiego, jak "Historia", "logika dziejów", "obiektywne prawa rozwoju": są tylko ludzie i podejmowane przez tych ludzi błędne czy słuszne decyzje. A ponieważ jednak nie wszystko co rzeczywiste jest rozumne, decyzje te bywają błędne bardzo często. Czasami bywają obłędne. Dostrzeganie w błądach i obłędach polityków jakiejś nadrzędnej racji Historii jest nieuprawnionym deifikowaniem zwykłego, omylnego/ nierzadziej nieuczciwego, żadnego władzy, sprzedajnego/ człowieka. Kiedy deifikacji takiej dokonuje intelektualista - nader często kryje się za tym chęć usprawiedliwienia własnych błędnych czy podejrzanych moralnie wyborów. Przerzuca się wtedy - jak to czyni Bratny - odpowiedzialność na "apostołów", tj. ideologów nowej wiary; określeniem "presja czasu" usiłuje się wytłumaczyć i usprawiedliwić fakt, że postępowało się wbrew własnemu sumieniu. "Presja czasu" tłumaczy wszystkim, ciekawe jednak, że zawsze w takich wypadkach mowa o czasie przeszłym dokonanym. Tak więc wiersz z lat stałnówskich, którego autor - Bratny - nie umie po latach rozpoznać i do którego się nie przyznaje, powstał pod "presją czasu", jak gdyby na zewnątrz toż -

samości pisarza. Nie ma natomiast mowy o "presji czasu", gdy Bratny opowiada o swoich książkach ostatnich. A może i one - jak się okaże po parudziesięciu latach - są nie całkiem autentyczne? Może pod "presją czasu" powstał również "Pamiętnik molch książek"?

Usiłując wytłumaczyć własne błędy, porażki, zaparcia się siebie, Bratny wlega po drugi. Jeszcze prymitywniejszy argument: inni byli tacy sami. "Inni" to przeważnie ci, którzy nie mogą odpowiedzieć: przebywają na emigracji, albo objęci są zakazem druku i publicznego wystąpienia. Toteż Bratny używa sobie na nich z całą swobodą, nie troszcząc się o wierność wobec prawdy historycznej /datoby się wskazać parę miejsc, które są po prostu fałszerstwem znanych skądinąd faktów - wida np. relacja o "budapeszteńskim" przemówieniu Woroszyńskiego/, "Inni" - Koledzy po piórze - byli więc tacy sami: tak samo dogmatyzowali, schematyzowali, "byli posłuszni linii Partii", "przydeptywali gardło własnej pleśni". Ba, byli nawet od Bratnego gorsi. Z dwóch powodów: po pierwsze, później zmienili front i przeszli na pozycje liberalne. Jest to nlewybaczalna zdrada. Skoro się robiło głupstwa, sprawą honoru jest robić je do końca. Po drugie, byli gorsi, bo okazali się zwyczajnymi prostodusznymi fanatykami, którzy po prostu wierzyli w słuszność tego, co robia. Bratny natomiast był mądrzejszy: "znał cenę". Tu wypada przytoczyć obszerniejszy fragment:

Były cele i ludzie. Były groby.

I byłem ja. Egzaltujący swoje własne przekonania, przekrzykujący swoje wątpliwości. Przydeptyujący swą ubogą, ale istniejącą wiedzę. Może to mnie ocaliło - ta odrobina wiedzy, ta cząstka zła, którą przyjmowałem jako założoną cenę nowych wartości, przyjmowaną z pełną adoracją przez molch braci przyszczatych. Z ich anhelicznej wersji stalinizmu śmiały się sam Wielki, ale też to ona przez plekto objawiona na XX Zjeździe odrzuciła ich tak daleko, że dziś ślepi nie mogą się porozumieć z rzeczywistością - równie ślepi na jej autentyczny walor dla narodu, jak kiedyś ślepi byli na zło.

Logika oształniająca. Bo jakże to, okazuje się, że szlachetniejszy od naiwnego fanatyka /czy zresztą wszyscy przyszczaci byli takimi ignorantami? - wątpliwe, ale to Inna sprawa/ jest zwyczajny cynik zątkujący, że cel uświęca łamanie kości? "Ja miałem rodzinę objętą wywózkami, byłem z AK, miałem ludzi, którzy pojechali" - pisze dumnie Bratny. Jednym słowem - wiedział, na czym cały ten interes polega, już na długo przed XX Zjazdem. I akceptował to wszystko, przykładał do tego rękę - nie m i m o swej wiedzy, ale właśnie d z i e k i niej. I właśnie z tego jest dzisiaj dumny. Przepraszam, ale nie rozumiem.

Jeszcze mniej rozumiem, kiedy dowiaduję się z "Pamiętnika...", że na dobrą sprawę i sam Bratny był ofiarą stalinizmu. Bezustannie narażał się na niestusne podejrzenia, spotykały go niezastuzone krzywdy, w ogóle miał ciężkie życie. Przyczyną była oczywiście AK-owska przeszłość, ojciec - przedwojenny oficer, niestabilizowane życie erotyczne, a także niewyparzony język autora. Znaczna część książki poświęcona jest wspomnieniom o tym, jak to Bratny przy różnych okazjach obrażał ministrów i sekretarzy z samym Bermanem włącznie. Nie dosyć tego, start się /przy okazji sprawy Doboszyńskiego/ nawet z putkownikiem Różańskim. Oczywiście scysje miały miejsce w zaciszu gabinetów, w kuluarach, co najwyżej na zamkniętych zebraniach partyjnych. Wystarczyło jednak tego, aby nasz autor wielokrotnie czytał "dramatyczną świadomość zagrożenia, w jakich żyliśmy". Nie mam powodu nie wierzyć pamiętnikarzowi, nasuwa mi się jednak proste pytanie: jeśli nawet słowo krytyki wypowiedziane na zamkniętym zebraniu spotyka się z represjami, jeśli za swoje "pochodzenie społeczne" trzeba cierpieć szykany, jeśli najmniejsza wątpliwość względem obo-

wiązującej Ideologii poczytywana jest za przestępstwo - to może widać jest nie tylko Berman i Różański /zwłaszcza, że dawno ich nie ma, a sytuacja niewiele się zmieniła/, ale cała ta ideologia, cały ów system, który w takim właśnie duchu ludzi tresuje? Czy Bratnemu nigdy nie przychodziło to na myśl?

Otóż najwidoczniej nigdy. Zważmy bowiem, że w książce tej - będącej, jak powiedziano wyżej, absolutnie niecenzuralnym i doszczętnie kompromitującym ten system dokumentem Jego Idiotyzmów i śmieszności - trwa zarazem niewzruszona wiara w to, że mimo wszelkie "błędy i wypaczenia" jest w Polsce najlepiej, jak tylko być może. I że jest to zasługa nie kogo innego tylko Partii. "Partia=Naród" czytamy nieraz na transparentach i hasło to razi nas swoim ewidentnym fałszem i brakiem logiki. A przecież na tym hasle wspiera się cała myślowa struktura książki Bratnego. "Zawsze traktowałem politykę, a więc i moją przynależność, serio i nigdy tego za błąd nie uznaję. Partia prowadziła do Polski, a tu kończy się u mnie teren do dyskusji". "Polska, ale jaka?" - chciałoby się po raz nie wiadomo który powtórzyć słowa wieszczka. Przyjmijmy nawet, że z patriotyzmu Bratny wstąpił do partii i z patriotyzmu w niej pozostaje. Byłoby to chwałebne i piękne, gdyby zamknął oczy i uszy na głos codziennych faktów i uznać wbrew nim, że od trzydziestu kilku lat partia rzeczywiście reprezentuje interesy narodu. Do tego trzeba naprawdę wiele samozaparcia i wiele sprawności w scholastycznym naginaniu faktów do pożądanego życzenia. Nawet na tragedię Budapesztu można wtedy spojrzeć, bo "zgoda partii z narodem" to cel, który "nakazuje chwilami milczeć o współczesnej niedoli sumienia". Nawet hańbę Marca można wtedy przywitać z entuzjazmem, bo w pańkarskim epizodzie widzi się "uznanie walki o kraj jako wartości weryfikującej polskość bez względu na racje i nie racje" polityczne, a więc odwołanie się do czegoś autentycznego.../ - ufność w wartość własnej historii, a więc nadzieja na lepsze i bardziej polskie dzieło naszego życia". Nawet o torturowanych robotnikach radomskich można wtedy zapomnieć, bo "epistoty ostentacyjnie kierowane do władz" mają tylko atmosferę. że tam kogoś zabito, okaleczono, uwięziono, wygnano z ojczyzny - nieważne. Istnieje "coś większego niż osoba ludzka tak ostatnio ubóstwiona i tak mimo woli równocześnie ośmieszona". Tym "czymś większym" jest dla Bratnego Polska. A do Polski prowadzi Partia. Proste, wygodne, łatwe do zapamiętania.

Autoportret konformisty jest więc istotnie zjadliwy i bezlitosny - ale niejako wbrew woli autora, pojawia się przy tej okazji jeszcze jeden, czysto ludzki aspekt zagadnienia. Zapoznając się z perypetiami Bratnego, chciałoby się mianowicie zapytać w którymś miejscu: no dobrze, panie B., ale co pan z tego ma? Co pan osiągnął, służąc Polsce poprzez służbę Partii? Nie chodzi o korzyści materialne, te są dość oczywiste. Ale co pan z tego ma, jeśli chodzi o osobistą satysfakcję, poczucie własnej wartości, świadomość pełnej samorealizacji i zajęcia właściwego miejsca w życiu? Przecież w gruncie rzeczy pamiata panem byle Instruktopek z Wydziału Propagandy, nie może pan spokojnie pracować, bo coraz to wzywają pana do KC na obsztorcowanie, co pare lat "linala partii" się zmienia, a pan się musi rumienić za swych mocodawców, i nawet zapolować sobie jak człowiek też pan nie może, bo w najgłębszych materalnikach dopadają pana telefony z redakcji "Nowych Drog" czy z cenzury. Naprawdę ciężkie jest życie pisarza dworskłego i mimo buńczucznego tonu "Pamiętnika..." nawet najbardziej zapamiętały oponent Bratnego musi mu po lekturze trochę współczuć.

Zwłaszcza, że na autoportret konformisty składają się i inne niekorzystne rysy. Przeczytajmy tylko uważnie tych kilka zdań/ podkreślenia - S.B./:

Czy wszędzie, gdzie sięgnę do swojej publicystyki, natrafie na

naftaline bohaterskiego okresu odnajdywania "własnej busoli Ideologicznej"? /s.13/.

"/.../ nie byłby w stanie /.../ zrozumieć takiej książki, w której jedynym, kto ó r y "kontynuuje", jest mecenas, zatrudniający kłosa staremu zecerowi, kto ó r y kiedyś w konspiracyjnej drukarni składał okupacyjne wiersze "Dębowego". / s. 21/.

To nie mgiełka oddalenia Idealizująca młodość, to fakt gorących alternatyw oddaje dziś z perspektywy tego, co odbudowane i zbudowane; ten klimat, tę potrzebę serca i płuć, której współczesność już nie nastarczy. / s. 57-58/.

Wybaczyć tę dywagację. Związana w jakiś sposób prawidłowym, choć podświadomym skojarzeniem z chwilami zatrzymującej serce niesprawiedliwości /"czyj obywatel"/ czasu małego ludzkiego, w którym przyszło nam się uczyć praw życia na wolności. / s. 61/.

Czy jako pisarz mam także obowiązek wobec swego narodu n a d e p t y w a ć g a r d ũ o swojemu prywatnemu człowieczemu sumieniu? / s. 160/.

Ządałem przerwania targowiska okłasków samozwańczych oredzi o stanie państwa, rezolucji rzeczowej i zrównoważonej. /s. 115/

Być współczesnym to chyba być nawet "elitarnym" w zakresie problemów - co byłoby ideałem - najbardziej popularnym przez środki, którymi musimy wdrażać dzieło naszej wyobraźni do wyobraźni możliwie masowego mieszkańca współczesności /s. 203/.

Kogo Bóg chce pokarać, temu styl psuje - że strawestuję przystawie, które i w swojej tradycyjnej postaci nie byłoby tu od rzeczy. Coś w tym jest, że ci, którzy najgłośniej krzyczą "Polska! Polska!", piszą zazwyczaj najgorzej po polsku. Chaotyczny i przegadany styl, gazetowe słownictwo/"związani z trendem ideowym komunizmu" itp./, nadużywanie cudzośćców i mętnych aluzji - to wszystko również rysy autoportretu. Autoportretu pisarza, który istotnie przydeptał / nie "nadeptał"/ gardło "swojemu prywatnemu człowieczemu sumieniu" oraz - co z tym bardzo często idzie w parze - swojemu talentowi.

"Pisanie zapisków na swój temat jest zabawą niebezpieczną" - stwierdza w którymś miejscu Bratny, Niebezpieczną, ale bardzo pouczającą - dodałbyśmy. Nie odmówię sobie tej satysfakcji i zacytuje tu zdania, którymi zakończyłem swoją polemikę z artykułem Bratnego, opublikowaną w "Zapisie nr 2": "/.../ właśnie cyrkowa karkołomność tej logiki sprawiła, że ja osobiście jestem zadowolony z ukazania się Pańskiego artykułu. Nic tak nie uświadamia nam istnienia fałszu jak czyjeś próby dowodzenia, że jest on prawdą. To dobrze, to naprawdę dobrze, że mogliśmy wszyscy przeczytać ten artykuł. Niech Pan przy okazji jeszcze coś napisze".

Napisat.

Adam Boniecki

DWA FELIETONY

I. Patriotyczny kryminał komputerowy

Nie należy gardzić literaturą kryminalną. Napisać dobry kryminał jest z pewnością znacznie trudniej, niż doczytać do końca niedobry. Ogromne nakłady serii "z kluczykiem" mają swoją wymowę: jeżeli literatura rejestruje funkcjonujące powszechnie, aktualne stereotypy myślenia, czyni to z pewnością dobra literatura kryminalna; jeśli literatura również wpływa na powstawanie takich stereotypów, to masowo czytane kryminały odgrywają tu niebagatelną rolę. Ale wznowiony ostatnio przez MON kryminał Ryszarda Lassoty "Tajemnica" /20 tysięcy egzemplarzy, s. 454, cena 50 zł/ jest kryminałem niedobrym. Dobry kryminał musi zawierać prawdę psychologiczną, bywa często znakomitym zacięciem obyczajowym, musi być ciekawy: groza, tajemniczość, zaskakujące rozwiązania zagadki, to warunki sine qua non dobrej powieści sensacyjnej. Niestety ... jeśli kiedyś ludzie wpadną na pomysł, by pisać powieści przy pomocy komputerów, będą one pewnie wyglądały tak, jak "Tajemnica" Lassoty. Maszyna więc podyktowała nazwiska i cechy bohaterów pozytywnych: major Śliwka - starszy, rozważny, doświadczony; porucznik Franczak - energiczny, wierny w przyjaźniach, wysportowany, trochę podrywacz; kapitan /lotnictwa/ Woliński - głęboko etyczny, stanowczy, ojcowski, ojciec duchowy bohaterów pozytywnych; Tokarski - robotnik, detektyw w własną rękę, szaleńczo odważny, uparty, dobry w dżudo. I tak dalej. Postacie negatywne: Krecha - agent, czarna postać czotowa, cynik, niby opanowany, ale w gruncie rzeczy zero, dżudo, karate, imponuje kobietom; Tryfka - Żyd, kretacz, obrażający; Johnny Trep - cwaniaczek, nieożalany wobec kolegów itd. Środowiska pozytywne: wojskowi, milicja, służba bezpieczeństwa, OHP, robotnicy. Negatywne: hippisi, dzieci bogatych rodziców, Żydzi, kombinatory.

Co robi w Polsce agent Krecha? szuka współpracowników krajowych dla centrali. Robi to tak niezdarnie, że wzbudza, wbrew zamiarom autora, więcej politowania niż grozy. Wiadomo zresztą z góry, że i tak wpadnie. Krecha odnawia też kontakty z dawnymi współpracownikami - pięcioro młodziaków, jeden dorosły zbir, jeden przerażony ginekolog-milioner. Centrala m.in. chce zniszczyć społeczeństwo polskie za pomocą narkotyków /jakby samo znacznie tańszym kosztem nie wyniszczało się pijaństwem/. Krecha szuka także jakiejś znacznej osobistości, która, tasia na stawie i pieniądze, zechciałaby podpisać paszkwil na Polskę Ludową, przygotowany do wydania za granicą. Krecha zresztą godzi się, że tekst podpisze jeden z grupki współpracowników - pedziłowaty hippis. Agent w chwilach wolnych od pracy zajmuje się romantyczną miłośnością z domleszką sądyzmu. Jest jeden mord /odrażający/, walka wręcz oczywiście podczas deszczu i na śliskim dachu, walka /desperacka, drugi trup, przypadkowy/ w zamkniętym pomieszczeniu, rozstrzygnięta w ostatniej chwili przez wkroczenie--- no kogo? Majora Śliwki i porucznika Franczaka /ranny, ale lekko/. A nawiasem mówiąc ten Śliwka wcale się nie wysilał, przestępca i cała sprawa sama szła mu w ręce.

Komputerowy kryminał, wydany zresztą z dużą starannością, Lassota opatrzył motto z Conrada: "Aby ocenić patriotyzm, trzeba koniecznie pewnej wyższości ducha lub szczerości uczuć, których nie dostaje wyrażeniu, albowiem patriotyzm płynie z samej natury rzeczy i człowieka, z dostojnej prostoty uczuć". Motto aczystusze, zważywszy choćby to, że siłą popychającą bohatera książki Tomka Tokarskiego do czynów heroicznych było "dostojne uczucie" obawy, że Anka Adamska, z którą, korzystając z zagranicznych podróży jej ładowanego taty, spisał i barszkoował w pięknej willi, mogłaby się przespać ze wstrętnym agentem-kobieciarzem Krechą /pseudonim: Kardynał/. Więc kryminał nie tylko komputerowy, ale i patriotyczny. Panowie, wydajcie jeszcze jeden nakład, ludzie kupią!

2. Z notesu

Piotr Wierzbicki już dwa felietony poświęcił "Męczennikom z przypadku" i zapowiedział, że może kiedyś napisze o nich coś większego. I słusznie, bo zjawisko jest ciekawe. Ja chcę zanotować tu zjawisko pokrewne, bardziej jednak skomplikowane, mianowicie chcę napisać o "ludziach obserwowanych". Mój znajomy powiedział mi niedawno: "... wiesz, obserwuj mnie". Był rozdygotany, oglądał się co chwila, ręce mu lekko drżały. Ponieważ współczucie /polegające na wczuwaniu się w sytuację rozmówcy/ ogarnęło moje serce, spytałem z przejęciem, kto go obserwuje, na co wzruszył ramionami. "Nie wiem, jakies dziwne typy. Gdzie się rusze, oni natychmiast są". - Ale dlaczego ciebie? Jesteś w coś zamieszany? Znajomy wzruszył ramionami. Mój konkretny scapytvczym wyraźnie zaczynał go drażnić. A ja poczułem lekką zazdrość. No bo niby on znów taki, żeby go mieli obserwować, Przecież nie porywacze, bo groszem nie śmierdzi, nie milicja, gość zajęty pracą zawodową, prowadzi życie normalne i przyzwoite, jawne i łatwe do zbadania. Ale on nie ustępował. Nie wiem, czemu chciał mnie przekonać, udowodnić. Zaproponował: "Chodź, zobaczysz sam". Niedaleko stała jego syrenka. Wstępniliśmy. Syrenka z charakterystycznym wyciem zastartowała. "Obejrzyj się", powiedział mój znajomy. Rzeczywiście, od krawężnika niemal równocześnie z nami ruszył brązowy fiat. Ulica była wąska i miała tylko jeden wyłot. Fiat jechał za nami. Prawdę mówiąc, śledził go ten fiat czy nie, nie miał innej drogi do wyboru. Znajomy włączył kierunkowskaz, Fiat za nami również włączył kierunkowskaz. Cóż, z rynku są trzy ulice wylotowa i bardzo wiele aut w tym miejscu włącza kierunkowskaz. Znajomy zwołnit. Fiat za nami zwołnit również. Ulica była na tyle szeroka, że wyprzedzenie było możliwe, lecz nie na tyle szeroka, by do wyprzedzenia zachęcać. Jechaliśmy prosto. Brązowy fiat za nami. Znajomy zjechał na pobocze, a fiat śmignął obok.

Znajomemu wyraźnie ręce dygotały na kierownicy. Postaliśmy z pięć minut. Wracamy - zdecydował znajomy. Teraz patrz. Obejrzałem się. Brązowy fiat znikł. Jedne samochody nas wyprzedzały, inne ciągnęły się za syrenką. Znajomy zerkał w lusterko "Widzisz tego białego fiata, długi za nami?" - Rzeczywiście był. Nie wyprzedzał. Okrążyliśmy rondo. Biały fiat wykonał ten sam manewr, skręciliśmy, biały fiat skręcił. Dojeżdżaliśmy do punktu wyjścia. Spieszyłem się do redakcji, znajomy także miał coś do załatwienia w tamtej okolicy. Zaparkował. Biały fiat minął syrenkę i zaparkował kilka miejsc dalej. Bliższe miejsca były zajęte. Z fiata wyszło dwóch ludzi, weszło do bramy. Kierowca siedział w wozie i słuchał radia. Znajomy drżąc ręką ocierał wilgotne czoło. Kiedy przechodziliśmy obok bramy, do której weszli tamci, zauważyłem, że jeden z nich, pochylony, zawiązuje sznurowadło. W kamienicy mieścimy się na pierwszym piętrze jakies biuro. Odruchowo spojrzałem w górę. W oknie biurowego pokoju, z którego dochodził stukot maszyny do pisania, stał drugi pasażer białego fiata i spokojnie patrzył na ulicę.

Rozejrzałem się po innych oknach. W niektórych widać było ludzi wyglądających na ulicę. Ruszył jakis samochód. Niemal równocześnie od krawężnika oderwał się drugi. Jechały oba w stronę rynku. Zamiast do redakcji poszedłem uliczką w prawo. Poczułem, że ktoś idzie za mną. Obejrzałem się. Szedł. Przepuściłem typa. Poszedł kilka kroków dalej i zatrzymał się przed wystawą Desy. Obok niego drugi. Wydawało mi się, że wymienili jakis znak porozumiewawczy. Ten "mój" poszedł dalej. Zawróciłem. Ten sprzed wystawy zawrócił /właściwie nie wiem, czy zawrócił, bo nie zauważyłem, z której strony przyszedł/ i szedł za mną. Poczułem się nieswojo.

PIGULEKA USPOKAJAJACA
DO UZYTKU WEWNATRZPARTYJNEGO

Komu służy, a komu przeszkadza cenzura w Polsce? "Notatnik Lektora" nr 11/71, 13.III.1978. Do użytku wewnątrzpartyjnego.

Co jakiś czas Polska Zjednoczona Partia Robotnicza ma kłopoty nawet ze swoimi członkami. Dzieje się to zazwyczaj wówczas, kiedy mięsa brakuje bardziej niż zwykle, kiedy dopala ją się zgłiszcza kolejnego wojewódzkiego komitetu, lub - najczęściej - wtedy, gdy rozgłośnie zachodnie podają jakies szczególnie kompromitujące PZPR rewelacje. Ponieważ partyjni przywódcy Ideologiczni zakładają milczącą, iż każdy członek PZPR słucha co wieszczórn Wojnej Europy, pojawia się w takich sytuacjach konieczność "udzielania towarzysom odpowiedzi na nurtujące ich pytania". Nie żeby mieli się zaraz buntować, rzucić legitymacje czy coś w tym rodzaju; rzecz raczej w tym, aby ułatwić im spokojną przetrwanie kolejnego absurdu, którego są biernymi współtwórcami. Chodzi również o to, aby "nurtujące towarzyszy pytania", nie przedostawały się na zewnątrz. Pytać można, proszę bardzo, ale na zamkniętym zebraniu: pierzmy nasze brudy we własnym domu. Ruszając w Ideologiczny bój armia lektorów, których zadaniem jest dialektycznie wyjaśnić, pokrzepić, umocnić, dać odpór i zapewnić, że wszystko w porządku. Aby zaś partyjny propagandzista w ogóle wiedział, jak się zabrać do tego karkołomnego zadania - wydaje się rozmaite wewnątrzpartyjne publikacje, hedace w Istocie bezpośrednim pouczeniem dla lektora, "po jakiej linii" ma się tym razem zająć.

Leży przede mną taka właśnie publikacja: prawdziwy rarytas bibliofilski, choć wydany prawdopodobnie w sporym nakładzie. Kolejny numer "Notatnika Lektora", zgrabna broszurka, która na parunastu stronliczkach druku wyjaśnia, "komu służy, a komu przeszkadza cenzura w Polsce". Chociaż - zgodnie ze zwyczajem propagandy - ani razu nie mówi się o tym wprost, jest to oczywiście próba "dania odporu" rewelacjom Tomasza Strzyżewskiego, ogłoszonym w kraju przez KSS "KOR", a dostępnym szeregowemu członkowi partii głównie za pośrednictwem audycji Wojnej Europy. Jasna, że dla każdego choć trochę myślącego człowieka, to, co wywodzi za granicę krakowski cenzor, musiało stanowić szok. Z jakich tym razem składników ulepila PZPR kolejną uspokajającą pigułkę dla swolch członków?

Składnik pierwszy: "Działalność cenzury w PRL jest całkowicie jawna i zgodna z przepisami regulującymi zakres jej działania". Proszę zwrócić uwagę na zreżnicie zamaskowaną dwuznaczność słowa "działalność". W niemal niezauważalny dla laika sposób autorzy broszurki przechodzą od "działalności" rozumianej jako samo istnienie w PRL instytucji cenzury do "działalności" oznaczającej konkretne, poszczególne decyzje i postępk. Skoro pierwsza jest "całkowicie jawna i zgodna z przepisami", podobnie musi być i z drugą. Oszczędźmy sobie polemiki z tak sofistycznym logiką.

Składnik drugi: cenzura jest wszędzie. Autorzy powołują się np. ... Szwecji, dyskretnie zatajając dość ewidentne różnice między szwedzkim a PRL-owskim rozumieniem takich pojęć jak "wojność słowa" czy "tajemnica państwowa". Co więcej, argument zostaje rozwinięty w sposób zupełnie już akrobatyczny: okazuje się, że "coraz większą liczbą twórców, dziennikarzy, wydawców i działaczy kultury uświadamia sobie, że istniejący u nas system jawnej cenzury prewencyjnej jest bardziej otwarty i czystszy niż różnego rodzaju formy cenzury ukrytej czy represyjnej". Zonglerka słowami w tym jednym zdaniu mogłaby stać się przedmiotem obszernej semantycznej analizy: "cenzura represyjna" brzmi oczywiście groźniej niż oplekuńczo-łagodna "prewencyjna"; zwłaszczą gdy mimochodem utożsamia się cenzurę "represyjną" z "ukrytą". Przerabiający obraz ponurej Szwecji, gdzie cenzura r e p r e s j o n u j a ,

I to po cichu, nic nikomu nie mówiąc, odważnych twórców i dziennikarzy - to prawdziwy majstersztyk propagandy. W razie gdyby niezdiscyplinowany a dobrze zorientowany słuchacz wytknął lektorowi, że są przecież kraje, w których mimo wszystko cenzura nie ma - czeka go gotowa odpowiedź: "W niektórych państwach system ten działa jawnie/.../, w innych są to różne służby tajne /najczęściej związane z policją/ lub utajone i kamuflowane sztydami różnych organizacji". Całkiem jak z tą organizacją konspiracyjną, która była tak perfidna, że dla lepszej konspiracji w ogóle się nie zawiązała. Jeden z tego wniosek: na Zachodzie "tzw. wolność słowa jest zwykłą fikcją".

Składnik trzeci: Cenzura w PRL coraz bardziej ogranicza swoje działanie. Dowiadujemy się ze szczerym zdumieniem, że "około 40 proc. tzw. publikacji nieperiodycznych /książki, broszury/ ukazuje się obecnie w naszym kraju bez poddawania ich kontroli GUKPPIW./.../ Od prewencyjnej kontroli GUKPPIW. zwolnionych zostało także około 800 czasopism/.../". Dlaczego więc wszystkie piszą to samo, dlaczego brak w nich prawdziwej dyskusji, jakichkolwiek istotniejszych problemów? - zapyta rozczulony uczestnik partyjnego zebrania. Znowu jest odpowiedź: "W miarę jak rośnie polityczne doświadczenie i obywatelska odpowiedzialność przede wszystkim samych autorów, a także wydawców i redaktorów - zmniejsza się i nadal zmniejszać się będzie zakres kontroli wewnętrznej sprawowanej przez GUKPPIW". Cenzurujcie się sami - cenzura nie będzie potrzebna.

Składnik czwarty: cenzura w PRL jest właściwie liberalna. W roku 1977 /.../ ani jedna /publikacja nieperiodyczna/ nie została zakwestionowana w całości, w 96. proc. nie dokonano żadnych ingerencji, zaś w pozostałych ingerencje dotyczyły najczęściej tylko spraw objętych przepisami o ochronie tajemnicy państwowej i służbowej, różnych drastycznych wyrażań i szczegółowych opisów zdarzeń z tzw. życia intymnego". Skąd się wzięło zatem 38 nie dopuszczonych do druku książek, o których mówiło się z trybuny ostatniego Zjazdu ZLP? Należy przypuszczać, że jest to wynik "wzrostu politycznego doświadczenia i obywatelskiej odpowiedzialności" wydawców. Ale przecież wydawcy posługują się listami "zapisów" personalnych, ustalanych przez GUKPPIW - prawda? To są już jednak zawłóści trudno dostępne przeciętnemu uczestnikowi partyjnego zebrania.

Składnik piąty: humorystyczny: cenzura w PRL w gruncie rzeczy zajmuje się wyjątknie dbaniem o obyczajność. Skoro bowiem stronę polityczną zabezpieczają wydawcy i redaktorzy, cenzurze pozostaje już tylko "rozsądna profilaktyka/.../ wobec przejawiającej się ostatnio skłonności do używania tzw. mocnych słów i różnych wulgaryzmów erotyczno-fizjologicznych/.../ oraz innych ciałotek typu sex i porno". Świadcество tej rozsądnej profilaktyki stanowią zapewne powieści W. Sokorskiego, W. Zukrowskiego, W. Machejka czy E. Kabatca? Być może jednak, że autor o odpowiedzialnym stopniu "politycznego doświadczenia i obywatelskiej odpowiedzialności" ma prawo pozwolić sobie w nagrodę na ciałotki typu sex i porno". W takie szczegóły broszurka również się nie wdaje.

Cóż dodać do tego katalogu głupstw, fałszów i demagogii zgromadzonych pracowicie na stronkach "Notatnika Lektora"? Chyba tylko jedno: przebijają z tych stroniec bezsilność propagandy, zmuszonej do obrony przegranej sprawy. Tak było i jest zawsze: propagandzista może odnosić sukcesy tylko wówczas, gdy jego cele choćby w minimalnym stopniu pokrywają się z celami i interesami słuchaczy. Gdy jednak sprawa jest niestuzna w oczywisty dla wszystkich sposób, gdy próbuje się czarne nazwać białym, kłamstwo prawdą, zło dobrem, a niewolnictwo wolnością - demagogia obnaża natychmiast swoje szwy, fałsz kłuje w oczy, a głupstwo budzi tylko politowanie.

LIST MARIANA BRANDYŚA DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

proszę o zamieszczenie w "Zapisie" poniższego oświadczenia.

Nigdy i nikomu nie udzielałem pozwolenia na druk moich niepublikowanych dzienników. Ogłoszenie w jednym z pism amerykańskich dowolnie i tendencyjnie zestawionych fragmentów tych dzienników - uzyskanych bez mojej zgody i wiedzy - uważam za nadużycie.

Marian Brandys

Warszawa, czerwiec 1978

Aniela Steinsbergowa

LIST DO REDAKCJI "OPINII"

Ze zdumieniem przeczytałam artykuł Wandy Chylińskiej w "Opinii" nr 2, 1978 pt. "Dlaczego pamflet". Autorka zarzuca Barbarze Toruńczyk, że w eseju pt. "Poezja i wojna /Zapis I/ z Inkwizytorską pasją" podważa wartości ruchu oporu, przekreśla wyroki rehabilitujące AK-owców i wraca w ten sposób do stalinizmu. Oskarżenia równie ciężkie, jak bezzasadne.

Barbara Toruńczyk zajmuje się w swym eseju ściśle określonym tematem - stosunkiem środowisk intelektualnych do sztuki w okresie okupacji. Uderza ją rozpowszechniona w podziemiu koncepcja sztuki podporządkowanej ideologii, obiera jako przykład publicystykę młodych pisarzy z kręgu "Sztuki i Narodu" - pisma literackiego związanego z Konfederacją Narodu, ugrupowaniem będącym kontynuacją przedwojennego ONR-u. Zwraca przy tym uwagę, że "nie był to krąg pod względem ideowym reprezentatywny dla całego podziemia", skupiał jednak ludzi utalentowanych i odgrywał rolę z życia kulturalnego.

Wbrew wątpliwościom Chylińskiej ugrupowanie to reprezentowało sformułowany przed wojną program imperializmu - stworzenia państwa słowiańskiego od Bałtyku po Morze Egejskie pod panowaniem Polski, państwa o ustroju autokratycznym wzorowanym na włoskim faszyzmie.

Ponieważ Chylička domaga się dokumentów, które by to stwierdzały, zacytuje parę przykładów spośród artykułów:

"Zasady programu narodowo-radykalnego" "Ruch Młodych 1937, nr 2",
S. Piasecki: "Trzy morza nie jedno", "Prosto z Mostu", 27 lipiec 1939,
"Nowa Polska" /organ Konfederacji Narodu/, Dzieje polskiego imperializmu - 15, IX, 1941 - podpisany Maciej z Gdańska,
"Sztuka i Naród" /grudzień 1943 - styczeń 1944/ - "Misja polskiego imperializmu"/artykuł redakcyjny niepodpisany/.

Młodzi ludzie redagujący "Sztukę i Naród" byli tą wizją przyszłej Polski urzeczani i gotowi poświęcić jej swą twórczość. Głosili teorię służebnej roli sztuki wobec nadrzędnej misji dziejowej Polski. Wszyscy zginęli młodo w walce z Niemcami; nie wiadomo, jakiej ewolucji uległby ich poglądy, gdyby przeżyli.

Temu i wyłącznie temu zjawisku głoszenia teorii sztuki utylitarnej, propagandowej, podporządkowanej ściśle określonym treściom ideologicznym poświęca Barbara Toruńczyk swój esej, i z tą koncepcją sztuki polemizuje.

Stonimski w swym wierszu "O co my tak walczymy" wyraźnie się tej ideologii przeciwstawił i dlatego Gajcy pisze, że jest to jeszcze jeden dowód jego "obcości" - nic nie pomoże tu żadne kłajstrowanie - chodzi o różnicę światopoglądową.

Zupełnie od rzeczy włącza tu Chylička wyrok w sprawie Moczarskiego i zarzut, że Toruńczykowa "przekreśla" jego rehabilitację. Chodzi tu o coś zgoła innego. Uczestnicy polskiego podziemia byli przecież w okresie stalinizmu oskarżeni o to, że idąc na rękę okupantowi zwalczali przy pomocy mordów i denuncjacji rzekomo jedyny ruch narodowo-wyzwoleńczy, jakim był ruch komunistyczny. Wyrok w sprawie Moczarskiego ten zarzut odpiera - co to ma wspólnego z tematem eseju "Poezja i wojna"?

Nie ma też racji Chylička twierdząc, że mentalność Moczarskiego nie kontrastowała z mentalnością Gajcego, Bojarskiego, Trzebińskiego i ich towarzyszy - wprost odwrotnie. Łączyło Moczarskiego z nimi braterstwo broni w walce z Niemcami - natomiast był ich żarliwym przeciwnikiem, ich ideologii i programów, i to już przed wojną, kiedy zakładał kluby demokratyczne, i w czasie okupacji, kiedy pracował w Kierownictwie Walki Podziemnej, a także po wojnie, kiedy za przeciwstawienie się nagonce antysemickiej został wyrzucony z posady w "Kurierze Polskim". Stał na stanowisku, że każdy naród ma prawo do samodzielne-

go bytu bez niczyjej hegemonii, a jako miłośnik literatury i malarstwa pragnął ich swobodnego, niczym nieskrępowanego rozkwitu.

Jeszcze jedna drobnostka - swoją książkę "Rozmowy z katem" poprzedził mottem z wiersza Słonimskiego. I właśnie...

Dziwię się, że "Opinia" zamieszcza napastliwy artykuł Wandy Chylińskiej i to nie zaznaczając nawet, że jest to artykuł dyskusyjny. Nie mogę posądzać autorki o złą wiarę, chyba raczej nie zrozumiała tego, co przeczytała.

Aniela Steinsbergowa

28 marca 1978

Zebrańie Oddziału Warszawskiego Związku Literatów

Po kwietniowym Zjeździe Literatów Polskich, który wybrał nowy Zarząd Główny /przebieg katowickich obrad zrelacjonowaliśmy w Zapisie nr 6, a w tym numerze zamieszczamy in extenso niektóre wygłoszone tam przemówienia/, przyszedł czas na zebrania sprawozdawczo-wyborcze w Oddziałach ZLP. Zebraniu warszawskiemu, która odbyło się 3 maja br., już wcześniej towarzyszyło znaczne napięcie i podniecenie. Ustupający zarząd, z>Lastawem M. Bartelskim na czele, skompromitował się udziałem w aktach dyskryminacyjnych wobec kolegów, a także arbitralnym i nieuczciwym sposobem postępowania w wielu sprawach/przemówienia na zebraniu, w których bytano tym mowa, równiaż zamieszczamy/. Było jednak widoczne, że Bartelski łatwo nie opuścił pola, odwołując się do swoich protektorów spoza Związku i stosując wszelkie możliwe środki nacisku na członków Oddziału. Za jeden z tych środków opinia związkowa uznała próbę odbycia zebrania w pomieszczeniu należącym do jednej z wielkich fabryk warszawskich; sprzeciwiono się więc temu i w ostatniej chwili wyznaczony został inny adres - Związek Nauczycielstwa Polskiego. W istniejącej sytuacji niezależni literaci zdecydowali się na zawarcie porozumienia wyborczego z tą częścią organizacji partyjnej, która także miała już dość Bartelskiego. Wspólna Komisja-Matka zaproponowała zebraniu jedenastoosobową listę kandydatów do nowego zarządu. Na liście tej - i w wybranym zarządzie - nie znalazł się nikt z ekipy Bartelskiego. Nowym prezesem Oddziału Warszawskiego ZLP została Wanda Zótkiewska, która pełniła już tę funkcję przed dziesięciu laty, ale po słynnym zebraniu w obronie "Dziadów", któremu przewodniczyła, oraz wydarzeniach marcowych 1968 zmuszona została do ustąpienia. Większość w nowym zarządzie stanowią pisarze niezależni, a partię reprezentują przeważnie tacy jej członkowie, do których bezpartyjni nie mają zastrzeżeń natury koleżeńskie i ludzkie. Wyrazem kompromisu, którego nie dało się uniknąć, stało się wejście do zarządu oddziału i objęcie funkcji jednego z czterech wiceprezesów przez Włodzimierza Sokorskiego. Pozostali wiceprezosi to: Jarosław Abramow, Józef Hen, i Aleksander Małachowski; sekretarzes Kazimierz Dębicki i Camilla Mondral, skarbnik: Andrzej Jarecki, członkowie zarządu: Tadeusz Drewnowski, Krzysztof Karasek i Marian Pilot.

Po zebraniu rozesłano członkom oddziału oświadczenie komisji-matki, stwierdzające, iż "rekomendując nie więcej niż jedenastu kandydatów na członków OW, powodowała się przekonaniem o wyjątkowej sytuacji, w której ją powołano. Rozeznając to potwierdził niespotykany dotychczas w naszym życiu związkowym fakt, że kilkadziesiątu kolegów odmówiło udzielenia absolutorium ustępującemu zarządowi, a kilkadziesiątu innych wstrzymało się od głosu w tej sprawie". I dalej: "w klimacie spłęć i zadrażnień, który zaostrzył się wskutek sposobu ustalenia i rozesłania przez ustępujący zarząd listy kandydatów na niedawny zjazd ZLP w Katowicach ... komisja-matka pragnęła zaproponować walnemu zebraniu reprezentatywny i sprawny zarząd, zdolny do przywrócenia dobrej koleżeńskie atmosfery w Oddziale Warszawskim... Intencją komisji-matki, powołanej na zebraniu Oddziału Warszawskiego w dniu 3 maja 1978, było, by nowy zarząd, dzięki samemu swojemu składowi, stał się gwarantem pełnego przestrzegania w przyszłości norm związkowych, zarówno w codziennej działalności, jak w przygotowywaniu list kandydatów do władz Oddziału i na zjazdach ZLP, list jak najszerzych i uwzględniających postulaty wszystkich klubów i środowisk składających się na społeczność piarską. Komisja-matka zwraca się do nowo wybranego zarządu i wszystkich kolegów z prośbą, o uznanie jej decyzji, ograniczającej liczbę rekomendowanych osób do jedenastu, za krok wyjątkowy, podjęty z uwagi na wspomniane okoliczności i w przeświadczeniu, że ani okoliczności tego

rodzaju, ani wyniki z nich niepokoją nigdy się nie powtarza. Przeświadczenie to i nadzieje uzasadniają zarówno najlepsze tradycje naszego środowiska, jak oblicze nowo wybranych władz Oddziału Warszawskiego..."

Również w niektórych innych oddziałach ZLP weszli do władz / w rozmaitej proporcji / literaci niezależni, np. wiceprezesem Oddziału Poznańskiego został Egon Naganowski.

Kto tłumaczył "Artura UI" ?

Na zrelacjonowanym wyżej zebraniu literatów warszawskich poeta i krytyk Leszek Szaruga, który jest synem przybyszającego na emigracji Witolda Wirpsy, opowiedział o propozycji uczynionej mu ostatnio przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Otóż PIW chciały w antologii dramatu pisarzy NRD zamieścić "Kariere Artura UI" Bertolda Brechta. Tłumaczami tej książki są Roman Szydłowski i Witold Wirpsza. PIW gotowały by nawet zapłacić Wirpszy/tub jego synowi/ należne honorarium, ale ... pod warunkiem usunięcia nazwiska z karty tytułowej i wykazu tłumaczy. W braku zgody na taką manipulację - "prawdopodobnie z publikacji tego dramatu trzeba będzie zrezygnować". W tej samej rozmowie Szaruga dowiedział się, że niemożliwe jest również wznowienie tłumaczenia "Doktora Faustusa" Tomasza Manna, dokonanego przez Witolda Wirpszę i Marię Kureckę. "Istniejący stan można by określić jako stan wyjątkowy w naszej kulturze - brzmiała konkluzja mówcy. - Oto ze względu na zasadniczą niemożność ujawniania przez wydawców nazwisk wybranych tłumaczy... nie można wznowić wielu utworów pisarzy tej rangi, co R. Musil, T.S. Eliot, J.W. Goethe, W. Majakowski, H. Hesse, G. Aigi, T. Mann, G. Benn, O. Mandelstam, M. Bułhakow, E.E. Cummings, D. Thomas. - listę można przedłużyć..."

Zamach na narzędzia pracy

Podczas rewizji u Anki Kowalskiej w Warszawie i u Jacka Błereźna w Łodzi zabrano, oprócz książek, papierów itp. m.in. maszyny do pisania, co jest oczywistym bezprawiem, ponieważ maszyny do pisania są dla pisarzy podstawowymi narzędziami pracy, a tych zabierać nie wolno. To tak, jakby krawcowi zabrano igłę, a lekarzowi - aparat do mierzenia ciśnienia krwi. Poszkodowani zwrócili się ze skargą do Związku Literatów Polskich i oba przypadki rozpatrywano na jednym z posiedzeń Zarządu Głównego, upoważniając do interwencji u właściwych czynników zarządy oddziałów: warszawskiego - w wypadku Anki Kowalskiej, i łódzkiego/prezes Jerzy Wawrzak/ - w wypadku Błereźna.

IV. Tydzień Kultury Chrześcijańskiej

Jak rok, dwa i trzy lata temu, odbyły się w warszawskich kościołach różnorakie imprezy Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej, rozumianej bardzo szeroko, nakazującej - jak pisze M.S. w "Tygodniku Powszechnym" - "współdziałanie w tworzeniu kultury ogólnej, będącej dobrem każdego człowieka". Animator "Tygodnia", ksiądz Wiesław Niewętkowski, sam jest poetą, ale z pewnością nie jedyny to powód, dla którego poezja zajęła tyle miejsca w spotkaniach od 15 do 25 kwietnia br. W trakcie wiecznego eyki "Wieczoru Jednego wiersza" w akademickim kościele św. Anny czytali swoje utwory m.in. następujący poeci: Flora Bieńkowska, Mikołaj Bleszczadowski, Mieczysława Buczkówna, ks. Jerzy Czarnota, Jerzy Ficowski /"Modlitwa za Stanisława Pyjasa"/, Julia Hartwig, Paweł Hertz, ks. Paweł Heintsch, Mieczysław Jastrun, Anna Kamieńska, Anka Kowalska, Artur Miedziszewski, Bogdan Ostromecki, ks. Janusz Pasierb, Anna Pogonowska, Aleksander Rymkiewicz, Jerzy S. Sito, Marek Skwarnicki, Andrzej Szmidt, Kazimierz Śladowski, ks. Jan Twardowski, Wiktor Woroszyński i Jerzy Zagórski. Aktorzy scen warszawskich /m.in. Elżbieta Barszczewska, Ewa Dańkowska, Maja Komarowska, Zofia Matynicz, Zofia

Mrozowska i Zdzisław Wardejn/ recytowali utwory Kazimierza Wierzyńskiego, Kazimierzy Iłakowiczówny, Czesława Miłosza, Jana Lechonía i innych twórców nieobecnych bądź nieżyjących. Prymas Polski, Ksiądz Kardynał Stefan Wyszyński, przez cały czas uważnie przysłuchiwał się głosowi współczesnej poezji polskiej, potem zaś w wygłoszonym do artystów i zgromadzonych w kościele wiernych Słowie Pastorskim nawiązał do niektórych jej wątków, m.in. do wyrażonego przez nią właściwego człowiekowi poczucia wolności wewnętrznej. "Mówił - cytujemy trafne sprawozdanie M.S. w "Tygodniku" - o niebezpieczeństwach płynących ze współczesnej cywilizacji, mającej skłonność do jednopłaszczyznowego, wyłączenie technicznego i pragmatycznego traktowania osoby ludzkiej, która wszak jest pełniejsza, przerasta potrzebami oraz duchowością, także swoją twórczością pełną i wolną, ramy techniki i konsumpcji. Prymat człowieka pełnego w społecznym ładzie, osoby ludzkiej obdarzonej duchowością i darem tworzenia nie tylko dzieł materialnych - jest podstawą chrześcijańskiej koncepcji kultury".

Dwudziestolecie "Więzi"

Dwudziestcia lat temu powstał miesięcznik katolicki "Więź" - mimo, którego wpływu na kształtowanie się postaw inteligencji polskiej /nie tylko katolickiej/, na nasze życie umysłowe, świadomość etyczną, wiedzę o współczesności i najnowszej historii Polski nie podobna przecenić.

Z okazji tej rocznicy - wielce krzepiącej, mimo trudności, jakie przez wszystkie te lata i zwłaszcza ostatnie zespół warszawskiego czapisa spotykał na swojej drodze - 28 kwietnia 1978 odprawiona została w kościele św. Marcina przy ulicy Piwnej msza święta w intencji zmarłych współpracowników pisma, oraz w intencji wszystkich przyjaciół "Więzi". Przytaczamy modlitwę wiernych - oratio fidelium - z tej mszy:

Módlmy się

Aby ci, którzy cierpią głód, są poniżani i prześladowani, pozbawieni wolności i praw - uzyskali możliwość godziwego życia...

Abyśmy wszyscy starali się spełniać nakaz Chrystusa: miłujcie się wzajemnie...

Módlmy się za Ewę Mazowiecką, za Annę Morawską, Zbigniewa Pędzińskiego i za Jerzego Zawieyskiego, oraz za wszystkich zmarłych przyjaciół i współpracowników "Więzi", aby Bóg dał im zbawienie i o to, abyśmy byli wierni ich pamięci...

Za wszystkich naszych przyjaciół, za tych, którzy służyli nam swoim trudem, pomocą i radą, za tych, którzy okazywali nam solidarność w trudnych momentach...

Za wszystkich pracowników redakcji i administracji "Więzi", za ich rodziny, za naszych autorów i współpracowników, za drukarzy i introliigatorów i za wszystkich czytelników pisma...

Módlmy się

O wierność prawdzie, o wolność słowa, swobodę rozwoju kultury w naszym kraju...

Za publicystów i pisarzy, za uczonych i artystów, o pomnożenie ich odwagi i uczciwości, aby byli zdolni przywracać w naszym kraju godność słowa....

Za Księdza Prymasa, naszego biskupa, o zdrowie i siły dla Niego i za cały Episkopat polski...

Za wszystkie zaprzyjaźnione z nami środowiska, kluby, redakcje i uczelnie, za Dzieło Łasek...

Za tych, z którymi kiedyś szliśmy jedną drogą...

Za wszystkich naszych przyjaciół księży, za siostry Franciszkańki Służebnice Krzyża...

Módlmy się

Za polską młodzież, o opiekę nad nią, o jej wrażliwość i roztropność, o jej prawo do poznawania prawdy i współodpowiedzialności za losy narodu...

Za ludzi odsuniętych za margines, za osamotnionych, chorych, za tych, którym trudno znaleźć sobie miejsce w społeczeństwie...

O zjednoczenie chrześcijan, o zbliżenie wszystkich wierzących w Boga i o lepsze zrozumienie wzajemne wszystkich ludzi Ideowych...

Za wszystkich, którzy - narażając się na życie trudne, pełne ryzyka - walczą w naszym kraju o poszanowanie praw i godności ludzkiej...

Módlmy się

O opiekę nad dalszymi losami "Więzi" i o to, by Bóg przysparzał nam wiary, nadziei i miłości...

Aby Bóg strzegł nas przed samozadowoleniem, pychą postawy i skieroza myśl...

O opiekę nad Polską...

O opiekę nad Kościołem...

Za nas wszystkich tu zgromadzonych, o zdrowie i siły duchowe, o naszą wierność wartościom, którym staramy się służyć -

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie!

Lydzień Kultury Żydowskiej

Po raz szósty młodzież z warszawskiego KIK-u zorganizowała w czerwcu br. Lydzień Kultury Żydowskiej, połączony ze wspólną pracą przy porządkowaniu Cmentarza Żydowskiego w Warszawie. Wieczorami, po całodzienniej pracy, w liceum siostr Zmartwychwstańek na Żoliborzu odbywały się spotkania poświęcone kulturze żydowskiej. We wstępie do programu spotkań czytamy m.in. "Zwracając uwagę na zapomniane lub zniekształcone problemy, pracujemy na rzecz nowego, bogatego i różnorodnego społeczeństwa. To bogactwo przyjmie, oczywiście, inne formy niż znane z historii... na przykład nie będzie już nigdy w Polsce bogatej i autentycznej kultury żydowskiej. Ale ta, która była, na pewno nie jest dość znana, tak jak ulegają zapomnieniu dzieła współpracy i konfliktów Polaków i Żydów... Bronimy się przed odciecieniem od naszej własnej historii, przed wizją jednolitego i ospatego narodu oraz przed statycznością kultury nła będącej w stanie z nikim podjąć dialogu. Poszukujemy w tradycji bliskich nam wartości - tolerancji i współpracy ludzi różnych wier i przekonań... Świadomość wspólnych korzeni czyni kulturę żydowską bliską nam, chrześcijanom". Oto zaś tematy tegorocznych spotkań: "Próba odczytania dzieła Janusza Korczaka poprzez współczesne koncepcje psychologiczne, psychoterapeutyczne i wychowawcze" /Anna Wyka/; "Żydzi w Europie Wschodniej we wczesnym średniowieczu" /prof. Aleksander Gieysztor/; "Uwagi o tzw. kwestii żydowskiej w Polsce i w Europie" /Zdzisław Szpakowski/; "Histyryzm chasydów" /Aina Caia/; "Problem dialogu w myśli Martina Bubera" /Jan Doktor/.

Przejeżdżając do enigmatycznego felietonu

Felietony Putramenta w "Literaturze" często bywają superaluzyjnymi, do tego stopnia, że nikt o normalnych czytelników nie potrafi mówić, o co właściwie chodzi. Taki jest też felieton pt. "Mania małostki", wydrukowany w numerze z datą 15 czerwca 1978. Mowa tam o jakimś niewymienionym z nazwiska literacie, który mimo wszelkich sukcesów, a w szczególności tego, że krytycy podlizują mu się, a władze "dokładny plan pogtąskania za uchem naszego bohatera mają zapisany i twardo go realizują", odczuwa niepohamowaną potrzebę zrobienia świństwa. "Świństwo robi się najczęściej w formie listu. Trzy czwarte listu to komplementy. Pod koniec wytyczy ta figa, którą koniecznie chciał adresatowi przekazać. Pokaże figę i jest zadowolony". Putrament uważa, że literat, o którym pisze, jest po prostu chóry, a choroba ta - to "ma-

tość, śmieszność, głupota".

O co właściwie chodzi? Na użytek czytelników "Literatury" wyjaśniamy, że fabuła enigmatycznego tekstu Putramenta jest, jak zwykle, zaczerpnięta wprost z życia i dotyczy wysokich sfer literackich. Bohater - to Wojciech Żukrowski, śmiertelnie obrażony, że przepadł był w wyborach delegatów na niedawny zjazd katowicki. Ostatecznie Żukrowski wystosował przeto do Jarosława Iwaszkiewicza list z wyrzutami, że ten objął ponownie prezuresę związku, w którym panoszą się "niedoszlichtowani żydzi"/dostojnie/ i wyrotowcy. Na cele przykładów złowrogiej sytuacji w ZLP Żukrowski wymienił następująco: że Andrzej Drawicz wygłasza w RFN prelekcje o literaturze radzieckiej, po których ambasada ZSRR "zmużona jest" interweniować...

"Sprawiedliwi", ale bez paszportu

Stosunkowo niewiele jest w Europie - i w Polsce - ludzi, którym Jerozolimski Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów "Yad Vashem" przyznał tytuł "Sprawiedliwego wśród Narodów Świata". To ci chrześcijanie, którzy w latach minionej wojny ponieśli szczerą zasługę w ratowaniu Żydów, skazanych na śmierć przez machine hitlerowskiego ludobójstwa. 18 kwietnia br. przedstawiciele Instytutu wręczyli w Warszawie dyplomy i medale "Sprawiedliwych" kolejnej grupie zasłużonych Polaków, a wśród nich - małżeństwu Zagórskich: Jerzemu /wybitnemu poecie/ i Marii /znanej tłumaczce/. Mimo że państwo Zagórscy są raczej nieimiennie widziani przez władze, tym razem nawet oficjalna prasa podała wiadomość o ich odznaczeniu. Niestety, sprawa nie kończy się na ceremonii w siedzibie ZBbWiDu. Istnieje zwyczaj, że każdy "Sprawiedliwy" przybywa do Jerozolimy, by tam posadzić symboliczne drzewko oliwne. Z drzewek tych wyrósł już cały piękny las, upamiętniający szlachetność, odwagę i solidarność człowieka. Również państwo Zagórscy zostali zaproszeni do posadzenia swoich drzewek, jednakże MSW stanowczo odmówiło im paszportów na wyjazd do Izraela. Duma władz z zasłużonych rodaków ma, jak widać, swoje granice...

Kongres Penclubu w Sztokholmie

W dniach 22-27 maja br. obradował w Sztokholmie 43 Międzynarodowy Kongres Penclubu. Z ramienia Penclubu polskiego uczestniczyli w nim: Maria Kornitowiczówna, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski i Juliusz Żuławski. Komitet wykonawczy uchwalił definitywne wykluczenie /po uprzednim zawieszeniu/ centrum chilijskiego - za poparcie polityczne udzielone aktualnemu reżimowi w Santiago; o rok odłożono natomiast decyzję w sprawie ukonstytuowania wietnamskiego centrum Penclubu na emigracji. W podjętej uchwale wezwano wszystkie rządy do uwolnienia więzionych pisarzy; wezwano też wszystkie narodowe Pencluby do energicznego przeciwstawienia się wszelkim formom ograniczenia wolności słowa. Postanowiono wysłać obserwatora /wolno wątpić, czy zostanie on dopuszczony/ na zapowiadany proces Aleksandra Ginzburga w Moskwie.

Tzw. "Okragły stół" 43 kongresu miał za temat "literature w przebraniu". Na wstępie odczytano listy Vaciava Havela i Julia Cortazara, którzy nie mogli przybyć do Sztokholmu. Havel opisał w swoim liście sytuację pisarzy czeskich, poddanych stałe rosnącej presji i pozbawionych możliwości utrzymywania normalnych stosunków z zagranicą. Apelował również m.in. o wzięcie w obronę trzech młodych ludzi z Brna, uwieczonych ostatnio za powielanie niewydanych utworów pisarzy swego kraju. Cortazar ze swej strony rozważał los dobrowolnego emigranta politycznego, wyrażając przekonanie, że w warunkach dyktatury wojskowej na pisarzu spoczywa odpowiedzialność za obronę wartości humanistycznych. W dyskusji André Brink /biały literat z Afryki Południo-

wej wysunął tezę, że trudne warunki stwarzają szanse dla pisarza, zmuszonego pod ich naciskiem do istotnych wyborów. W krajach liberalnych pisarz narażony jest na pokusy łatwości; w społeczeństwie represyjnym słowo nabiera powagi czynu, powstaje / a w każdym razie może powstać / owocna zbieżność między tym co pisarz chce i powinien powiedzieć. Christa Wolf /NRD/ stwierdziła, że przebrana rzeczywistość "rodzi" "przebraną literaturę". Powstaje ryzyko odpowiadania na oszustwo - samooszukiwaniem się. Literatura powinna ukazywać świat bez maski.

Poza salą obrad zdarzył się wypadek, który sprawił, że gazety szwedzkie pisały o polskich delegatach na Kongres Penclubu. W obecności wielu dorosłych małe dziecko spadło ze skały do morza. Tym, który bez namysłu, w ubraniu, skoczył do wody i uratował dziecku życie, był pisarz polski - Jan Józef Szczepański.

Na zakończenie roku akademickiego w "Istatającym Uniwersytecie"

Informowaliśmy już parokrotnie w Kronice "Zapisu" o działalności samokształceniowej prowadzonej pod auspicjami Towarzystwa Kursów Naukowych. Piątego czerwca 1978 Towarzystwo wydało oświadczenie "Na zakończenie pierwszego roku działalności oświatowej TKN". Oto treść tego dokumentu:

"Dobiegła końca pierwszy rok działalności samokształceniowej prowadzonej pod patronatem Towarzystwa Kursów Naukowych.

Powołane do życia dnia 22 stycznia 1978 z inicjatywy kilkudziesięciu uczonych, pisarzy i działaczy społecznych, postawiło sobie za cel poparcie i organizację samokształcenia w dziedzinie nauk społecznych i humanistycznych wśród młodzieży studenckiej i młodej inteligencji w kraju.

W ciągu minionego roku Towarzystwo podtrzymało grupy samokształceniowe istniejące przed jego powstaniem oraz podjęło nowe inicjatywy. W okresie od października 1977 r. do maja bieżącego roku odbyło się ponad 120 spotkań samokształceniowych w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu, Łodzi i Poznaniu. Wykłady i poszczególne prelekcje wygłaszał: Stefan Amsterdamski, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Czesław Bobrowski, Tomasz Burek, Bohdan Cywiński, Jerzy Jedlicki, Tadeusz Kowalik, Jacek Kuroń, Stefan Kurowski, Edward Lipiński, Edward Łukawer, Jan Walc, Adam Michnik, Irena Nowakowa, Adam Stanowski, Jan Strzelecki, Zdzisław Szpakowski, Karol Tarnowski, Andrzej Werner, Wiktor Woroszyński, Jacek Woźniakowski i inni. Przedmiotem wykładów, prelekcji i seminariów była najnowsza historia Polski, historia myśli społecznej, analiza współczesnych struktur społecznych, zagadnienia gospodarcze, problemy wychowania, socjologia nauki, filozofia, literatura i sztuka współczesna. Największym powodzeniem cieszyły się wykłady historyczne, gromadziły one po stu i więcej słuchaczy. Zagadnienia bardziej specjalizowane skupiały grupna szczeblu - ale za to bardziej stałe i skonsolidowane. Wszystkie cykle rozpoczęte jesienią ubiegłego roku cieszyły się do końca zainteresowaniem studentów. Koordynacją zajęć zajmowała się Komisja Programowa, której skład powoływali sygnatariusze Deklaracji TKN na dwóch kolejnych posiedzeniach. Komisja Programowa wzięła na siebie odpowiedzialność za dobór prelegentów oraz podjęła się przygotować program działalności TKN na rok następny.

W dyskusjach odbywających się na wykładach i seminariach zwracała uwagę ciekawość oznaczająca młodzieży i dojrzałość w podejściu do omawianych zagadnień. Warto też podkreślić jej spokój i opanowanie, gdy warunki pracy samokształceniowej były zaktórcane. Szczególne podziękowanie wyraża Towarzystwo osobom, które bezinteresownie, mimo sztykan, represji i zagrożeń, udzielały swych mieszkań na zajęcia samokształceniowe.

Potrzeby, którym zaledwie w małej części może sprostać Towarzystwo, są powszechnie znane. Odczuwa je przede wszystkim sama młodzież, która doświadcza na sobie braków i deformacji systemu Oświatowego, występujących od szkoły podstawowej, poprzez szkolnictwo średnie, po wyższe uczelnie. Na życiu młodego pokolenia ciąży brak autentyzmu wychowawczego i poznawczego, który wyjątkowo procesy kształcenia i wychowania; sptyca to i zubaża ogólną kulturę, z jaką młodzież wchodzi w życie społeczne i zawodowe.

Potrzeby, z których istnienia i niezaspokojenia powstała nasza Inicjatywa, odczuwają wychowawcy różnych stopni systemu nauczania, choć z różnych względów trudno im o tym jawnie mówić. Odczuwa je środowisko ludzi nauki, niejednokrotnie bezradne w obliczu wzrastającego nacisku, pracujące w warunkach braku samorządności wyższych uczelni, broniące swego autentyzmu przed ingerencjami w życie naukowe, w swobodę dyskusji i publikacji, w niezależność zrzesań naukowych, badań i dociekań.

O istnieniu tych potrzeb i o ich znaczeniu mówią niezależne autorytety moralne w kraju, Episkopat Polski, który w komunikacie z marca br. wyraził "dezaprobatę dla wszelkich poczynań, które krepują ducha ludzkiego tworzącego swobodnie wartości kultury" i stwierdził, że "Kościół będzie popierał także Inicjatywy, które dążą do ukazania kultury, wytworów ducha ludzkiego, historii Narodu w formie autentycznej, bo Naród ma prawo do obiektywnej prawdy o sobie".

Towarzystwo Kursów Naukowych postawiło przed opinią publiczną problem edukacji narodowej w świetle jej zagrożenia przez nadmierne sformalizowanie studiów oraz monopollistyczne tendencje państwa wyrażające się m.in. w podporządkowaniu, zwłaszcza nauk społecznych, wymogom propagandy i koniunktury politycznej.

Skupiło ono grono osób gotowych do współpracy w zakresie poprawy systemu kształcenia, analizy obowiązujących programów i odczerpaniu oraz przyczynienia się do zmiany atmosfery w wyższych uczelniach. Sygnatariusze deklaracji na kolejnych zebraniach podkreślali zgodność szkody intelektualnej i moralnej, jakie przynosi wąska specjalizacja studiów i prac dyplomowych, cenzura polityczna podręczników historii i socjologii, a zwłaszcza arbitralna polityka kadrowa realizowana w uczelniach i w Instytutach naukowych. Ruch samokształceniowy uzupełnia lukę w wiedzy humanistycznej, wzmacniając szczególnie zachwiane poczucie tradycji i ciągłości historycznej. Ruch ten pobudza do pryncypialnych dyskusji, skłania do samodzielnych, grupowych czy indywidualnych studiów. Nowy rodzaj więzi między wykładawcami a słuchaczami, jaki wytwarza się w czasie zajęć prowadzonych w ramach działalności TKN, przełamuje urzędową sztywność i hierarchiczność, jakie wbrew wszystkim wielu ludzi rozpowszechniają się w naszych uczelniach.

Towarzystwo Kursów Naukowych odwołuje się do wielkich tradycji polskiego ruchu samokształceniowego. Skupiło ono ludzi o różnych poglądach - zgodnych co do tego, że wychowanie nowego pokolenia w umiłowaniu prawdy i nauki, w duchu aktywności społecznej i intelektualnej wymaga wyjścia poza ramy oficjalnego kształcenia. Inicjatywa ta nie stanowi wyzwania pod adresem istniejących struktur państwowych ani obowiązujących w naszym kraju praw. Ma na celu wzbogacenie życia umysłowego i doświadczeń młodzieży o element spontaniczny, bezinteresowny, moralny.

O powołaniu do życia Towarzystwa Kursów Naukowych zostało powiadomione Prezydium PAN. Odpowia uznania Inicjatywy Towarzystwa, określone ich przez niektórych czynników jako "społecznie szkodliwych" czy nawet "politycznie niebezpiecznych", podjęcie kroków administracyjnych przeciw jego członkom, a zwłaszcza przeciwko osobom udzielającym swych mieszkań na zebrania samokształceniowe, nie może wptynąć na decyzje Towarzystwa Kursów Naukowych co do dalszej działalności. Utrudnianie i szikanowanie jego pracy, zwalczanie podjętej przez nie

inicjatywy społecznej, pod pretekstem, iż nie mieści się ona w oficjalnym systemie kształcenia i jego strukturach, gdy równocześnie pomija się milczeniem przyczyny, które tę inicjatywę zrodziły i gdy nie podejmuje się żadnych kroków, by wyjść naprzeciw dążeniom do zaspokojenia tych odczuwanych społecznie potrzeb - jest działaniem zarówno szkodliwym dla kultury narodowej, jak i krótkowzrocznym. Towarzystwo jest zdecydowane prowadzić nadal swą działalność samokształceniową w przekonaniu, że zastosowane przeciw niemu środki dyskredytują się same i że w końcu zwycięży rozsądek oraz troska o wspólne, ogólnoludzkie i narodowe wartości. Wolność nauczania i dyskusji naukowych oraz prawo do podejmowania społecznych inicjatyw w zgodzie z Konstytucją PRL oraz ratyfikowanymi przez Polskę Paktami Praw Człowieka nie stanowi zagrożenia dla porządku społecznego, lecz go umacnia, wspierając na rozumnych i moralnych zasadach".

Dalsze prześladowania członków i współpracowników TKN

Władze nie podzielały widać opinii, że wolność nauczania "nie stanowi zagrożenia dla porządku społecznego". Wykłady i seminaria prowadzone pod auspicjami Towarzystwa Kursów Naukowych były wielokrotnie przerywane lub utrudniane przez ingerencję milicji. Jak doświadczyliśmy się z wcześniejszego oświadczenia, wydanego przez Radę Programową TKN 5 maja 1978, "w okresie od marca do maja br. przed kolegami d/s wykroczeń przy Naczelnikach Dzielnic Warszawa-Śródmieście, - Mokotów, - Wola i - Ochota, odbyło się osiem rozpraw przeciwko osobom uczącym swych mieszkańców na zajęcia samokształceniowe, a przed kolegami przy Prezydencie Miasta st. Warszawy - trzy rozprawy przeciwko osobom skazanym uprzednio przez kolegię dzielnicowe, odwołującym się od wydanych orzeczeń. Wszyscy obwinieni skazani zostali na grzywny w wysokości od 4 do 5 tys. zł. Użyto również groźby eksmisji wobec osoby bezinteresownie uczącej swego mieszkańca na wykłady TKN-u"

Członkowie TKN byli wzywani na rozmowy w miejscu pracy, podczas których sugerowano im, że praca zawodowa jest nie do pogodzenia z działalnością społeczną. Członek TKN, Waldemar Kuczyński, adiunkt w Instytucie Organizacji i Zarządzania Budownictwem, dostał wymówienie z pracy, wbrew opinii Rady Zakładowej i bezpośrednich zwierzchników. Profesor Maria Janion i profesor Adam Kersten, członkowie TKN, którzy od lat należeli do PZPR, zostali usunięci z partii. Jan Strzelecki - otrzymał nagane partyjną. Kilku członkom TKN odmówiono paszportów: Andrzejowi Celińskiemu - na wyjazd na Międzynarodowy Kongres Socjologiczny do Uppsali, profesorowi Michałowi Głowińskiemu - na wyjazd do Stanów Zjednoczonych, redaktorowi "Włazi", Tadeuszowi Mazowieckiemu - również na wyjazd do Stanów Zjednoczonych /na zaproszenie Departamentu Stanu/, profesor Barbarze Skardze - do Paryża, na konferencję organizowaną przez UNESCO, Jackowi Woźniakowskiemu - do RFN i Szwajcarii.

To jest drugi /niepełny zresztą/ bilans, którym władze administracyjne zamykają rok akademicki "latającego uniwersytetu". Działalność Towarzystwa Kursów Naukowych będzie kontynuowana po wakacjach.

List Episkopatu o obowiązkach katolików w Polsce wobec kultury narodowej i religijnej

W liście ogłoszonym 21 maja 1978, Biskupi Polscy stwierdzają m. in., że "programy szkolne, i w ślad za nimi idące podręczniki dla dzieci i młodzieży, nie przekazują pełnej treści kultury narodowej ... program języka polskiego przemiłcza twórczość, która czerpała moc natchnioną z życia religijnego... przytaczając wyjątki z pism nie

których autorów opuszcza się w podręcznikach szkolnych słowa mówiące o Bogu, co nieraz prowadzi do zniekształcenia utworów". Dotyczy to również nauki historii, lekcji "przygotowania do życia w rodzinie" i innych przedmiotów.

"Z doświadczenia dziejowego Polski wiemy - przypominają Biskupi - że wszelkie próby wynaradawiania Polaków dawały zawsze odwrotne wyniki. One to zrodziły obronę przed "Potopem szwedzkim", Sejm Czteroletni, Konfederację Barską, Powstania narodowe, wielką literaturę, sztukę, muzykę i piękni narodowe. Dlatego też doświadczenia te są ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy chcieliby ograniczać zakres wpływu kultury ojczystej na wychowanie młodzieży lub kontrolować życie narodu w jego wewnętrznym duchowym rozwoju i potrzebach".

Powrót Wierzyńskiego.

15 kwietnia na cmentarzu powązkowskim w Warszawie odbyła się uroczystość złożenia do grobu prochów Kazimierza Wierzyńskiego/1894-1969/. Poeta trzydzieści ostatnich lat życia spędził na emigracji i zmarł w Londynie. Wielka Encyklopedia PWN, tom XII, s. 300, kończy hasło "Wierzyński Kazimierz" zdaniem: "Współpracował z ośrodkami antykomunistycznej działalności propagandowej". Po śmierci poety i jego twórczość objęta częściową amnestią, co znalazło swój wyraz w wydaniu w PRL kilku wyborów poezji Wierzyńskiego. Ostatni jednak cykl wierszy - "Czarny Polonez" - ukazał się tylko w ramach Biblioteki "Kultury" /Paryż, 1968/ i obecnie został wznowiony przez Niezależną Oficynę Wydawniczą w kraju.

Cenzura woluje z umartym

Witold Dąbrowski, który zmarł nagle w nocy z 9 na 10 maja 1978 i który w ostatnich latach życia miał wiele trudności z publikowaniem swoich utworów, m.in. jako sygnatariusz tzw. "Listu 101" / w sprawie zmian w konstytucji / i "apelu 17" / o uwolnieniu aresztowanych/, również po śmierci pozostaje obiektem dyskryminacji. Cenzura /albo inna instytucja, nadrzędna wobec cenzury/ zarządziła konfiskatę w tygodniku "Polityka" wspomnienia Andrzeja Jareckiego o Dąbrowskim /ze wspólnych lat w STS-le/, a w tygodniku "Literatura" - eseju Jacka Trznadla o poezji Dąbrowskiego. W "Wieżi" skonfiskowano nawet wiersz poświęcony pamięci Zmarłego - piosra Jerzego Narbutta. W "Tygodniku Powszechnym" zezwolono wprawdzie na druk wspomnienia Seweryna Pollaka, ale z licznymi okrojeniami, skonfiskowano na przykład - zdania, że Dąbrowski "miał odwagę ... nawiązywać do tradycji" i że "była to nie tylko odwaga, ale słuszne przewidywanie i pewność własnej drogi, pewność raz obranego kierunku". Usunięto również cytaty z opublikowanych dawniej wierszy Dąbrowskiego "Tower" i "Z Troi", a także uwagę, że umiał on "swoją poezję harmonizować z działaniem" oraz we fragmencie o Dąbrowskim-tłumacz, że "sam dobór autorów i tłumaczonych dzieł" świadczył "o określonym u Dąbrowskiego i jego współtłumaczki stosunku do literatury, o określonych wobec niej wymaganiach". Niecenzuralna okazała się, naturalnie, informacja, że Witold Dąbrowski z Ireną Lewandowską przenieśli drukowany w roku 1962 w "Polityce" "Jeden dzień Iwana Denisowicza" Sołżenicyna, ale również i ta, że wypowiedź poety, na tydzień przed śmiercią, na walnym zebraniu warszawskich literatów - "było to przemówienie spokojne i stanowcze; przemówienie człowieka głęboko przeświadczonego o swoich racjach, o konieczności mówienia jasno i otwarcie"...

Na jednym z ostatnich posiedzeń Prezydium ZG Związku Literatów Polskich postanowiono interweniować w sprawie tych haniebnych represji w stosunku do umartego poety. Mlejnij nadzieje, że interwencje te dadzą skutek.

U Walendowskich: spotkanie z profesorem Bromke...

W maju odbyło się w mieszkaniu państwa Anny Erdman i Tadeusza Walendowskiego - jako kolejna impreza tak zwanego /nieoficjalnie/ Salonu Kultury Niezależnej - spotkanie a profesorem Adamem Bromke, wykładowcą nauk politycznych na Uniwersytecie Mc Master w Kanadzie, autorem wielu prac o polityce polskiej. Było ono jednym z tłumniejszych i bardziej ożywionych w tym sezonie.

Wypowiedź profesora Bromkego składała się z dwóch części. W pierwszej przedstawił on pokrótce swoją koncepcję idealizmu i realizmu w polskiej myśli politycznej, przy czym podkreślił jako ważną między nimi różnicę sposób rozpoznawania rzeczywistości: w przypadku Idealizmu wyznaczony on jest dominującą przez sytuację wewnętrzną kraju, w oderwaniu od szerszych układów politycznych; realizm zaś podejście do polityki, odwrotnie, opiera się na sytuacji geopolitycznej i układach sił zewnętrznych. Profesor Bromke wyraźnie opowiadał się za realizmem, choć doceniał również wagę i skuteczność - w pewnych momentach naszej historii - postaw zrodzonych z nurtu idealistycznego.

Druga część wystąpienia poświęcone była współczesnej emigracji polskiej, którą mówca określił jako "diasporę polską", odmawiając jej nazwy "emigracja polityczna", jako że w olbrzymiej większości nie zamierza ona powrócić do kraju, nawet gdyby zaszły w nim istotne zmiany. Wyróżnił z niej cztery rodzaje ośrodków i instytucji. Pierwszy - to instytucje skupione wokół emigracyjnych władz politycznych, raczej nastawione na przeszłość niż na współczesność; drugi - wydawnictwa pracujące w gruncie rzeczy dla kraju, takie jak "Kultura" i "Aneks"; trzeci - to Polonia, głównie amerykańska, zainteresowana przede wszystkim własną sytuacją w krajach osiedlenia; i wreszcie czwarty ośrodek - nieliczny, ale liczący się na Zachodzie i dość wpływowy - to naukowcy polskiego pochodzenia.

Zebranych najbardziej zainteresował problem realizmu i idealizmu - i zwłaszcza stosunek koncepcji profesora Bromkego do obecnej rzeczywistości polskiej. Dyskutanci nie chcieli się zgodzić z poglądem, że tworzenie instytucji niezależnych od władz i niezależnego życia społecznego/ jak chociażby to właśnie spotkanie / jest przejawem Idealizmu; zapytywali, czym w takim razie byłby dzisiaj realizm. Zwrócono uwagę, że lista działań opozycyjnych: pomoc prześladowanym, obrona przed bezprawiem, niecenzurowane wydawnictwa i wolna działalność naukowa - składa się na to, co w Polsce nazywano pozytywizmem, pracą u podstaw. Profesor Bromke nawrócił do zewnętrznych uwarunkowań Polski, i wskazał, że w ich kontekście nawet taka organiczna działalność może doprowadzić do wybuchu społecznego, a w konsekwencji do katastrofy. Tak na przykład skutek może mieć podnoszenie problemu niepodległości. Dyskutanci zgodzili się, że prowokowanie gwałtownych wystąpień byłoby niewybaczalne, usiłowali jednak wytłumaczyć, iż w systemie totalitarnym świadomość społeczna ulega ciągłemu procesowi degeneracji i deprawacji, co prowadzić może do uznania istniejącego u nas zniewolenia za normę i rzecz naturalną. Powstrzymanie tego procesu jest jednym z warunków realnego myślenia o przyszłej niepodległości i niezależności.

Profesor Bromke zwrócił z kolei uwagę, że pozytywny wpływ na sytuację Polski może wyrzec proces odpreżenia, który musi oddziaływać również na rządy jednopartyjne/profesor wyraźnie unikał innego ich określenia/, jest on przesyła ważny dla całego świata. Zapytano wówczas, czy sądzi, że détente jest w ogóle realna bez zasadniczej zmiany w systemie radzieckim. Prelegent zareagował w sposób zaskakujący dla większości zebranych, pytając czy rzeczywiście pragnęliby osłabienia Rosji. Zachodowi silna Rosja jest potrzebna dla utrzymania równowagi światowej, obrony przed Wschodem i głodnym Południem.

Nie można powiedzieć, żeby opisane tu spotkanie doprowadziło do zbliżenia poglądów, na pewno jednak było interesujące dla obydwu stron. Zebrani mogli się zapoznać z przedstawioną bitykotiwią i na wysokim poziomie współczesną formą koncepcji, wedle której warunki geopolityczne narzucają nam ugodę z władzą miejscową i zewnętrzną. Profesor Bromke w zetknięciu z ludźmi, których programem, realizowanym praktycznie, są zmiany uzyskiwane dzięki działaniom społecznym niezależnym od władz, dostrzegł, być może, konieczność uwzględnienia nowych elementów w swoim dychotomicznym schemacie idealizm-realizm.

... i z Mirosławem Chojeckim

Mirosław Chojecki kieruje działalnością Niezależnej Oficyny Wydawniczej; do salonu państwa Walendowskich zaproszony został z okazji rozpoczynających się właśnie / było to 3 maja 1978/ Dni Oświaty, Książki i Prasy. Tym razem nie tyle dyskutowano, co gawędzono; bohater wieczoru opowiadał o początkach niecenziowanego ruchu wydawniczego /zaczęło się od wykonania na termokopiarce dwóch kopii maszynopisu "Nierzeczywistości" Kazimierza Brandysa/ i dalszym jego rozwoju, o kłopotach z technika, papierem i kolportażem, o skromnych pomysłach, a zarazem budzących dumę dotychczasowych osiągnięciach oficyny. "... nakładem NOWEJ ukazało się już ponad 25 pozycji... od kilkuset do kilku tysięcy egzemplarzy każdego tytułu ... w sumie do tej pory tylko Niezależna Oficyna Wydawnicza wypuściła w obieg po kraju blisko 7 ton zadrukowanego papieru..." Oto zaś godny uwagi fragment z dalszej części wypowiedzi Chojeckiego: "To, że dzisiaj się tutaj spotykamy, że wiadomo, do kogo należy zgłaszać pretensje, że i propozycje wydawnicze, jest jawną częścią naszej pracy". Ale ze zróżnicowanych względów musi istnieć i część niejawna - produkcja. Wówczas gdy my spotykamy się u Tadeusza, gdy w dużym stopniu tworzymy ten ruch, w którym uczestniczymy - osoby zajęte wydawnictwem pozbawione są tego. Często przed najbliższą rodziną muszą ukrywać swe dodatkowe zajęcia. Skazane są na bezsilne oczekiwanie policji. Przeważnie osoby starające się wyobrazić sobie taką tajną drukarnię zapominają, że brak kontaktu z życiem "opozycyjnym" jest często trudniejszy do przetrzymania aniżeli ciężka, brudna robota po tacie w czarnej farbie lub oparach denaturatu." I wreszcie zakończenie: "Wszystkie nasze teksty rozeszły się do ostatniego egzemplarza. O ich pożyteczności świadczą może fakt, że nawet policja jest nimi zainteresowana. Wiemy wszyscy, że policja wydaje ogromną ilość pieniędzy na to, aby zdobyć pełne nakłady naszych wydawnictw. My jednak zdajemy sobie sprawę, że w Polsce nie wszyscy jeszcze są policjantami, i dla niepolicyjnej części społeczeństwa także chcemy coś mieć."

Inne imprezy

Inne imprezy kończące sezon u państwa Walendowskich to: wieczór autorski Jana Józefa Szczepańskiego, spotkanie ze Stanisławem Stomą, który mówił o Józefie Piłsudskim, i wieczór, na którym Halina Nikołajska wystąpiła z poematem Stanisława Barańczaka "Sztuczne oddychanie".

W liceum siostr Zmartwychwstańek Maciej Rayzacher poprowadził spotkanie z twórczą Aleksandra Waza /w trakcie którego odczytał, oprócz wierszy, fragmenty z wydanych pośmiertnie wspomnień - "Mój wiek"/ i Jana Lechonia. Ten sam aktor na dwóch kolejnych wieczorach w KIK-u recytował wiersze Osipa Mandelsztama/w tłumaczeniu; w oryginalnym zaś wiersze te odczytał Michał Klinger/ oraz Manteya Gerarda Hopkinsa / w przekładzie Barańczaka/.

Również w KIKu odbył się wieczór autorski Andrzeja Kijowskiego.

Wiele już pisano i dyskutowano o oświacie, między innymi w związku z przygotowywaną reformą szkolniczą - z projektem powszechnej szkoły dziesięcioletniej. Oddział Warszawski Polskiego Towarzystwa Socjologicznego postanowił zorganizować sesję naukową na temat "problemów i perspektyw polskiej oświaty". Sesje wyznaczone na 14-15 i 21-22 kwietnia 1978 i z datą 30 marca rozesłano zawiadomienia o sesji. Wkrótce jednak członkowie Polskiego Towarzystwa Socjologicznego otrzymali pismo zawiadaniające o tym, że sesja się nie odbędzie. Pismo, jak się okazało, rozesłał Sekretariat Wydziału i Polskiej Akademii Nauk. Rozpoczęły się pertraktacje między Wydziałem i PAN a Zarządem Głównym i Zarządem Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. W wyniku tych pertraktacji doszło do ponownego rozesłania zaproszeń i sesja odbyła się 22-24 maja. W programie pojawili się nowi prelegenci /m.in. prof. dr Władysław Markiewicz, sekretarz Wydziału i PAN, i doc. dr Stanisław Frwci, dyrektor Instytutu Programów Szkolnych/, natomiast niektóre referaty zostały usunięte, m.in. doc. dr Bolesław Gleichgewicht, matematyka z Wrocławia /o sytuacji oświatowej nauczycieli/ i mgr Ireneusza Gogulskiego, nauczyciela języka polskiego, niedawno przeniesionego karnie z warszawskiego liceum im. Tadeusza Rejtana do innej szkoły/ o reformie oświaty/.

Na sesji dr Krystyna Starczewska mówiła o filozoficznych koncepcjach człowieka jako podstawie kształcenia i wychowania, Jacek Staszeli przedstawił status prawno-administracyjny szkoły w Polsce, prof. dr Karol Wajs mówił o wpływie szkoły średniej na absolwentów wyższych uczelni technicznych, dr Bohdan Gotowski - o reformie oświaty, Piotr Zakrzewski, Jacek Jakubowski, Henryk Hollander i doc. dr Jan Waszkiewicz omawiali szkołę przyszłości i przedstawił propozycje zmian systemu kształcenia, między innymi na podstawie własnych, trudnych doświadczeń i własnych eksperymentów pedagogicznych.

W dyskusji wielokrotnie zabierał głos wiceminister oświaty i wychowania, Romuald Jezierski, który bronił oficjalnych praktyk wychowania i oficjalnych projektów w tej dziedzinie. Interesujący był spór o "dziesięcioletkę" między obecnym wiceministrem Oświaty Jezierskim a byłym ministrem tego resortu, Władysławem Bieńkowskim. Bieńkowski, a także inni dyskutanci, dziwili się skróceniu programu szkoły średniej do lat dziesięciu i widzieli w tym przede wszystkim oddziaływanie wzorów radzieckich.

Polskie Towarzystwo Socjologiczne umożliwiło słuchaczom zapoznanie się z podstawowymi założeniami koncepcji oświatowych, z wizją człowieka ukrytą w działaniach pedagogicznych. Na sesji mówiono o podwójnym oddziaływaniu szkoły: trening werbalny, wypracowania o natryotyzmie i polskich tradycjach demokratycznych, słowa przyswojone i powtarzane przez uczniów odbiegają całkowicie od konformistycznej praktyki szkolnej, której wpływ jest często decydujący i niebezpieczny. Pozważane prawny kontekst oświaty, zagadnienia psychologiczne, ideały i ich realizacje. Wiele było powodów do niepokoju. Niespokojące były także kłopoty z organizacją tej cennej w rezultacie dyskusji, działania urzędników Polskiej Akademii Nauk /z tytułami profesorskimi/ zmierzające do tego, by uniemożliwić organizację sesji. Skreślenie dwu referatów z programu trzeba traktować jako represję natury osobistej skierowaną przeciw referentom. W Polskim Towarzystwie Socjologicznym jest to niebezpieczny precedens. Naciski władz zaś są fragmentem ich polityki zmierzającej do ideologizacji nauk społecznych i do przekształcenia nauk społecznych w narzędzie propagandy.

O Stanisławie Ossowskim i jego myśli

18 maja 1978 odbył się w sekcji kultury warszawskiego Kiku wieczór poświęcony pamięci Stanisława Ossowskiego. W pierwszej części

wieczoru trzech uczniów Profesora mówiło o Jego myśli: Stefan Nowak o koncepcji społecznej osobowości człowieka, Jakub Karpiński - o koncepcji stratyfikacji społecznej i demokracji, wreszcie Jan Strzelecki - o związkach między sferą zainteresowań teoretycznych a postawami Ossowskiego wobec praktyki życia społecznego. W drugiej części spotkania mówiono o osobie Profesora. Stefan Nowak opowiadał o przybyciu Ossowskiego z Łodzi do Warszawy w 1947 roku i o szczególnie, elektryzującej atmosferze "zabawy w socjologię", do której porwał grono swych studentów. Koto roku 1950 atmosfera wokół Ossowskiego zaczęła się robić gęstsza, a w 1952 praktycznie pozbawiono go katedry. W okresie przymusowego milczenia prowadził w swoim mieszkaniu prywatne seminarium, na którym dyskutowało się wiele zagadnień teoretycznych i metodologicznych. Pozwoliło to od razu w roku 1956, kiedy tylko otworzyły się nowe możliwości, rozpocząć badania socjologiczne nowego typu, przedtem w Polsce nieznaną. "Ossowski zawsze - wspominała Irena Nowakowa, również uczestniczka tych zajęć - w najgorszych czasach stalinowskich, kiedy w zasadzie nie było ani socjologii, ani żadnych nadziei na socjologię, snuł zupełnie swobodne plany, co będzie się robić, jakie zagadnienia trzeba rozwijać" Jakub Karpiński mówił o sylwetce Ossowskiego, jaka wyłania się z jego dzienników, i przytoczył ich charakterystyczne fragmenty. Oto jeden z nich: na zebraniu konspiracyjnym socjalistów w 1944 roku podejmuje się próby kreślenia programu na przyszłość. "Zabieram głos - notuje Ossowski. - Jako jedno z doniosłych dla mnie zagadnień wysuwam sprawę obrony kultury przez presją państwa. Ależ państwem my będziemy obecnie kierowali, powada na to jeden z zebranych. Właśnie dlatego to zagadnienie nabiera wagi..."

Wara Barańczakowi od amerykańskich studentów.

Stanisław Barańczak, jak wiadomo, jest nie tylko twórcą, ale i badaczem literatury. Ma stopień naukowy doktora i przez kilka lat pełnił funkcję adiunkta w Zakładzie Teorii Literatury Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. W lipcu zeszłego roku wymówiono mu pracę, a w styczniu br. decyzję tę potwierdziło definitywnie Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Tymczasem amerykański Uniwersytet Harvarda w Cambridge, Massachusetts zwrócił się do Barańczaka z propozycją objęcia wykładów literatury i języka polskiego po przechodzącym na emeryturę profesorze Wiktorze Weintraubie. Zdawałoby się - jeżeli nawet Barańczak jako "doprawator polityczny" nie może służyć swoją wiedzą młodzieży polskiej - coż stoł na przeszkodzie, by zapoznać z tajemnikami naszych imiostów i "Trenami" Kochanowskiego studentów amerykańskich? Ale nie! Mimo kilkakrotnie ponawianych prób i interwencji, mimo oficjalnych i nieoficjalnych obietnic, Barańczak paszportu do Stanów nie otrzymał. Niech lepiej katedrę obejmie nie-Polak, niech pozostanie w ogóle nieobsadzona, niech uszczuplone będą możliwości rozpowszechniania w świecie kultury polskiej - byle zemsćcie na krnąbrnym poecie stało się zadość, byle nie popuścić Barańczakowi!

Znowu dobre "Spotkania"

Dotarł do nas nr 3/kwiecień 1978/ "Spotkań" - wydawanego w Lublinie niezależnego pisma młodych katolików. Również i tym razem, jak po numerze pierwszym i drugim, odrzuciłszy krępujące wrażenia obcowania z czymś naprawdę poważnym, rzetelnym i żarliwym. Krótki artykuł wstępny poświęcony 35 rocznicy powstania w getcie warszawskim, kończy zdaniem, że "nienawidź, gdziekolwiek by się zaczynała i jakkolwiek miałyby wymiary, prowadzi do klęski także tych, którzy ją sieją, niszczy ludzi i narody". Witold Zdzichowski kontynuuje swoje piękne, jak zwykle, rozważania ewangeliczne, dalej Piotr Zenowicz referuje sesję

"Chrześcijaństwo wobec praw człowieka" w warszawskim KIKu, po czym następują opublikowane w pełnym brzmieniu wystąpienia na owej sesji Bohdana Cywińskiego, Andrzeja Grzegorzcyka, Tadeusza Mazowieckiego, Adama Stanowskiego i Jerzego Turowicza. Autorka podpisująca się "Trebicka" ogłasza wspomnienie o zmarłym niedawno wybitnym pedagogu, współtwórcy harcerstwa polskiego, działaczu Ruchu Oporu, Aleksandrze Kamińskim.

Bodaj że najbardziej reprezentatywnym tekstem w omawianym numerze "Spotkań" jest artykuł ks. Stanisława Małkowskiego "Kościół a totalitaryzm /Próba nawiązania dialogu z lewicą katolicką/". Punktem wyjścia jest tu znana książka Michnika "Kościół, lewica, dialog", którą autor artykułu wyraźnie ceni, ale na wiele poruszonych w niej zagadnień patrzy, oczywiście, z odmiennego punktu widzenia. Rozważania księdza Małkowskiego są zbyt obszerne, zbyt bogate w różnorakie treści, żebyśmy mogli podjąć się tutaj ich zreferowania. Jedyne więc na zasadzie próbki stylu myślenia przytoczymy kilka zdań z końcowej partii artykułu: "Kościół jest nie tylko apolityczny w swym humanizmie. Również nie utożsamia swoich celów ze zdrowiem kultury i zdrowiem osobowości. Religia nie jest ruchem ochrony środowiska ani ruchem higieny psychicznej. Wymagania religii mogą iść wbrew pewnym tendencjom kulturowym lub osobowościowym... Idee chrześcijańskie są konstatatorskie nie tylko wobec totalitaryzmu, ale w pewnej mierze też wobec kultury i osobowości.../Kościół/ widzi zło także w sobie. Gdyby nie zło w Kościele, być może lewica laicka nie usiłowałaby w przeszłości bronić ludzkich praw wbrew niemu. Gdyby nie to zło, być może nie urosłoby aż tak bardzo totalitaryzm, który jest jakimś wyolbrzymieniem tego zła, które w Kościele włada... A zatem w drodze między totalitaryzmem a pluralizmem zadaniem Kościoła jest nie tylko przetrwanie, ale i wewnętrzna reforma oraz wyjście naprzeciw tym, którzy oczekują od niego pomocy i świadectwa. W historii Kościół tracił często wskutek swoich własnych błędów różne narody, środowiska i grupy społeczne. Oby nie stracił teraz niektórych środowisk opozycyjnych i nie odtrącił koncepcji pluralistycznych oraz ludzi, którzy je wyrażają".

W działale polemiki znalazł się esej Ludwika Hassa, odrzucony przez oficjalnie wydawane czasopiśmiśno, a stanowiący odpowiedź na głośny swego czasu antysemicki artykuł historyka z MSW, Jana Borkowskiego w "Przeglądzie Humanistycznym". Jak wynika z notatki, zaczerpniętej z "Księgi Zapisów GUKPPIW", Borkowskiego przed polemikami broniła cenzura... Dwa artykuły i list do redakcji "Spotkań" poświęcone są zde-maskowaniu fałszów w popularnym serialu telewizyjnym "Polskie Drogi". Dział dokumentacji przynosi m.in. oświadczenie Towarzystwa Kursów Naukowych, przemówienie sejmowe p. Bendera w sprawie Kodeksu Pracy, apel Narodowego Związku Solidaryistów NTS. List do redakcji, nawołujący krytycznie do artykułu "Ukraińcy wobec państwowości polskiej" z nr 1, przypomina m.in. szczegóły tragicznego przesiedlenia Ukraińców z południowoschodnich terenów PRL w roku 1947, "Spotkania" redagują: Zdzisław Bradeł, Janusz Krupski, Wojciech Orzech, Józef Ruszar i Stefan Szaciłowski.

Co nowego w "Kulturze"

W majowej i czerwcowej "Kulturze" paryskiej - trochę tekstów, które już znamy, ale z przyjemnością widzimy je w druku. Należy do nich "opowieść prawdziwą" pt. "Podanie czyli wakacje w Sosnowiance", podpisana pseudonimem: Irena Borowiecka. "Kultura" drukuje dwa odcinki tej prozy, która od ubiegłego lata krążyła w maszynopisie po Warszawie, i zapowiada dokończenie w następnym numerze. Możemy tu dodać, że znamy tylko opowiadanie, ale i historię, która została w niej opisana, i możemy poświadczyć, że czytelnik ma naprawdę do czynienia z opowieścią prawdziwą z życia niemieckiego warszawskiego pisarza i jego rodziny... Drugi tekst, który znamy - to jak najszus-

niej przedrukowany ze "Spotkań" nr 2 doskonały esej Ojca Ludwika Wiśniewskiego OP pt. "Chrześcijaństwo wobec walki o sprawiedliwość". Inne materiały przeczytaliśmy po raz pierwszy. Na wymienienie zasługują zwłaszcza: "Strategia afrykańska Sowietów" Zbigniewa Byrskiego, "Nie jest drogą?" Śocjuszka /pod tym przydomkiem występuje najwidoczniej autor krajowy/, Rozmowa Kisiela-Michala, zwięzły esej Józefa Łobodowskiego o niedawno zmarłym Aleksandrze Gallezu wraz z próbkami przekładów, artykuł K.W.S. "Polonia amerykańska - wielka niewiadoma", wreszcie stałe rubryki: "W sowieckiej prasie" Adama Kruczka, "Korespondencja z Rzymu" Dominika Morawskiego, "Widziane z Brukseli" Brukselczyka, no i ... "Możenie nie puszczy" Kisiela /to już też stała pozycja/.

W numerze czwartym Heinrich Böll odpowiada Wirpszy na list otwarty, umieszczony w "Kulturze" kwietniowej. Wirpsza miał za złe niemieckiemu pisarzowi pewne aspekty jego wywiadu, udzielonego warszawskiej "Polityce". "Biorę na siebie całkowitą winę za to, że przeczytałem otworzyłem usta - pisze teraz Böll - i to doświadczenie uważam mnie jeszcze ostrożniejszym, gdyż myśl, że ten wywiad może być wyzyskany przeciwko moim przyjaciółom, że może być źle zrozumiany, sprawia mi poważne zmartwienie". Böll zgadza się z Wirpszą, że "koszta" pisarzy zachodnich, nawet tych, przeciwko którym ludzi prawicowe prasy, są mniejsze niż pisarzy tęplonych przez władze w Europie Wschodniej. "Fakt, że Pan i Pańscy koledzy nie mogą we własnym kraju publikować, jest przyczyną naszej interwencji w stosunkach polskie, czeskie i sowieckie". Jednakże: "Zyjemy tużej ... i możemy interweniować gdzie indziej tylko wtedy, jeśli i tutaj to czynimy."

A...o...w...Aneksie

W "Aneksie" - również interesujące materiały z kraju i zagranicy. W nr 16-17 m.in. bardzo istotny tekst Marka Turbacza "Możliwości działania opozycji w Polsce"/dalszy ciąg rozważań tego autora "Polska - 1984" drukowaliśmy w "Zapisie" nr 6/. Ponadto wypowiedzi o ogólnym widzeniu punktów widzenia eurokomunizmu, fragmenty "Czarnej księgi cenzury w PRL" /które! tom I ukazał się już nakładem "Aneksu" jako osobna publikacja/, esej Ireny Grudzińskiej-Gross "Autoportret faszysty" /o tetralogii autobiograficznej Władysława Machajki/, przemówienie ks. Henryka Hlebowicza "Na trzeci maj 1941 roku", poprzedzone portretem tego bohaterańskiego duszpasterza, płora Marii Winowskiej.

Numer 18' jeszcze do nas nie dotarł, ale wiemy, że już wyszedł i że zawiera /wydane również osobno przez NOWA/ zapisy rozmów polsko-chińskich na wysokim szczeblu partyjnym w roku 1960, ze zwięzłym wprowadzeniem Adama Michnika. Ponadto między innymi /tytuły artykułów na podstawie anonisu/: "Jak pojmuje socjalizm" Oskara Langego, "Moje słuszne poglądy na wszystko" Leszka Kołakowskiego, "Samizdat szkółą wolności" Natalii Gorbaniewskiej...

Pisarz w Gdańsku sam wydał niedopuszczony przez cenzurę tekst

Zamieszkały w Gdańsku prozaik i esejista, Lech Bądkowski, wydał własnym sumptem, jedną z metod małej poligrafii, swój 40-stronicowy szkic "Kaszubsko-pomorskie drogi". We wstępie autor wyjaśnia, że praca powstała jeszcze w grudniu 1968 roku i miała się ukazać w miesięczniku "Życie i myśli" w kwietniu 1969 roku, została jednak skonfiskowana przez cenzurę. Drugą próbę publikacji podjął tygodnik "Literatura" w roku 1972, lecz skończyło się znowu na konfiskacie. "Robiłem jeszcze dalsze starania, aby opublikować tekst... - pisze Bądkowski. - Próby okazały się daremne. Według mej najlepszej wiedzy

151
i oceny szkic ... nie zawiera nieprawdy - chociaż oczywiście nie
wyczerpuje tematu i pisałem go z własnego punktu widzenia - ani w
niczym nie może szkodzić Polsce i jej racji stanu".

Kronikę zamknęto 5 lipca 1978

NOTY O AUTORACH

STANISŁAW BARAŃCZAK

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. W latach 1976-1978 objęty zarządzonej centralnie represją, nie może wydawać swoich książek w żadnym z oficjalnych wydawnictw krajowych. Ostatnie zbiory wierszy i tłumaczeń poetyckich Barańczaka wyszły nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej w kraju, a także Instytutu Literackiego /Paryż/, "Aneksu" /Uppsala-Londyn/ oraz Oficyny Malarzy i Poetów /Londyn/. Współtwórca i autor wszystkich numerów "Zapisu".

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Urodzony w roku 1906. Publicysta, lewicowy działacz polityczny, socjolog. Niegdyś na eksponowanych stanowiskach partyjnych i państwowych, od dawna w opozycji. W ostatnich dziesięciu latach autor prac badawczych na temat mechanizmów społecznych w krajach socjalistycznych; prace te kursują w Polsce poza zasięgiem cenzury, częściowo zaś ukazują się za granicą nakładem Instytutu Literackiego /Paryż/ oraz w językach obcych. Poprzednio ogłosiliśmy dwa odcinki otrzymanego od autora nowego eseju "Filozofia dziejów a teoria społeczna"; w tym numerze publikujemy trzeci, czwarty i ostatni ukaże się w numerze następnym.

ADAM BONIECKI

Urodzony w roku 1934. Ksiądz, duszpasterz akademicki w Krakowie, z wykształcenia socjolog, publicysta "Tygodnika Powszechnego". Wydał "Rozmowy niedokończono" /Znak 1974/ i "Notes" /Znak 1977/. Oba felietony, które publikujemy, skonfiskowała cenzura w "Tygodniku Powszechnym".

MARIAN BRANDYS

Urodzony w roku 1912. Prozaik, publicysta, historyk, m.in. autor wielotomowego cyklu esejów historycznych "Koniec świata szwoleżerów".

ANDRZEJ BRAUN

Urodzony w roku 1923. Prozaik, poeta, publicysta, podróżnik, badacz życia i twórczości Josepha Conrada. Publikujemy pełny tekst przemówienia wygłoszonego na XX Zjeździe Literatów Polskich w Katowicach, 7 kwietnia 1978.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. Publikujemy rozszerzony tekst przemówienia wygłoszonego na walnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP 3 maja 1978.

WITOLD DĄBRÓWSKI

Urodzony w roku 1933, zmarł 10 maja 1978. Poeta, tłumacz, autor zbiorów wierszy: "Rocznik 33", "Koncert hebanowy", "Ognicha" i "Arasowanie", współautor dwutomowej "Antologii Nowoczesnej Poezji Rosyjskiej". Publikujemy tekst przemówienia wygłoszonego na walnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP 3 maja 1978.

ANDRZEJ DRAVICZ

Urodzony w roku 1932. Doktor filologii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej, tłumacz. W latach 1976-1978

objęty zakazem druku. Niegdyś współtwórca Studenckiego Teatru Satyryków /STS/ w Warszawie; STS jest tematem rozmowy Drawicza z Jerzym Markuszewskim, którą publikujemy.

LECH DYMARSKI

Urodzony w roku 1949. Poeta, krytyk. W poprzednich numerach "Zapisu" publikowaliśmy jego wiersze i recenzje.

LESZEK ELEKTOROWICZ

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, esejista, tłumacz. Publikujemy tekst przemówienia wygłoszonego na XX Zjeździe Literatów Polskich w Katowicach.

JERZY FICOWSKI

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, badacz folkloru cygańskiego, badacz i wydawca twórczości Brunona Schulza. Trzeci rok z rzędu objęty represjami, w szczególności zakazem wydawania książek. W "Zapisie" kilkakrotnie ogłaszaliśmy jego wiersze, obecnie publikujemy tekst przemówienia wygłoszonego na walnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP 3 maja 1978.

KORNEL FILIPOWICZ

Urodzony w roku 1913. Prozaik, scenarzysta filmowy, autor wielu tomów opowiadań i powieści. W "Zapisie" nr 4 ogłosił opowiadanie "Noc nad wodą", usunięte przez cenzurę z jednej z książek pisarza. Obecnie publikujemy tekst przemówienia wygłoszonego na XX Zjeździe Literatów Polskich w Katowicach.

MARIA GRODECKA

Absolwentka Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego. Opublikowała serię artykułów na temat kultury uczuć, wychowania młodzieży i zagadnień moralności w piśmie "Wychowanie". Perypetie pracy doktorskiej pt. "Rola wartości w procesie kształtowania się osobowości człowieka współczesnego" autorka referuje we wstępie do rozdziału z tej pracy, który publikujemy. Inny rozdział pt. "Osobowość pokolenia" ukazał się w "Więzi" w roku 1974, a dwa rozdziały w tymże piśmie skłonkowały cenzura.

GRZEGORZ HERIAN

Pseudonim pracownika naukowego, badacza literatury.

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

Urodzony w roku 1919. Prozaik, esejista. Podczas wojny - uwięziony w ZSRR, następnie uczestnik walk Drugiego Korpusu, po wojnie pozostał na emigracji. Stał współpracownik "Kultury" paryskiej, autor rubryki "Dziennik pisany nocą" /i książki pod tym tytułem/, a także m.in. książek: "Inny świat", "Skrzydła ołtarza", "Drugie przyjście", "Upiory rewolucji". Zwróciliśmy się do pisarza o współpracy z "Zapisem" i w tym numerze publikujemy pierwszy nadany przez niego tekst.

JAN JÓZEF LIPSKI

Urodzony w roku 1926. Historyk literatury, krytyk literacki, esejista, autor dwóch tomów monografii o Janie Kasprowiczu i wydawca dzieł tego poety, pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN.

Urodzony w roku 1930. Reżyser teatralny i radiowy, w latach 1954-1972 reżyser teatru STS w Warszawie, ponadto 1961-1964 naczelny reżyser Te-

atru Polskiego Radia. Przez prawie trzy lata z przyczyn politycznych pozbawiony możliwości wykonywania zawodu, dopiero ostatnio został na nowo zaangażowany do jednego z teatrów. Publikujemy rozmowę Markuszewskiego z Andrzejem Drawiczem "Co nam zostało zSTS".

HALINA MIKOŁAJSKA

Urodzona w roku 1925, Aktorka dramatyczna, debiutowała w roku 1946 w Krakowie, obecnie należy do zespołu Teatru Współczesnego w Warszawie. Publikowała utwory wspomnieniowe m.in. w "Tygodniku Powszechnym" i w "Więzi". W "Zapisie nr 2" ogłosiliśmy udostępnione nam przez autorkę fragmenty dziennika. Po powrocie z kilkumiesięcznej podróży zagranicznej Mikołajska zgodziła się na udzielenie "Zapisowi" wywiadu.

CZESŁAW MIŁOSZ

Urodzony w roku 1911. Poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, profesor uniwersytetu w Berkeley /USA/. Od roku 1951 na emigracji. Wydał przed wojną dwa tomy poezji w Wilnie, po wojnie jeden w Krakowie /"Ocalenie"/, następne ukazywały się już za granicą, przeważnie nakładem Instytutu Literackiego /Paryż/, m.in. "Światło dzienne", "Traktat poetycki", "Król Popiel i inne wiersze", "Gucio czarowany", "Miasto bez imienia", "Gdzie wschodzi słońce i kedy zapada". Ponadto tomy prozy lub esejów: "Zniewolony umysł", "Zdobycie władzy", "Dolina Issy", "Rodzinna Europa", "Widzenia nad Zatoką San Francisco", "Prywatne obowiązki" i w ubiegłym roku - "Ziemia Uiro" / tę ostatnią książkę recenzował w "Zapisie nr 6" Stanisław Barańczak/. Zwróciliśmy się do pisarza o współpracę z "Zapisem" i w tym numerze publikujemy nadesłane przez niego, nigdzie dotąd nie ogłoszone wiersze.

ANTONI PAWLAK

Urodzony w roku 1952. Poeta. Studiuje filozofię w Akademii Teologii Katolickiej. Debiutował w roku 1972 audycją poetycką w Rozgłosni Gdańskiej Polskiego Radia. Wydał dwa arkusze poetyckie: "Czynny cały dobę" /1975, nakładem PWSSP w Gdańsku/ i "Jestem twim powszechnym mordercą" /1976, nakładem "Nowego Wyrazu"/. Tom wierszy się nagle w pedzających pociągach", złożony w roku 1975 w Wydawnictwie Morskim, po uprzednim zatwierdzeniu, został w roku bieżącym skreślony z planu.

JAN PATOČKA

1907-1977. Filozof czeski. Pozostałe informacje - w notce poprzedzającej esej, który publikujemy.

JAN POLKOWSKI

Urodzony w roku 1953. Student Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Poeta. Publikacja w "Zapisie nr 7" jest jego debiutem.

ANIELA STEINBERGOWA

Adwokat, obrońca w procesach politycznych. Przed wojną broniła w procesach komunistów w Krakowie, po wojnie, w latach pięćdziesiątych, w procesach AK-owców, m.in. Kazimierza Moczarskiego, Marceliego Porowskiego, Jerzego Czekanowskiego. W latach sześćdziesiątych broniła w procesach Hanny Rudzińskiej, Anny Rewskiej, Kuronia i Modzelewskiego, Jana Nepomucena Millera. W roku 1968 zawieszona w prawie wykonywania zawodu. Wydała "Widziane z tawy obrończej" /Instytut Literacki, Paryż 1977/ i szereg tłumaczeń, współautorka i autorka przedmo-

wy do pism Stefanii Sempołowskiej, której była uczennicą. List do redakcji "Opinia" nie ukazał się w tym piśmie w ciągu kilku miesięcy od chwili wysłania, w związku z czym autorka zdecydowała się na ogłoszenie go w "Zapisie". W ostatniej chwili, już po przepisaniu numeru, dowiedzieliśmy się, że "Opinia" zamierza opublikować list mec. Steinsbergowej.

LESZEK SZARUGA

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, prozaik. W "Zapisie" publikował już wiersze i recenzje.

WIESŁAW PAWEŁ SZYMAŃSKI

Urodzony w roku 1932. Eseista, krytyk literacki, historyk literatury. Publikujemy tekst przemówienia wygłoszonego na XX Zjeździe Literatów Polskich w Katowicach.

WITOLD WIRPSZA

Urodzony w roku 1918. Poeta, prozaik, eseista, dramaturg i tłumacz. Od wiosny 1970 przebywa za granicą; niedługo potem objęty w Polsce całkowitym zakazem druku. W "Zapisie nr 5" ogłosiliśmy fragmenty książki "Polaku, kim jesteś". Obecnie publikujemy fragmenty powieści "Same niewinność" /1974/, dotąd nie wydanej ani w kraju, ani za granicą.

Nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazały się:

x. Proza

Kazimierz Brandys	NIERZECZYWISTOŚĆ
Rohumil Hrabal	ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ
Paweł Jasienica	ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ
Tadeusz Konwicki	KOMPLEKS POLSKI /ZAPIS nr 3/

x. Poezja

Stanisław Barańczak	JA WIEM, ŻE TO NIESTUSZNE
Zdzisław Jaskóła	DWA POEMATY
Czesław Miłosz	TRAKTAT POETYCKI
	TRAKTAT MORALNY
Kazimierz Wierzyński	CZARNY POLONEZ
Wiktor Woroszyński	JESTEŚ I INNE WIERSZE

x. felietony, esaje

Andrzej Kijowski	NIEDRUKOWANE
Adam Michnik	CIEŃ ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW
Maria Ossowska	O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI
Józef Piłsudski	BIBUŁA
Jan Strzeliński	ZAPISKI 1950-1953

x. społeczno-polityczne

Władysław Bieńkowski	SOCJALIZM PO 60 LATACH
Jacek Kuroń	MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA
	ZASADY IDEOWE, UWAGI O STRUKTURZE
	RUCHU DEMOKRATYCZNEGO
Antonin H. Liehm	NOWA UMOWA SPOŁECZNA
Marek Tarniewski	POCHODZENIE SYSTEMU
Marek Tarniewski	DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ
zbiór wypowiedzi	EUROKOMUNIZM
zbiór wypowiedzi	ANTYSEMITYZM
	UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU
	NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOŃSKIM

x. dokumenty

Z KSIĘGI ZAPISÓW GŁÓWNEGO URZĘDU KONTROLI PRASY PUBLIKACJI I WIDOWISK
DWA ROZMOWY, MOSKWA 1960 /stenogramy rozmów polsko-chińskich/
DOKUMENTY BEZPRAWIA /tzw. Biata Księga/
DZIENNIK USTAW nr 38 /1977/, /Pakty Praw Człowieka i Obywatela/

XXXXXXXXXX

Władysław Gnomacki	TOW. SZMACIAK czyli WSZYSTKO DOBRE CO SIĘ DOBRE KONCZY
	SPIEWNIK DONÓW I ULICZNY

Ponadto nakładem NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ ukazują się kwartalniki literackie: ZAPIS I PULS

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA dąży do tego, aby wolne słowo nie stawało przed barierą państwowego monopolu wydawniczo-informacyjnego.

NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego, chce służyć różnorodnym inicjatywom twórczym. NIEZALEŻNA OFICyna WYDAWNICZA spełni swoje zadania, jeśli społeczeństwo udzieli jej poparcia; jej powodzenie zależy od dostarczanych nam tekstów, pomocy w kolportażu, zdobywaniu materiałów i sprzętu poligraficznego, pomocy finansowej. Od nas samych zależy los WOLNEGO słowa w Polsce.

WOLNA WALKOWO-BĘBNOVA DRUKARNIA POŁOWA Im. J. P.
WARSZAWA, październik 1978.
Zlec. nr 1026.

